

Adrian Lara

Szkarłat północy

*Kiedy w klinice weterynaryjnej pojawia się ranny mężczyzna,
doktor Tess Culver nie ma pojęcia, że jej życie właśnie
na zawsze się zmienia. Nie wie, że wysoki, ubrany w czerń
nieznajomy nie jest człowiekiem, lecz wampirem-wojownikiem.
Jego dotknięcie budzi w Tess ukryte pragnienia,
których istnienia nie przeczuwała.
Jeden krwawy pocałunek przenosi ją
do jego świata – namiętności, grozy i walki
z tymi przedstawicielami jego
rasy, którymi rządzi nałóg krwi...*

Rozdział 1

Dante przesunął palcem po szyi kobiety, zatrzymując go na chwilę na tętnicy, gdzie najmocniej można było wyczuć puls. Jego tętno również przyspieszyło, reagując na wyczuwalne pulsowanie krwi pod delikatną białą skórą. Pochylił ciemną głowę i lekko musnął językiem to miejsce.

- Powiedz mi - wymruczał niskim, zmysłowym głosem, nie odrywając ust od jej szyi. Jego głos ledwie przebijał się przez głośną muzykę.

- Jesteś dobrą czy złą czarownicą?

Kobieta wierciła się przez chwilę na jego kolanach, a potem oplotła go nogami w czarnych kabaretkach. Czarny koronkowy gorset podnosił jej piersi. Przysunęła je do podbródka mężczyzny, jakby mu je podawała na tacy. Wsunęła dłoń w jaskraworóżową perukę, po czym zjechała palcem na celtycki krzyż wytatuowany na jej dekolcie.

- Och, jestem bardzo, bardzo złą czarownicą. Dante chrząknął.

- Właśnie takie lubię najbardziej.

Uśmiechnął się, patrząc w jej zamroczone alkoholem oczy. Nawet się nie fatygował, by ukryć kły. W ten halloweenowy wieczór był tylko jednym z wielu wampirów, choć trzeba przyznać, że większość to byli przebierańcy; ich kły były plastikowe, a krew sztuczna. Niemniej kilka wampirów - on i kilkoro przybyszów z bostońskich Mrocznych Przystani - było niewątpliwie prawdziwych.

Byli członkami rasy, bardzo różnymi od gotyckich wampirów o bladej cerze z ludzkich legend. Nie byli ani żyjącymi umarłymi, ani pomiotem diabła, tylko krzyżówką *Homo sapiens* z niebezpiecznymi przybyszami z kosmosu. Ich przodkowie, nazywani Prastarymi, grupa najeźdźców, która rozbiła się na Ziemi tysiące lat temu, krzyżowali się z kobietami, przekazując swojemu potomstwu pragnienie - i prymitywną potrzebę - krwi.

Te obce geny odpowiedzialne były za największe zalety i najgorsze słabości rasy. Tylko ludzkie dziedzictwo, przekazywane potomkom Prastarych przez ich śmiertelne matki, pozwalało im prowadzić cywilizowane życie. Jednak wielu członków rasy ulegało dzikiej naturze odziedziczonej po obcych i zmieniało się w Szkarłatnych, których droga naznaczona była krwią i szaleństwem.

Dante nie znosił tej strony swojej natury, a jako członek klasy wojowników miał obowiązek likwidować Szkarłatnych. Nie odmawiał sobie również innych męskich przyjemności i czasami

zastanawiał się, co woli: pulsującą żyłę Karmicielki czy to uczucie, które towarzyszy wbijaniu tytanowego ostrza w ciało wroga, natychmiast obracające się w proch.

- Mogę ich dotknąć? - Różowowłosa czarownica siedząca na jego kolanach przyglądała się zafascynowana jego kłom. - Rany, wyglądają niesamowicie prawdziwie! Muszę ich dotknąć.

- Uważaj - ostrzegł, kiedy przysunęła palce do jego ust.

- Gryzę.

- Tak? - Zachichotała i otworzyła szeroko oczy.

-Mogę się o to założyć, kotku.

Dante wziął w usta jej palec, zastanawiając się, jak najszybciej uda mu się ją ułożyć w pozycji horyzontalnej. Musiał się pożywić, ale nigdy nie miał nic przeciwko łączeniu tego aktu z seksem - czy to przed, czy po, bez znaczenia. Pod tym względem było mu naprawdę wszystko jedno.

Po, zdecydował, delikatnie nakłuwając kłami czubek jej palca. Westchnęła, kiedy nie pozwolił jej go cofnąć i zaczął ssać krew z maleńkiej ranki. Ta odrobina krwi rozpałała go, spowodowała, że źrenice zwężyły mu się w pionowe kreski, niemal niewidoczne w bursztynowych, błyszczących tęczówkach. Ogarnęło go pożądanie, którego efektem był potężny wzwód rozpychający krocze czarnych skórzanych spodni.

Kobieta jęknęła, zamknęła oczy i wygięła się na jego kolanach jak kotka. Dante puścił jej palec, przytrzymał ręką głowę i zbliżył usta do jej szyi. Pożywianie się w miejscu publicznym nie było w jego stylu, ale czuł się rozpaczliwie znudzony i tęsknił za jakąś odmianą. Zresztą i tak wątpił, żeby ktokolwiek to dziś zauważył. W klubie kłębiły się fałszywe potwory, atmosfera wibrowała seksem, a jego potencjalna Karmicielka poczuje jedynie rozkosz, dając mu to, czego Dante potrzebuje. Później nic nie będzie pamiętała, gdyż usunie wszelkie jej wspomnienia o sobie.

Pochylił się, przechylił na bok głowę kobiety. Głód spowodował, że do ust napłynęła mu ślina. Uniósł wzrok i zobaczył, że obserwują go dwa wampiry z Mrocznej Przystani. To były jeszcze dzieciaki. Bez wątplenia

należały do najmłodszego pokolenia rasy. Musieli rozpoznać w nim wojownika, bo szeptali między sobą, czy do niego podejść, czy nie. Spadajcie, nakazał im w myślach i otworzył usta, gotów zatopić kły w szyi Karmicielki.

Ale młode wampiry zignorowały ostrzeżenie. Wyższy, blondynek w wojskowych spodniach, ciężkich martensach i czarnym podkoszulku, ruszył w jego stronę. Jego towarzysz w workowatych dżinsach, wysokich butach i za dużej bluzie Lakersów podążył za nim.

- Cholera. - Niedyskretne zachowanie w miejscu publicznym to jedno, ale pozywianie się na oczach publiczności to zupełnie co innego.

- Co jest? - jęknęła jego niedoszła Karmicielka, kiedy cofnął głowę.

- Nic, kochana. - Położył dłoń na jej czole, usuwając z jej pamięci ostatnie pół godziny.

- Wracaj do przyjaciół.

Posłusznie wstała z jego kolan i odeszła, znikając w kołyszącym się tłumie. Dwa wampiry z Mrocznej Przystani obrzuciły ją przelotnym spojrzeniem i podeszły do stolika Dantego.

- O co chodzi? - spytał Dante bez najmniejszego zainteresowania.

- Hej. - Blondynek w wojskowych spodniach skłonił głowę. Przybrał bojową pozę i skrzyżował na piersiach umięśnione ramiona. Na skórze nie miał ani jednego dermaglifu. Zdecydowanie należał do najmłodszego pokolenia, zapewne nie przekroczył jeszcze trzydziestki. - Przepraszam, że przeszkadzamy, ale chcemy ci powiedzieć, że podziwiamy sposób, w jaki rozprawiliście się z całą kolonią Szkarłatnych w jedną noc. Wszyscy ciągle o tym mówią. Po prostu roznieśliście wszystko w drzazgi. Nieźle, naprawdę niezła robota.

- Zgadza się - dodał jego kumpel.

- Więc się zastanawialiśmy... to znaczy słyszeliśmy, że Zakon szuka rekrutów.

- Czy to prawda?

Dante odchylił się na oparcie i westchnął lekko znudzony. Nie po raz pierwszy wampiry z Mrocznych Przystani wypytywały go o możliwość wstąpienia do Zakonu. Od zeszłorocznej spektakularnej akcji przeciwko Szkarłatnym, którzy mieli bazę w nieczynnym zakładzie psychiatrycznym, wojownicy działający do tej pory w ukryciu stali się niezwykle popularni. Zostali gwiazdami.

Szczerze mówiąc, było to potwornie irytujące. Dante odsunął krzesło od stolika i wstał.

- Nie ze mną powinniście gadać - rzucił.

- Zresztą Zakon sam wybierze potencjalnych ochotników. Przykro mi. Odszedł. W kieszeni kurtki zaczęła wibrować mu komórka. Wyciągnął telefon i wcisnął przycisk.

- Tak?

- Jak idzie? - Z kwatery dzwonił Gideon, geniusz nad geniuszami.

- Coś się dzieje na górze?

- Niewiele. W zasadzie nic.

- Dante przyjrzał się tłumowi falującemu w klubie i zauważył, że dwa młode wampiry też postanowiły wyjść. Ruszyły za dwiema przebranymi kobietami. - Żadnych Szkarłatnych w zasięgu wzroku. Nudy! Mam ochotę na jakąś akcję, Gid.

- Spróbuj się zabawić - poradził Gideon, a w jego głosie można było wyczuć rozbawienie.

- Noc jest jeszcze młoda.

Dante zachichotał.

- Powiedz Lucanowi, że przegoniłem dwóch szczeniaków. Chcieli się zaciągnąć do Zakonu. Wiesz co? Wołałem czasy, kiedy wzbudzaliśmy strach, a nie podziw. Czy Lucan szuka kogoś do grupy, czy nadal jest zajęty Dawczynią Życia?

- Jedno nie wyklucza drugiego - odparł Gideon.

- Jeśli chodzi o rekrutację, to niedługo zjawi się kandydat z Nowego Jorku, a Nikolai skontaktował się ze znajomymi w Detroit. Musimy chyba zorganizować jakiś egzamin. No wiesz, żeby pokazali, co potrafią, nim ich przyjmujemy.

- Przetrzepiemy im tyłki i zobaczymy, który wróci po więcej?

- A jest inny sposób?

- Możesz na mnie liczyć - stwierdził Dante, kierując się do wyjścia z klubu.

Wyszedł w noc. Omijał grupę klubowiczów przebranych za zombie. Mieli na sobie podarte ubrania, a twarze pomalowali na trupi kolor. Dante wychwytywał setki dźwięków - od ulicznego ruchu po okrzyki i śmiechy pijanych imprezowiczów okupujących chodniki.

Usłyszał też coś innego.

Coś, co zaalarmowało jego wyostrzone zmysły wojownika.

- Muszę iść - szepnął do Gideona.

- Chyba namierzyłem Szkarłatnego. Może jednak nie będzie to stracona noc.

- Zgłoś się, jak z nim skończysz.

- Jasne. Potem.

- Dante rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

Zniknął w bocznej uliczce. Szedł za odgłosami pochrząkiwania i stęchłą wonią grasującego Szkarłatnego. Tak jak i inni wojownicy żywił głęboką pogardę dla tych członków rasy, którzy zmienili się w bestie. Każdego wampira dręczyło pragnienie, każdy musiał się pożywiać, a czasami nawet zabić, żeby przeżyć. Ale każdy wiedział, jak cienka jest granica między zaspokajaniem głodu a obżarstwem i jak niewiele trzeba, żeby stracić panowanie nad sobą — zaledwie kilka marnych mili-litrów krwi. Jeśli wampir pił ją zachłannie albo pożywał się zbyt często, ryzykował, że się uzależni i nie będzie w stanie zaspokoić głodu, nazywanego nałogiem krwi. A poddając mu się, zmieniał się w Szkarłatnego, którym zawładnęła obsesja krwi.

Dzikość i brak rozwagi Szkarłatnych wystawiały całą rasę na niebezpieczeństwo wykrycia przez ludzi. Dante i inni wojownicy usiłowali temu zapobiec, ale siły wroga rosły. Kilka miesięcy temu stało się jasne, że Szkarłatni się organizują, a ich celem jest wojna. Jeśli nie zostaną powstrzymani, i to szybko, rozpęta się krwawe piekło, a ludzi i rasę pochłonie wampirzy Armagedon.

Obecnie Zakon skupił się na poszukiwaniach nowej kwatery głównej Szkarłatnych. Dopóki nie zostanie odnaleziona, dopóty zadanie wojowników było proste: eliminować jak najwięcej Szkarłatnych, likwidować chore osobniki, którymi przecież byli. Takie misje Dante uwielbiał. Najlepiej czuł się w ruchu, krążąc z bronią w ręku po ulicach i szukając zaczepki. Był pewien, że dzięki temu jeszcze żyje. A nawet więcej, nie poddaje się prześladowającym go demonom.

Skręcił za róg, po czym wszedł w kolejny wąski zaułek między starymi budynkami z czerwonej cegły. Gdzieś w ciemności usłyszał krzyk kobiety. Przyspieszył kroku, kierując się ku źródłu dźwięku.

Dotarł na miejsce w samą porę.

Szkarłatny zaatakował dwóch młodych wampirów z Mrocznej Przystani i ich towarzyski. Musiał być jeszcze młody. Miał na sobie klasyczny strój Gotów, na który narzucił długi czarny trenz. Był masywny, silny i wyraźnie oszalały z głodu - pochwycił jedną z kobiet

i już przyssał się do jej gardła. Niedoszli wojownicy przyglądali się temu beczynn timer, osłupiali ze strachu.

Dante wyciągnął z pochwy na biodrze sztylet i rzucił nim w Szkarłatnego. Brzeszczot wbił się głęboko między łopatki napastnika. Wykonany był ze stali pokrytej tytanem. Ten metal stanowił dla Szkarłatnych śmiertelną truciznę, jeśli wszedł w reakcję z ich zmutowaną krwią. Nawet niewielka rana zadana ostrzem powodowała natychmiastowy rozkład ciała.

Ale w tym przypadku tak się nie stało.

Szkarłatny rzucił Dantemu dzikie spojrzenie. Jego oczy płonęły jaskrawym bursztynem, wyszczerzył zakrwawione kły i zasyczał ostrzegawczo. Mimo rany nie zamierzał puścić ofiary, znów pochylił głowę i zaczął zachłannie pić krew.

Co u licha?

Dante podbiegł do wampira, ściskając w dłoni kolejny nóż. Bez chwili wahania zaatakował, tym razem celując w szyję. Chciał poderżnąć Szkarłatnemu gardło. Choć klinga cięła głęboko, przeciwnik zdołał uniknąć śmiertelnego ciosu. Z pełnym bólu rykiem porzucił kobietę i całą furię skupił na wojowniku.

- Zabierzcie stąd kobiety! - krzyknął Dante do wampirów z Mrocznej Przystani. Podniósł ofiarę i rzucił ją w ich ramiona. - Ruszcie się, już! Umyjcie ją. Wyczyśćcie pamięć obu kobietom, a przede wszystkim zabierzcie je stąd, do cholery!

Dwaj młodzieńcy wreszcie się ocknęli. I zaczęli odciągać wrzeszczące ofiary. Dante pozostał sam na sam z przeciwnikiem, zastanawiając się nad dziwną reakcją jego ciała na tytan. Bo obcy się nie rozkładał, pomimo dwóch uderzeń trującym metalem. A zatem napastnik nie był Szkarłatnym, choć polował i pożywiał się krwią jak nałogowiec.

Dante popatrzył na jego zmienioną twarz, wysunięte kły i źrenice zwężone w pionowe szparki, które tonęły w tęczęwkach płonących bursztynowym blaskiem. Na ustach wampira zdążyła już zaschnąć różowa piana. Dantemu z obrzydzenia przewrócił się żołądek.

Dante się cofnął. Doszedł do wniosku, że wampir zapewne jest w tym samym wieku co młodzieńcy z Mrocznej Przystani. Pieprzony dzieciak. Ignorując rozcięte gardło, chłopak sięgnął ręką za siebie i wyrwał z pleców sztylet Dantego. Zawarczał, nozdrza mu się rozszerzały, wyglądał, jakby zaraz miał skoczyć.

Ale nie skoczył, tylko nagle się odwrócił i uciekł.

Poły trencza powiewały za nim jak żagle. Biegł w stronę miasta. Dante nie tracił ani chwili. Ruszył za nim, gonił go ulicami, alejkami i zaułkami, aż dotarli do przystani poza granicami Bostonu, gdzie nad rzeką wznosiły się puste fabryki i stare zakłady przemysłowe niczym ponurzy wartownicy. Z jednego z budynków dobiegała głośna muzyka, ciężkie pulsowanie basu, któremu towarzyszyło stroboskopowe światło. Niewątpliwie odbywała się tam impreza.

Kilkanaście metrów przed nim wampir zmierzał nabrzeżem ku zrujnowanemu hangarowi na łodzie. To był ślepy zaułek. Osaczony osobnik parsknął wściekle, odwrócił się i rzucił prosto na Dantego. Jego ubranie nasiąkło krwią kobiety, którą się żywił. Zaatakował zębami i pazurami, jego długie kły ociekały śliną, a z otwartych ust dobywał się paskudny smród. Bursztynowe oczy pałały czystą nienawiścią. Dante poczuł, że sam też się przemienia. Ogarnęła go gorączka walki, pod której wpływem stawał się dzikim stworzeniem. W tej chwili niewiele się różnił od napastnika. Cisnął przeciwnika na drewniane deski pomostu. Oparł jedno kolano na jego piersi i wyciągnął *malebranche*. Były to dwa zakrzywione niczym szpony noże, połyskujące przepięknie w blasku księżyca. Nawet jeśli tytan nie działał, istniało wiele innych sposobów na zabicie wampira. Obojętne, czy był nim Szkarłatny, czy nie. Dante ciął nożami, najpierw jednym, a potem drugim, oddzielając głowę oszalałego wampira od ciała.

Kopniakiem posłał ciało do rzeki. Mroczny nurt ukryje je do rana, a wówczas spopielą je promienie słoneczne.

Nad wodą zerwał się wiatr, napełniając nozdrza Dantego wonią ścieków przemysłowych i czegoś... jeszcze. Usłyszał w pobliżu ruch, ale dopiero kiedy poczuł palący ból w udzie zrozumiał, że jest ranny. Za chwilę oberwał ponownie, tym razem w pierś.

Co jest?!

Strzelano do niego ze starej fabryki, którą miał za plecami. Choć przeciwnik używał tłumika, Dante domyślił się, że to karabinek automatyczny.

Nagle nudna noc zrobiła się aż nazbyt interesująca. Przynajmniej jak na jego gust.

Padł na ziemię, a kolejna kula świsnęła mu koło ucha i wpadła do wody. Przetoczył się pod hangar na łodzie. Snajper nie przestawał strzelać. Jeden pocisk trafił w róg starego budynku, a spróchniałe

drewno rozsypało się jak konfetti. Dante oprócz noży, którymi lubił walczyć, miał również pistolet. Wyciągnął go teraz, choć wiedział, że z tej odległości będzie bezużyteczny. Hangar podziurawiły kolejne kule. Jedna rozorała Dantemu policzek, kiedy mężczyzna wyjrzał, szukając napastnika.

Och, niedobrze.

Od strony fabryki ku nabrzeżu biegły cztery uzbrojone po zęby postacie. Choć przedstawiciele rasy żyli setki lat i potrafili znieść nawet poważne rany, nie byli nieśmiertelni. Umierali tak samo jak ludzie, jeśli kule rozerwały najważniejsze tętnice albo trafiono ich prosto w głowę.

Ale Dante nie zamierzał umierać bez walki.

Trzymał się nisko. Czekał, aż napastnicy wejdą w jego zasięg. W odpowiedniej chwili zaczął strzelać. Trafił jednego w kolano, a drugiego w głowę. Poczul dziwną ulgę, kiedy okazało się, że ma do czynienia ze zwykłymi Szkarłatnymi, a pokryte tytanem naboje powodują ich natychmiastowy rozkład.

Pozostali napastnicy odpowiedzieli ogniem. Dante ledwie uniknął kolejnej kulki. Schował się głębiej za hangar. Właśnie stracił dobrą pozycję obronną, a w dodatku stąd nie widział napastników. Słyszał, jak się zbliżają, kiedy przeładowywał pistolet.

A potem zapadła cisza.

Zaczekał kilka sekund, nasłuchując.

W stronę hangaru poleciało coś znacznie większego niż kula. Uderzyło ciężko w pomost i potoczyło się w jego stronę.

Jezu Chryste.

Rzucili w niego granatem!

Dante zaczerpnął powietrza i wskoczył do rzeki zaledwie na moment przed eksplozją, która w wirze dymu, ognia i odłamków posłała w powietrze hangar i połowę pomostu. Fala wybuchu odrzuciła głowę Dantego do tyłu, a całe ciało zmiażdżyło niewiarygodne ciśnienie. Gdzieś nad nim do wody posypały się płonące odłamki.

Zamroczyło go. Zaczął tonąć porwany silnym nurtem rzeki.

Nie mógł się ruszyć, krwawił. Stracił przytomność, a rzeka zabrała go ze sobą.

Rozdział 2

Przesyłka specjalna dla doktor Tess Culver.

Kobieta podniosła wzrok znad karty pacjenta i uśmiechnęła się, choć było już późno i czuła się zmęczona.

- Pewnego dnia nauczę się odmawiać.

- Uważasz, że potrzeba ci więcej praktyki? To może znów poproszę cię o rękę?

Westchnęła, kręcąc głową. Te jasnoniebieskie oczy i olśniewający amerykański uśmiech...

- Nie, mówię teraz o nas, Ben. Byliśmy umówieni o ósmej. Teraz jest za piętnaście dwunasta, środek nocy!

- Zamierzałaś przebrać się za dynię czy jak? - Pchnął drzwi i wszedł do jej biura. Pochylił się i cmoknął ją w policzek.

- Przepraszam za spóźnienie. Sprawy nie układają się zgodnie z planem.

- Aha. Więc gdzie on jest?

- Na tyłach, w furgonetce.

Tess wstała, zdjęła z nadgarstka gumkę i zebrała włosy w koński ogon. Jej jasnobrązowe loki były niesforne nawet zaraz po umyciu i ułożeniu, a co dopiero po szesnastu godzinach w lecznicy. To był stan kompletnej anarchii. Dmuchnęła, żeby pozbyć się pasma włosów opadającego na oczy, i minęła swojego byłego chłopaka.

- Noro, czy możesz mi naszykować strzykawkę z ketaminą i xylazyną? I przygotuj gabinet, dobrze? Ten największy.

- Jasna sprawa - odparta jej asystentka. - Cześć, Ben. Wesołego Halloween.

Mrugnął do niej i obdarzył ją krzywym uśmieszkiem, pod którego wpływem wszystkim gorąckrwistymi dziewczynom miękły kolana.

- Ładny kostium. Świetnie ci w warkoczach i *Lederhosen*.

- *Danke schön*. - Rozpromieniła się i zniknęła w magazynie z lekami.

- A gdzie twój kostium, Tess?

- Mam go na sobie. - Szła przed nim przez część szpitalną lecznicy, gdzie z klatek przyglądały im się senne psy i zdenerwowane koty. Przewróciła oczami.

- Nazywa się superweterynarka, która zapewne wkrótce zostanie aresztowana.

- Nie dopuszczę do tego. Nie wciągnąłbym cię w kłopoty.

- Naprawdę? - Otworzyła drzwi na tyłach małej lecznicy i wyszła na zewnątrz. - Zajmujesz się niebezpiecznymi sprawami. Ryzykujesz.

- Martwisz się o mnie, doktorko?

- Oczywiście. Kocham cię. Dobrze o tym wiesz.

- Jasne - mruknął ponuro. - Jak brata.

Znaleźli się na wąskiej wymarłej uliczce. Rzadko kto się tu zapuszczał, chyba że bezdomni, którzy czasami spali pod ścianą tej taniej lecznicy dla zwierząt położonej tuż nad rzeką. Dziś przed drzwiami stała czarna furgonetka Bena. Dobięły z niej ciche pomruki i szelest. Samochód kołysał się lekko, jakby coś wielkiego spacerowało w środku.

- Jest w klatce, prawda? - spytała Tess.

- Jasne. Spokojnie. Jest łagodny jak baranek. Słowo honoru.

Rzuciła mu powątpiewające spojrzenie. Zeszła ze schodków i podeszła do furgonetki.

- Czy chcę wiedzieć, skąd go wzięłeś?

- Zapewne nie.

Od mniej więcej pięciu lat Ben Sullivan prowadził samotną krucjatę w obronie zwierząt egzotycznych. Planował swoje misje równie starannie, jak rządowy szpieg, a potem wkraczał do akcji niczym jednoosobowa drużyna SWAT. Uwalniał dręczone i głodzone zwierzę, zwykle pochodzące z przemytu, i przekazywał do schroniska, które zapewniało mu opiekę. Czasami po drodze zatrzymywał się w lecznicy Tess, by zajęła się nieszczęśnikiem, jeśli potrzebowało natychmiastowej pomocy medycznej.

Tak się właśnie poznali dwa lata temu. Wtedy Ben przywiózł do niej serwala z niedrożnością jelit. Odebrał tego małego egzotycznego kota z domu handlarza narkotyków. Okazało się, że zwierzak zjadł gumową psią zabawkę, którą trzeba było usunąć chirurgicznie. Operacja była trudna i długa, ale Ben przez cały czas czuwał przy zwierzęciu. I nim się Tess zorientowała, Ben został jej facetem.

Nie była pewna, kiedy przeszli od przyjaźni do miłości, ale jakoś tak wyszło. Przynajmniej ze strony Bena to była miłość. Tess również go kochała, a nawet uwielbiała, ale jakoś nie wyobrażała sobie, że mogli zostać parą tak na poważnie. Zresztą ostatnio przestali nawet ze sobą sypiać. Z jej powodu.

- Chcesz czynić honory? - zapytała. Otworzył szeroko podwójne drzwi furgonetki.

- O mój Boże - jęknęła zaskoczona.

Tygrys bengalski był wychudzony i parchaty, na przedniej łapie miał otwartą ranę, ale nawet w tym stanie było to najbardziej majestatyczne stworzenie, jakie zdarzyło jej się w życiu widzieć. Zwierzak wystawił język i dyszał ciężko. Jego źrenice były tak rozszerzone ze strachu, że oczy wydawały się zupełnie czarne. Zamruczał cicho i uderzył łbem w kraty klatki.

Tess ostrożnie podeszła.

- Wiem, biedaku. Bywało lepiej, prawda? Zmarszczyła brwi. Jego łapy miały dziwny kształt.

- Ma amputowane pazury? - zdziwiła się zszokowana.

- Tak. Wyrwali mu również kły.

- Jezu. Skoro pragnęli trzymać tak piękne zwierzę, dlaczego je okaleczyli?

- Maskotka reklamowa nie powinna rozrywać na kawałki klientów i ich dzieci, no nie?

Tess zerknęła na niego.

- Maskotka reklamowa? Nie mówisz chyba o tym sklepie z bronią na... - Urwała i pokręciła głową.

-Nieważne. Nie chcę wiedzieć. Zanieśmy go do środka. Muszę go zbadać.

Ben opuścił rampę dorobioną na zamówienie.

- Wejdz do środka i pchnij klatkę. Ja przytrzymam ją z przodu.

Tess zrobiła, co jej kazał, i pchnęła klatkę umieszczoną na kółkach. W progu lecznicy czekała już na nich Nora. Westchnęła z zachwytu na widok tygrysa i rzuciła Benowi pełne uwielbienia spojrzenie.

- A niech mnie. To Siwa, prawda. Od lat miałam nadzieję, że ucieknie. Ukradłeś Siwę! Ben uśmiechnął się szeroko.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, *Liebchen*. Ten kot zjawił się dziś wieczorem na progu mojego domu. Uznałem, że nasza cudowna doktorka połata go trochę, nim znajdę mu dom.

- Och, jesteś naprawdę niegrzecznym chłopcem, Benie Sullivanie. I moim bohaterem.

Tess skinęła na swoją rozanieloną asystentkę.

- Noro, pomożesz mi? Musimy wnieść tę klatkę do środka.

Kobieta podeszła do Tess i we trójkę wnieśli tygrysa do lecznicy. Prosto do gabinetu, w którym ostatnio zamontowano wielki stół podnoszony hydraulicznie. To był prezent od Bena, Tess nie byłoby

stać na taki luksus. Choć miała niewielką grupę oddanych klientów, jej lecznica nie mieściła się w bogatej części miasta, a ponadto zbyt mało brała za swoje usługi, nawet jak na taką okolicę. Po prostu uważała, że od zysków ważniejsza jest pomoc zwierzętom.

Niestety, właściciel budynku i dostawcy mieli na ten temat inne zdanie. Jej biurko ugięło się pod stosem zaległych rachunków, które należało jak najszybciej zapłacić. Na spłatę długu będzie musiała poświęcić swoje nędzne oszczędności, a potem... co?

- Środek uspokajający leży na blacie - przerwała jej rozmyślania Nora.

- Dzięki. - Tess schowała strzykawkę z zabezpieczoną igłą do kieszeni fartucha. Podejrzewała, że nie będzie jej potrzebna, ponieważ pacjent ślaniał się na łapach. Zresztą i tak dziś wieczorem miała zamiar tylko ocenić kondycję zwierzęcia i zaplanować, co trzeba będzie zrobić przed przetransportowaniem go do nowego domu.

- Myślicie, że uda nam się skłonić Siwę, czy jak tam się nazywa ten zbłąkany kot, żeby wskoczył na stół? - Patrzyła, jak Ben otwiera klatkę.

- Możemy spróbować. Chodź, kocie.

Tygrys wahał się przez chwilę. Zwiesił łeb i rozglądał się niepewnie po jasno oświetlonym pomieszczeniu. Potem zachęcany przez Bena wyszedł z klatki i wskoczył na metalowy blat stołu. Kiedy Tess zaczęła do niego cicho przemawiać i głaskać go po wielkim łbie, położył się w pozie sfinksa. Był dużo grzeczniejszy niż większość dobrze wychowanych domowych kotów.

- Potrzebujesz czegoś jeszcze czy mogę już iść? - spytała Nora.

Tess pokręciła głową.

- Jasne, że możesz iść. Dziękuję, że zostałaś tak długo. Naprawdę to doceniam.

- Żaden problem. Przyjęcie, na które idę, i tak nie zacznie się przed północą. - Przerzuciła na ramiona długie warkocze. - Dobra, to znikam. Zamknę, wychodząc. Dobranoc, kochani.

- Dobranoc - odpowiedzieli chórem.

- Miła dziewczynka - stwierdził Ben, kiedy Nora wyszła.

- Istotnie - zgodziła się Tess, głaszcząc Siwę, a równocześnie szukając na jego ciele ran, guzów czy innych deformacji. - Zresztą nie jest już dziewczynką, ma dwadzieścia jeden lat. W przyszłym semestrze kończy studia. Będzie wspaniałym weterynarzem.

- Nikt nie jest tak dobry jak ty. Masz magiczny dotyk, doktoro.

Tess pominęła milczeniem ten komplement. Tkwiło w nim niebezpiecznie dużo prawdy, choć wątpiła, żeby Ben zdawał sobie sprawę ile. Ona sama ledwie to rozumiała i starała się o tym nie myśleć. Skrępowana, skrzyżowała ramiona na piersi.

- Ty też możesz już iść. Chcę zatrzymać Si... - odchrząknęła i uniosła brew. - To znaczy mojego pacjenta na obserwacji. Zajmę się nim na poważnie dopiero jutro. Przekażę ci, co ustaliłam, nim się wezmę do pracy.

- Już mnie odprawiasz? A ja miałem nadzieję, że dasz się zaprosić na kolację.

- Jadłam kolację wiele godzin temu.

- No to na śniadanie. U mnie albo u ciebie, jak wolisz.

- Ben - powiedziała, uchylając się przed jego ręką, kiedy chciał ją pogłodzić po policzku. Jego dotyk był ciepły i czuły, taki przyjemnie znajomy. - Już przez to przechodziliśmy. Uważam, że to nie jest dobry pomysł...

Jęknął, a był to dźwięk niski i zmysłowy. Kiedyś pod wpływem tego dźwięku topiła się jak masło, ale nie dzisiaj. Już nigdy więcej, jeśli zależało jej na samej sobie. Uważała, że sypianie z Benem nie jest w porządku, skoro on chce od niej czegoś, czego ona nie może mu dać.

- Mogę poczekać, aż skończysz. - Cofnął się. - Nie chcę, żebyś tu tkwiła zupełnie sama. To nie jest bezpieczna dzielnica.

- Nic mi nie będzie. Obejrzę go tylko i zapiszę uwagi, a potem zamknę lecznicę. Nic wielkiego.

Ben zmarszczył z przyganą brwi, gotów się spierać, ale Tess westchnęła i rzuciła mu znajome spojrzenie. Była pewna, że odczyta je prawidłowo. Widział je nieraz podczas ich dwuletniego związku.

- Dobra - zgodził się wreszcie. - Ale nie siedź tu długo. I zadzwoń do mnie z samego rana, obiecujesz?

- Obiecuję.

- Na pewno poradzisz sobie z Siwą?

Tess spojrzała na wymizerowane zwierzę, które zaczęło ją lizać po ręce.

- Myślę, że nic mi się nie stanie.

- A co ci mówiłem, doktorko? Magiczny dotyk. Wygląda na to, że już się w tobie zakochał. - Ben prze-czesał palcami jasne włosy i spojrzał na nią smutno. - Zeby zdobyć twoje serce, trzeba sobie wyhodować futro i kły.

Tess uśmiechnęła się i przewróciła oczami.
- Idź do domu. Zadzwoń do ciebie jutro.

Rozdział 3

Tess obudziła się gwałtownie.

Cholera. Ile czasu spała? Była w swoim biurze, opierała policzek na teczce Siwy leżącej na blacie. Pamiętała jeszcze, że nakarmiła wygłodzonego tygrysa i zamknęła go w klatce, a potem zaczęła spisywać swoje spostrzeżenia. To było - zerknęła na zegarek - jakieś dwie i pół godziny temu? Do trzeciej w nocy brakowało zaledwie kilku minut. A musiała wrócić do lecznicy o siódmej rano!

Jęknęła, ziewnęła szeroko i przeciągnęła zdrętwiałe ręce.

Dobrze, że się obudziła przed przyjściem Nory, bo asystentka pewnie nigdy nie przestałaby jej tego wypominać.

Gdzieś na tyłach lecznicy rozległ się głośny huk. Co się dzieje?

Czy to nie ten dźwięk wyrwał ją ze snu?

O Jezu. No jasne. Pewnie Ben przejeżdżał obok

i zobaczył światła. Nie pierwszy raz zjawiałby się tu tak późno, żeby sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Ale dziś naprawdę nie miała ochoty słuchać kolejnego wykładu na temat godzin pracy czy jej niezależności. Hałas powtórzył się, kolejny huk, a potem brzęk metalu, jakby coś spadło z półki.

Ktoś był w magazynie na tyłach.

Tess wstała zza biurka i postąpiła kilka niepewnych kroków w stronę drzwi, nasłuchując. W szpitalnej części lecznicy, koło poczekalni, denerwowały się psy zamknięte w klatkach. Niektóre skomlały, inne warczały nisko, ostrzegawczo.

- Halo? - zawołała Tess w pustą przestrzeń. - Jest tam ktoś? Ben, czy to ty? Nora?

Żadnej odpowiedzi. Dźwięki, które słyszała, ucichły.

Świetnie. Właśnie zawiadomiła intruza o swojej obecności. Cudownie. Absolutnie cudownie.

Może to tylko jakiś bezdomny szukający noclegu włamał się do lecznicy? - Pocieszyła się w myślach. Nikt niebezpieczny.

Tak? To dlaczego zjeżyły jej się włosy na karku?

Włożyła ręce do kieszeni fartucha. Była zupełnie bezbronna. Wymacała palcami długopis i coś jeszcze.

Och, dzięki Bogu. Strzykawka ze środkiem usypiającym, dawka zdolna powalić zwierzę ważące dwieście kilogramów.

- Czy ktoś tam jest? - próbowała mówić spokojnie i stanowczo. Zatrzymała się przy ladzie w poczekalni i sięgnęła po telefon. To draństwo nie było bezprzewodowe. Aparat kupiła tanio na wyprzedży. Słuchawka miała tak krótki przewód, że ledwie sięgała do jej ucha. Tess obesła ladę w kształcie litery U, oglądając się nerwowo przez ramię. Wystukała numer alarmowy. -Lepiej stamtąd wyłaź. Dzwonię na policję!

Nie... proszę... nie bój się... Głos był tak cichy, że nie powinna była go usłyszeć, a jednak usłyszała. I to tak wyraźnie, jakby słowa wyszeptano jej do ucha. Albo jakby się rozległy w jej głowie. Dziwne wrażenie.

Rozległ się chrapliwy dźwięk, a potem gwałtowny kaszel. Tak, ktoś był w magazynie. I to ktoś ranny. Poważnie ranny, może nawet śmiertelnie.

- Cholera.

Tess wstrzymała oddech i odłożyła słuchawkę, nim uzyskała połączenie. Powoli ruszyła na tyły lecznicy, niepewna, co tam zastanie. Nie miała ochoty tego oglądać.

- Halo? Co tu robisz? Jesteś ranny?

Pchnęła drzwi i weszła do magazynu. Usłyszała wysilony oddech, poczuła zapach dymu i słony smród rzeki. Oraz krew. Mnóstwo krwi. Włączyła światło.

Jarzeniówki zabrzęczały nad jej głową i się zapaliły. Światło zalało wielkiego mężczyznę mokrego i ciężko rannego. Kulił się na podłodze koło regałów z zapasami medycznymi. Ubrany był na czarno niczym Goci -czarna skórzana kurtka, koszulka, spodnie i wysokie wojskowe buty. Nawet włosy miał czarne. Były mokre i przylegały mu do czaszki, zasłaniając twarz. Od uchylonych drzwi do miejsca, gdzie leżał, prowadziła krwawa ścieżka. Najwyraźniej wszedł, albo raczej wczuł się do środka.

Gdyby nie przywykła tak bardzo do widoku makabrycznych skutków wypadków samochodowych, z całą pewnością poczułaby teraz mdłości.

A tymczasem zamiast panikować, przełączyła się z trybu alarmowego na tryb medyczny. Spokojny, fachowy i celowy.

- Co ci się stało?

Mężczyzna jęknął, pokręcił niepewnie głową, jakby dawał do zrozumienia, że nie może mówić.

- Z tego, co widzę, masz liczne rany i poparzenia. Boże, chyba ze sto. Czy to był jakiś wypadek? - Spojrzała na jego rękę przyciśniętą do piersi. Spomiędzy palców spływała krew. To musiała być głęboka rana. - Bardzo krwawisz. Z piersi i z nogi też. Chryste, zostałeś postrzelony?

- Potrzebuję... krwi.

Zapewne miał rację. Na podłodze zdążyła się już zrobić kałuża pokaźnych rozmiarów. Zapewne stracił dużo krwi. Miała wrażenie, że całą jego skórę pokrywają rozcięcia. Twarz, szyję, ręce. Jego policzki i usta były trupioblade.

- Potrzebujesz karetki. - Nie chciała go denerwować, ale facet był w kiepskim stanie. - Spokojnie, zadzwonię po pogotowie.

- Nie! - Wyprostował się i wyciągnął ku niej rękę. - Żadnego szpitala! Nie mogę... nie mogę tam iść. Oni mi... nie pomogą.

Nie zważając na jego protesty, Tess już zamierzała ruszyć do telefonu, ale przypomniała sobie o skradzionym tygrysie zamkniętym w gabinecie. Jeśli wezwie pomoc, będzie musiała wszystko wyjaśnić policji. Właściciel sklepu z bronią zapewne już zgłosił kradzież albo zrobi to zaraz po otwarciu. Czyli za kilka godzin.

- Proszę - jęknął mężczyzna. - Żadnych lekarzy.

Tess zawahała się, przyglądając się w milczeniu rannemu. Potrzebował pomocy i to natychmiast. Była w tej chwili jego jedyną szansą. Nie miała pojęcia, czy zdoła mu pomóc, ale mogła go przynajmniej opatrzyć, postawić na nogi i pozbyć się stąd.

- Dobra - powiedziała. - Chwilowo żadnego pogotowia. Słuchaj ja... jestem w zasadzie lekarzem. No prawie. To jest lecznica weterynaryjna. Zgodzisz się, żebym podeszła i obejrzała twoje rany?

Wzięła drgnięcie jego ust i wysilone westchnienie za zgodę.

Przykucnęła przy nim na podłodze. Od początku miała wrażenie, że jest wielki, ale kiedy znalazła się tuż przy nim, okazało się, że jego muskularne ciało jest ogromne, miał ze dwa metry wzrostu i ważył zapewne ponad sto kilo, choć nie było na nim ani grama tłuszczu. Jakiś kulturysta? Jeden z tych mięśniaków, którzy spędzają życie w siłowni? Nie, nie pasował do takiego obrazu. Wyglądał raczej na gościa, który potrafi gołymi rękami rozerwać na kawałki każdego wroga.

Przesunęła delikatnie dłonią po jego twarzy, szukając urazów. Czaszkę miał całą, ale wyczuła opuchliznę. Zapewne nadal był w szoku.

- Zajrzę ci w oczy. - Uniosła mu powiekę. O cholera.

Pionowa, zwężona źrenica zatopiona w dużej jaskrawopomarańczowej tęczę. Cofnęła się gwałtownie, przerażona.

- Co, u diabła...?

Po chwili przyszło jej do głowy wyjaśnienie. Poczła się jak idiotka, że tak się wystraszyła.

To musiały być szkła kontaktowe z halloweenowego kostiumu.

Uspokój się, nakazała sobie w myślach. Zupełnie bez powodu zrobiła się nerwowa. Ten facet był pewnie na jakiejś imprezie, która wymknęła się spod kontroli. Ale niewiele się dowie na podstawie wyglądu jego oczu, póki będzie nosił te śmieszne soczewki.

Może trafił na twardzieli? Niewykluczone, że to członek jakiegoś gangu. Ale jeśli nawet włóczył się po nocy, to na pewno nic nie brał. Nie zauważyła żadnych oznak działania narkotyków, nie wyczuła też zapachu alkoholu. Tylko ciężki odór dymu. I to nie z papierosów.

Mężczyzna pachniał tak, jakby przeszedł przez ogień, nim skoczył do rzeki Mystic.

- Możesz poruszać rękami i nogami? - Pochyliła się nad nim. - Myślisz, że coś złamałeś?

Przesunęła rękami po jego muskularnych ramionach, ale nie wyczuła złamań. Nogi też miał w porządku, nie było żadnych obrażeń poza raną na lewej łydce. Wyglądało na to, że pocisk przeszedł na wylot. Podobnie jak ten, który trafił go w pierś. Miał facet szczęście.

- Muszę cię przenieść do gabinetu. Dasz radę się podnieść, jeśli ci pomogę?

- Krew. - Głos mu się łamał. - Potrzebuję jej... Zaraz.

- Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Transfuzję robią tylko w szpitalu. Muszę ściągnąć z ciebie mokre rzeczy. Bóg jeden wie, jakie bakterie przeniknęły z rzeki do twojej krwi.

Chwyciła go pod pachy i pociągnęła, zachęcając, żeby wstał. Zawarczał głośno jak zwierzę. Odślonił zęby. Wow. Dziwna sprawa. Facet miał ogromne kły.

Otworzył oczy, jakby wyczuwając jej niepewność. Jej strach. Ujrzała jaskrawopomarańczowe tęczę i poczuła, jak ogarnia ją panika. Z całą pewnością nie były to szkła kontaktowe.

Rany. Ten facet był zdecydowanie dziwny.

Nagle złapał ją za ręce. Krzyknęła, zaskoczona. Spróbowała się wyrwać, ale okazał się zbyt silny. Jego dłonie były niczym imadła. Przyciągnął ją do siebie. Tess wrzasnęła i zamarła ze strachu.

- O Boże, nie!

Zbliżył zakrwawioną twarz do jej gardła. Odetchnął głęboko. Jego usta musnęły jej skórę.

- Ciiii. - Poczowała ciepły podmuch na szyi. Mówił z trudem: - Nie... zamierzam cię... skrzywdzić. Słowo honoru...

Tess słyszała te słowa. Niemal w nie uwierzyła.

Aż do chwili, kiedy ranny otworzył usta i zatopił w jej ciele kły.

Rozdział 4

Krew kobiety wypełniła usta Dantego. Zaczął ssać z całych sił, gwałtownie, nie był w stanie stłumić czającej się w nim bestii, która знаła tylko pragnienie. Na jego języku pulsowało życie, spływało w jego wyschnięte gardło, jedwabiste, słodkie jak cynamon i takie ciepłe.

Być może z powodu zadanych ran krew kobiety smakowała tak niewiarygodnie, nieprawdopodobnie cudownie. Zresztą nie obchodził go powód. Pił żarłocznie, potrzebował jej ciepła, żeby rozgrzało jego zdrętwiałe ciało.

- O Boże, nie! - W głosie kobiety słysząc było szok. - Proszę! Puść mnie!

Odruchowo wbiła palce w jego mięśnie. Ale po chwili jej ciało znieruchomiło w jego ramionach, za-padając w trans spowodowany hipnotyczną mocą ugryzienia. Wydała długie westchnienie, po czym zrobiła się zupełnie bezwładna. Ułożył ją na podłodze pod sobą i ssał jej krew, której tak bardzo potrzebował.

Teraz nie czuła już bólu, bo choć ugryzienie było bolesne, trwało to tylko chwilę. Z ich dwojga cierpiał jedynie Dante. Nie wyszedł jeszcze z szoku, trząsł się gwałtownie, bolała go głowa.

Wszystko w porządku. Nie bój się. Jesteś bezpieczna, słowo honoru.

Napełniał jej umysł tymi zapewnieniami. Przygarnął ją do siebie i pił dalej.

Mówił prawdę, mimo pragnienia, które trawiło jego ciało, nie chciał skrzywdzić kobiety.

Wezmę tylko to, czego potrzebuję. Kiedy odejdę, zapomnisz o mnie.

Czuł, jak wracają mu siły. Poraniona skóra zaczęła się regenerować, rany po kulach i odłamkach zamykały się szybko, oparzeliny przestawały piec.

Ból znikał.

Puścił kobietę. Zmusił się, żeby nie pić łąpczywie, choć smak jej krwi był pobudzający. Od pierwszego łyku wyczuł w niej coś egzotycznego, a teraz, kiedy jego ciało zaczęło odżywać, a zmysły odzyskały sprawność, rozkoszował się słodczą przypadkowej Karmicielki.

I jej ciałem.

Było smukłe i silne pod bezkształtnym fartuchem lekarskim. Miała długie, umięśnione ręce i nogi i była cudownie zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach. Czuł jej piersi przyciśnięte do jego torsu, jej nogi splecione z jego nogami. Nadal zaciskała ręce na jego barkach, ale już go nie odpychała.

Wypił ostatni łyk jej życiodajnej krwi.

Boże, była taka wspaniała, że mógłby z niej pić przez całą noc!

I nie tylko pić, pomyślał. Nagle zdał sobie sprawę z własnej erekcji. Kobieta była rozkoszna. Jego błogosławiony anioł miłosierdzia, choć wymusił na niej przyjęcie tej roli.

Odetchnął jej słodkokorzennym zapachem i delikatnie pocałował miejsce, które przed chwilą nakarmiło go życiem.

- Dziękuję - szepnął, muskając delikatnie ustami jej aksamitną skórę. - Dziękuję, że uratowałaś mi życie.

Zwilżył językiem małe ranki na jej szyi i usunął wszelkie ślady ugryzienia. Kobieta jęknęła, ocknęła się z letargu. Poruszyła się pod nim, a ten ruch tylko zwiększył jego pożądanie.

Ale już dość od niej wziął. Wystarczy jak na jedną noc. Uznał, że uwiedzenie Karmicielki w kałużę krwi i cuchnącej wody z rzeki nie byłoby właściwe. Szczególnie, że rzucił się na nią jak zwierzę.

Uniósł się lekko i wyciągnął prawą rękę w stronę jej twarzy. Cofnęła głowę, pełna nieufności. Jej oczy były teraz szeroko otwarte - hipnotyzujące oczy w kolorze czystej akwamaryny.

- Jesteś piękna - wymruczał. Mówił to już tylu kobietom, ale nigdy te słowa nie znaczyły tak wiele jak dzisiaj.

- Proszę - szepnęła. - Proszę, nie rób mi krzywdy.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić - obiecał cicho. - Zamknij teraz oczy aniele. Już prawie po wszystkim.

Kiedy dotknie jej czoła, zapomni o nim.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił. Patrzyła na niego, jakby się spodziewała, że zaraz ją uderzy. Jakby go wyzywała, żeby to zrobił. Z czułością kochanka odgarnął włosy z jej policzka i poczuł, że spina się pod nim jeszcze bardziej. - Odpręż się. Możesz mi za...

Coś ostrego zraniło go w udo. Z pełnym złości warkotem Dante przetoczył się na wznak.

- Co do diabła?

Z miejsca ukłucia rozszedł się piekący ból. Mężczyzna poczuł w ustach gorzki smak, przed oczami mu pociemniało. Spróbował się dźwignąć z podłogi, ale znów upadł. Ciało odmówiło współpracy. Jego anioł miłosierdzia, dysząc ciężko, wpatrywał się w niego otwartymi szeroko zielononiebieski-mi oczami. Twarz kobiety to się pojawiała, to znikwała. Karmicielka przyciskała dłoń do szyi, tam gdzie ją ugryzł. Drugą rękę miała uniesioną na wysokość ramienia. Ścisłała w niej pustą strzykawkę.

Jezu Chryste, uśpiła go!

Ale to nie wszystko. Zarejestrował coś jeszcze, patrząc na jej drobną dłoń, która powaliła go jednym ciosem. Między kciukiem a palcem wskazującym miała małe znamię.

Było purpurowe, mniejsze niż dziesięciocentówka. Wyglądało jak kropla wpadająca do miseczki utworzonej przez odwrócony półksiężyc.

Ten obraz wrył się w mózg Dantego.

Takie znamię stanowiło genetyczną pieczęć, dowód na to, że kobieta, którą ma przed sobą to świętość dla jego rasy.

To Dawczyni Życia.

I że biorąc jej krew, dopełnił połowy związku krwi. Zgodnie z wampiryzm prawem należała teraz do niego, tylko do niego.

Nieodwołalnie. Na wieczność.

Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

W jego umyśle rozległ się wściekły ryk, ale w rzeczywistości Dante zdołał wydać z siebie tylko cichy warkot. Zamrugnął ogłuszony,

wyciągnął rękę, żeby chwycić kobietę, ale mu się nie udało. Powieki zrobiły się nagle niewiarygodnie ciężkie, nie miał siły ich unieść. Jęknął, rysy twarzy jego wybawicielki się rozmazały.

Patrzyła na niego.

- Śpij dobrze, ty psychotyczny sukinsynu! - wysyczała. W jej głosie była furia. Tess, dysząc ciężko, odskoczyła od napastnika. Ledwie mogła uwierzyć w to, co się jej przed chwilą przytrafiło. I że zdołała się uwolnić.

Dzięki Bogu za środek usypiający, pomyślała. Dzięki Bogu, że miała dość przytomności umysłu, by pamiętać o strzykawce w kieszeni. Dzięki Bogu, że zdołała jej użyć. Spojrzała na strzykawkę, którą nadal ścisnęła w rękę, i się skrzywiła.

Cholera. Podała mu całą dawkę.

Nic dziwnego, że padł jak zabity. Szybko się nie obudzi, to pewne. Prawie dwa centymetry środka usypiającego dla zwierząt, nie miał szans, choć był naprawdę wielki.

Nagle poczuła niepokój.

A jeśli go zabiła?

Nie bardzo wiedząc, dlaczego niepokoi się o życie kogoś, kto dosłownie przed chwilą rozszarpał jej gardło, wróciła do leżącego napastnika.

Nie ruszał się.

Ale oddychał, zauważyła z ulgą.

Leżał na plecach z rozłożonymi szeroko rękami, które jeszcze chwilę temu brutalnie ją trzymały. Teraz były bezwładne i nieruchome. A twarz, dotąd zasłonięta czarnymi włosami, okazała się całkiem atrakcyjna.

Nie, nie była ładna. Jej rysy były na to zbyt surowe i ostre. Proste brwi, długie czarne rzęsy ocieniające zamknięte oczy. Kości policzkowe mocno zarysowane. Nos zapewne kiedyś był idealny, ale zniekształciło go złamanie. Być może niejedno.

Było w nim coś dziwnie intrygującego, choć nie przypominała sobie, żeby go kiedyś widziała. Nie był w jej typie. A sama myśl o tym, że mógłby przyjść do jej lecznicy ze zwierzakiem, wydawała się śmieszna.

Nie, na pewno go nie znała. A kiedy wezwie gliny, żeby go stąd zabrały, z pewnością nie zobaczy go już nigdy więcej.

Nagle jej wzrok przyciągnął błysk metalu. Odsunęła skórzaną połą kurtki i wciągnęła głośno oddech na widok zakrzywionego noża tkwiącego w pochwie pod jego ramieniem. Po drugiej stronie miał pustą kaburę. Zapewne zgubił pistolet. Broń miał też przypiętą do szerokiego pasa na wąskich biodrach.

Ten człowiek był niebezpieczny, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Jakiś zbir, twardy i zabójczy, przy którym faceci kręcący się w porcie sprawiali wrażenie nieszkodliwych szczeniaków. Promieniowała z niego aura przemocy.

Tylko jego usta były łagodne. Szerokie i zmysłowe, wargi nieco rozchylone, naprawdę piękne. Takie usta mogły doprowadzić kobietę do szaleństwa na setki różnych sposobów.

Ale Tess wolała teraz o tym nie myśleć.

I ani na chwilę nie zapomniała o jego kłach.

Obeszła ostrożnie leżącego napastnika, choć wiedziała, że jest głęboko uspiiony, a potem uniosła jego górną wargę, żeby im się lepiej przyjrzeć.

Wcale nie miał kłów, tylko rząd idealnie białych zębów! Czyżby podczas ataku używał sztucznych zębów? A te najwyraźniej rozpląnęły się w powietrzu.

To nie miało najmniejszego sensu.

Rozejrzała się wokoło. Przecież ich nie wypluł! Była pewna, że ich sobie nie wyobraziła.

Jak inaczej zdołałby rozerwać jej gardło? Znow dotknęła szyi. Skóra pod jej palcami była gładka. Żadnej krwi czy skaleczeń. Nie czuła nawet bólu.

- To niemożliwe! Wstała i pospiesznie przeszła do gabinetu zabiegowego, włączając po drodze wszystkie światła. Odgarnęła włosy na bok i przejrzała się w gładkiej stali pojemnika na papierowe ręczniki. Skóra była nietknięta.

Jakby ten straszny atak w ogóle nie miał miejsca.

- Niemożliwe - powiedziała do swojego przerażonego odbicia. - Jak to się mogło stać?

Cofnęła się, zdumiona, od prowizorycznego lustra. Była całkowicie skołowana.

Ledwie pół godziny temu wysysał z niej krew obcy mężczyzna uzbrojony i ubrany na czarno, którego znalazła na podłodze lecznicy. To się przecież zdarzyło, więc jak to możliwe, że na jej skórze nie ma śladu po ugryzieniu?

Wyszła z gabinetu na uginających się nogach i ruszyła z powrotem do magazynu. Cokolwiek jej zrobił napastnik, bez względu na to jak zamaskował rany, które jej zadał, zamierzała dopilnować, by trafił za kratki i został postawiony w stan oskarżenia.

Podeszła do drzwi i stanęła jak wryta.

Woda i krew naniesione przez napastnika pobrudziły linoleum. Na ten widok żołądek podszedł jej do gardła, ale gorsze było co innego.

Magazyn był pusty. Jej napastnik zniknął.

Dostał morderczą dawkę środka usypiającego, a jednak wstał i wyszedł.

- Szukasz mnie, aniele? Tess odwróciła się i krzyknęła.

Rozdział 5

Miała wrażenie, że krew w jej żyłach zaczęła płynąć szybciej. Zmusiła się do wykonania pierwszego kroku i rzuciła się do ucieczki, mijając mężczyznę. W głowie miała mętlik.

Musi stąd uciekać.

Musi zabrać torebkę, pieniądze, komórkę i uciec stąd jak najdalej.

- Porozmawiajmy.

To znowu on. Stał przed nią, blokując jej drogę do biura.

Zupełnie jakby nagle zmaterializował się w progu.

Jęknęła, skręciła gwałtownie i wpadła do poczekalni. Chwyliła stojący na biurku telefon i nacisnęła przycisk szybkiego wybierania numerów.

- To się nie dzieje naprawdę... To się nie dzieje naprawdę - szeptała do siebie. Powtarzała te słowa jak mantrę. Chciała, żeby to wszystko zniknęło.

Rozległ się sygnał połączenia. No już. Odbierz!

- Zostaw ten telefon, kobieto!

Tess odwróciła się gwałtownie. Trzęsa się ze strachu. Jej napastnik poruszał się powoli, z niespieszną gracją doświadczonego drapieżnika. Zbliżył się do niej. Wyszczrzył zęby w strasznym uśmiechu.

- Proszę. Rozłącz się. Już. Tess pokręciła głową.

- Idź do diabła.

Słuchawka wyleciała z jej ręki, jakby była żywa. Kiedy uderzyła o blat biurka, Tess usłyszała dobiegający z niej głos Bena.

- Tess? Halo? To ty kotku? Jezu, jest trzecia nad ranem. Co ty jeszcze robisz w...

Gdzieś za nią rozległ się świst. Niewidoczna ręka wyrwała z gniazdka kabel telefoniczny. Tess podskoczyła, a w ciszy, która zapadła, słyszała tylko własny strach.

- Mamy poważny problem Tess. O Boże.

Był wściekły, a na dodatek teraz znał jej imię.

Zdała sobie sprawę, że jej napastnik nie tylko niezwykle szybko ocknął się z narkozy, ale również w cudowny sposób uleczył się z ran. Na jego skórze widziała błoto i popiół, ale żadnych zadrapań. Czarne spodnie miał podarte i poplamione krwią, ale przestał krwawić. Zniknęła też rana postrzałowa na piersi. Przez podarty materiał

koszulki widziała tylko gładkie, napięte mięśnie i nietkniętą śniadą skórę.

Czy to wszystko to był jakiś chory halloweenowy wygłup?

Jakoś wątpiła w to mimo wszystko. Nie spuszczała oka z mężczyzny.

- Masz na ręku znamię - powiedział to oskarżyciel-skim tonem i wycelował palcem w jej prawą drżącą rękę przyciśniętą do szyi.

- C-co?

- Jesteś Dawczynią Życia. I od dziś jesteś moja. Jego usta wygięły się lekko, jakby własne słowa wywołały w nim niesmak. Tess też się nie spodobały. Cofnęła się kilka kroków, czując, jak krew gwałtownie odpływa jej z głowy.

- Słuchaj, nie wiem, co się tu dzieje - zaczęła. - Nie wiem, co ci się dziś przytrafiło i jak trafiłeś do mojej lecznicy. Nie mam pojęcia, jakim cudem jesteś w stanie ustać, skoro podałam ci dość anestetyku, żeby powalić dziesięciu ludzi...

- Nie jestem człowiekiem, Tess. Jestem... czymś innym.

Wyśmiałyby go, gdyby nie powiedział tego tak śmiertelnie poważnie. Śmiertelnie spokojnie. Jest wariatem.

Jasne. Oczywiście, że to wariat. Szaleniec puszczony wolno. Zwariowany psychopata.

To jedyne sensowne wyjaśnienie, pomyślała, patrząc z przerażeniem, jak się do niej zbliża. Przyłgnęła plecami do ściany.

- Ocaliłaś mnie, Tess. Nie dałem ci wyboru, ale twoja krew mnie uleczyła.

Pokręciła głową.

- Nie uleczyłaś cię. Twoje rany nie były prawdziwe. Myślałeś, że są, ale...

- Były prawdziwe - zapewnił ją, a w jego głębokim głosie usłyszała cień obcego akcentu. - Bez twojej krwi mogły mnie zabić. Ale pijąc z ciebie, uczyniłem coś jeszcze. Coś, czego nie mogę cofnąć.

- O mój Boże. - Tess poczuła nagłą falę mdłości. - Mówisz o HIV? Proszę, tylko mi nie mów, że masz AIDS...

- To ludzkie choroby - powiedział lekceważąco. - Jestem na nie odporny. I ty również, Tess.

Jakoś ta deklaracja wcale jej nie przekonała.

- Przestań w kółko powtarzać moje imię! Przestań się zachowywać, jakbyś mnie znał...

- Nie będzie ci łatwo to zrozumieć, ale postaram się wyjaśnić wszystko najdelikatniej, jak potrafię. Choć tyle jestem ci winien. Widzisz Tess, jesteś Dawczynią Życia. Kimś wyjątkowym dla mojej rasy.

- Twojej rasy? - spytała. Miała dość jego gry. -Dobra, poddaję się. Powiedz tylko, co to za rasa.

- Jestem wojownikiem.

- Jasne, wojownikiem. A rasa to...?

Przez długą chwilę tylko na nią patrzył, jakby ważył odpowiedź.

- Wampiry, Tess.

Słodki Jezu, to było chyba coś więcej niż szaleństwo.

Nikt normalny nie łązi po mieście, udając wampira, ani nie realizuje chorych fantazji, jak ten facet tutaj.

Ślady po ugryzieniu zniknęły, choć była pewna -cholernie, przerażająco pewna - że przegryzł jej gardło ostrymi kłami i wypił mnóstwo krwi.

A teraz tu stał, rozmawiał z nią, nie okazując żadnych objawów działania środka usypiającego, po któ-rym powinien spać przez tydzień.

Jak to wszystko wytłumaczyć?

W oddali rozległy się syreny policyjne. Miała wrażenie, że zbliżają się do lecznicy. Psychopata, który ją tu więził, też je usłyszał. Przekręcił lekko głowę, ani na chwilę nie spuszczać z niej oczu w kolorze whisky. Uśmiechnął się lekko, ironicznie, po czym przeklął cicho pod nosem.

- Najwyraźniej twój chłopak zadzwonił po wsparcie.

Tess nie zdołała wykrztusić ani słowa. Wołała go nie prowokować. Za chwilę będą tu gliny.

- Doskonały sposób na zrujnowanie wieczoru -warknął, najwyraźniej do siebie. - Nie powinienem w ten sposób załatwiać spraw między nami, ale w tej chwili nie mam wyboru.

Wyciągnął rękę w stronę twarzy Tess. Skuliła się, by uniknąć jego dotknięcia. Spodziewała się, że ją uderzy, ale poczuła tylko na czole ciepły dotyk jego dużej dłoni. Pochylił się ku niej, musnął wargami jej policzek.

- Zamknij oczy - szepnął.

I świat Tess pogrążył się w ciemności.

- Ani śladu intruzów. Sprawdziliśmy wszystkie wejścia. Wygląda na to, że wszystko w porządku.

- Dziękuję, panie władzo. - Tess czuła się jak idiotka, że spowodowała takie zamieszanie i to o tak późnej - czy raczej wczesnej - porze.

Ben stał obok niej w jej biurze, obejmował ją opiekuńczo, a zarazem nieco zaborczo. Przyjechał przed chwilą, wkrótce po tym, jak syreny policyjne wyrwały ją z wyjątkowo głębokiego snu. Pracowała za długo i musiała zasnąć za biurkiem. Jakiś cudem zrzuciła telefon, co z kolei uruchomiło wybieranie numeru Bena. Ten rozpoznał numer lecznicy i przestraszył się, że coś jej się stało. Zadzwoił na policję i do lecznicy przyjechali dwaj funkcjonariusze.

A choć nie znaleźli żadnych śladów włamania, niestety, znaleźli Siwę i zaczęło się przesłuchanie. Ben upierał się, że znalazł tygrysa na ulicy, w co policjanci na pewno nie uwierzyli, ale uznali, że to może być kawał jakichś młodocianych rozrabiaków. W taką noc hallo-weenową jak ta wszystko było możliwe. Ben gorliwie poparł ich przypuszczenia.

Miał szczęście, że nie zakuli go w kajdanki. Skończyło się na ostrzeżeniu i nakazie, żeby zwrócił Siwę do sklepu z bronią z samego rana, nim ktoś nabierze podejrzeń i zgłosi kradzież.

Tess wysliznęła się z objęć Bena i wyciągnęła rękę do policjanta.

- Jeszcze raz dziękuję za przyjazd. Może napiją się panowie kawy albo gorącej herbaty? Mam tu jedno i drugie. Przygotowanie potrwa tylko kilka minut...

- Nie, dziękujemy. - Radio policyjne wydało kilka trzasków, a potem dyspozytor przekazał nowe polecenie. Policjant pochylił głowę do mikrofonu przypiętego do klapy munduru i zdał szybki raport, że w lecznicy weterynaryjnej wszystko jest w porządku. - Wygląda na to, że nie mamy tu nic więcej do roboty. Proszę na siebie uważać. I, panie Sullivan, ufam, że zwróci pan tygrysa jego właścicielom.

- Tak jest, panie władzo. - Ben uśmiechnął się, wymieniając z policjantem krótki uścisk dłoni.

Odprowadzili funkcjonariuszy do drzwi i przyglądali się, jak radiowóz rusza ciemną ulicą.

Kiedy zniknął im z oczu, Ben zamknął drzwi i odwrócił się do Tess.

- Na pewno nic ci nie jest? Kiwnęła głową i westchnęła głęboko.

- Nic. Przepraszam, że cię zdenerwowałam. Musiałam zasnąć przy biurku i zrzucić telefon.

- Ciągłe powtarzam, że nic dobrego nie wyniknie z pracy do późna. To nie jest najlepsza dzielnica. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę. - Nigdy nie miałam tu problemów.
- Zawsze jest ten pierwszy raz - stwierdził Ben. Jego twarz była poważna. - Odwiozę cię do domu.
- Taki kawał drogi na North End? Nie musisz tego robić, naprawdę. Wezwę taksówkę.
- Nie dziś. - Ben wziął jej torebkę i podał Tess. -Wcale nie chce mi się spać, a furgonetka czeka na ze-wnątrz. Chodź, Śpiąca Królewno.

Rozdział 6

Dante wysiadł z windy. Wyglądał i śmierdział dokładnie tak, jak się czuł. Znajdował się w kwaterze wojowników, jakieś sto metrów pod silnie strzeżoną posiadłością, która należała do rasy, a mieściła się pod jednym z najlepszych bostońskich adresów. Wściekał się, głównie na siebie, przez całą drogę. Dotarł na miejsce zaledwie kilka minut przed świtem, który zwęgliłby jego skórę nadwrażliwą na ultrafiolet.

Byłoby to wspaniałe zakończenie nocy, którą określić można było tylko w jeden sposób: PpWM.

Ruszył pustym białym korytarzem, który prowadził przez labirynt mu podobnych. Marzył o gorącym prysznicu i drzemce, marzył o tym, żeby przespać cały dzień. Albo lepiej, żeby przespać najbliższych dwadzieścia lat i uniknąć tego cholernego bałaganu, którego narobił dziś na górze.

- Hej, D!

Przeklął pod nosem, słysząc wezwanie z drugiego końca korytarza. To był Gideon, komputerowy geniusz i prawa ręka Lucana, szlachetnego wodza Zakonu. W całej kwaterze pełno było kamer, zapewne więc wszyscy wiedzieli o powrocie Dantego, gdy tylko wjechał na teren posiadłości.

- Gdzieś ty był, człowieku? Miałeś się zgłosić wieki temu.

Dante odwrócił się powoli.

- Można powiedzieć, że wpadłem w gówno.

- Bez jaj. - Gideon przyjrzał mu się znad kwadratowych okularów o jasnoniebieskich szklach, po czym zachichotał, kręcąc jasną głową. - Rzeczywiście wyglądasz nieszczególnie. I nie najładniej pachniesz. Co ci się u diabła stało?

- Długa historia. - Dante wskazał na swoje podarte, zakrwawione i mokre ubranie. Śmierdziało mułem po kąpieli w rzece Mystic i nie wiadomo czym jeszcze. - Złożę potem raport. W tej chwili muszę wziąć prysznic.

- Obawiam się, że prysznic musi poczekać - stwierdził Gideon. - Mamy towarzystwo.

Dante się zirytował.

- Jakie?

- Och, spodoba ci się. - Gideon kiwnął zachęcająco. - Chodź. Lucan chce, żebyś przy tym był.

Dante westchnął ciężko i ruszył za towarzyszem. Szli kolejnym korytarzem, który prowadził do laboratorium technicznego, centrali nadzoru i serwerowni, gdzie wojownicy odbywali większość spotkań. Za szklanymi drzwiami zobaczył trzech pozostałych wojowników: Lucana, mrocznego wodza Zakonu, Nikolaię, narwanego specja od broni, i Tegana, najstarszego po Lucanie i najbardziej zabójczego wampira, jakiego było mu dane dotąd spotkać.

W oddziale brakowało obecnie dwóch członków, gdyż Rio został kilka miesięcy temu ciężko ranny w zasadzce urządzonej przez Szkarłatnych i przebywał w ambulatorium, a Conlan mniej więcej w tym samym czasie zginął z ręki zamachowca samobójcy, który wysadził się w powietrze w miejskiej kolejce.

Wzrok Dantego spoczął na twarzy gościa. Najwyraźniej to było to towarzystwo, o którym wspominał Gideon. Wampir wyglądał jak księgowy. Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę, szary krawat i błyszczące czarne półbuty. Jego złotobrzazowe włosy były starannie ostrzyżone i nienagannie uczesane, każdy włos na swoim miejscu. Choć był dość potężny, przypominał raczej modela z reklamy designerskich ciuchów albo drogiej wody kolońskiej.

Dante zachmurzył się i pokręcił głową.

- Powiedz mi, że to nie jest jeden z kandydatów na wojowników.

- To - powiedział Gideon - jest agent Sterling Chase z bostońskich Mrocznych Przystani.

Ochrona porządku publicznego z Mrocznych Przystani. Cóż, to wyjaśniało jego wymuskany biurowy wygląd.

- Czego od nas chce?

- Informacji. I współpracy. Przynajmniej tak zrozumiałem. Mroczne Przystanie przysłały go tutaj w nadziei, że uzyska pomoc Zakonu.

- Naszą pomoc? - parsknął Dante. - Chyba żartujesz. Jeszcze niedawno wampiry z Mrocznych Przystani uważały nas za samozwańcych stróżów prawa!

Gideon rzucił na niego okiem i uśmiechnął się złośliwie.

- Dinozaury, które przeżyły swoje czasy i które powinno się wytępić. Tak brzmiało, na ile się orientuję, jedno z miłszych zarzutów.

Co za ironia, zważywszy że mieszkańcy tych sanktuariów wiedli spokojne życie tylko dzięki temu, że wojownicy nie ustawali w walce ze Szkarłatnymi. W średniowieczu, na długo nim Dante przyszedł na świat we Włoszech, a nastąpiło to w XVIII wieku, Zakon był jedynym

obrońcą rasy wampirów. Wówczas wojowników czczono jak bohaterów. Niestety, byli zbyt skuteczni, tłumiąc każdy bunt Szkarłatnych w zarodku. To sprawiło, że wampiry z Mrocznych Przystani nabrały pewności siebie i przestały się obawiać wroga. Obecnie Szkarłatnych było niewiele, choć ostatnio ich liczba zaczęła niepokojąco rosnać. Opracowano nawet prawa i procedury postępowania z nimi, traktując ich, jakby byli zwykłymi przestępcami, i wierząc, że więzienie i resocjalizacja mogą stanowić rozwiązanie problemu.

Ale wojownicy wiedzieli swoje. Brali udział w rzeziach, kiedy reszta wampirzej populacji ukrywała się w sanktuariach, udając, że wszystko jest w porządku. Tak naprawdę Dante i jemu podobni byli jedynymi obrońcami rasy. I woleli działać niezależnie od krępujących praw Mrocznych Przystani. Niektórzy mogliby nawet powiedzieć, że wbrew nim.

- A teraz proszą o pomoc? - Dante zacisnął dłonie w pięści. Nie miał nastroju na politykę rodem z Mrocznych Przystani czy na rozmowy z tamtejszymi idiotami. - Mam nadzieję, że Lucan zwołał to spotkanie tylko po to, żeby wypatroszyć ich wysłannika.

Gideon chichotał, kiedy otwierały się przed nimi szklane drzwi laboratorium.

- Spróbuj nie wystraszyć agenta Chase'a, nim wyjaśni, po co przyszedł, dobra?

Gideon wszedł do środka, a Dante za nim, skłaniając z szacunkiem głowę przed Lucanem i pozdrawiając gestem Nikolaia. Następnie zwrócił wzrok na urzędnika, który wstał ze swojego miejsca przy stole konferencyjnym i obrzucił pogardliwym spojrzeniem podarte ubranie wojownika pochłapane krwią.

Nagle Dante poczuł wielkie zadowolenie, że nie ogarnął się przed przyjściem tutaj. Dla lepszego efektu podszedł do agenta i wyciągnął na powitanie ubłoconą dłoń.

- Ty zapewne jesteś Dante. - Przedstawiciel Mrocznych Przystani miał niski kulturalny głos. Przyjął wyciągniętą dłoń i uścisnął ją krótko. Powęszył niemal niezauważalnie, jego nozdrza rozszerzyły się pod wpływem smrodu, który unosił się nad przybyłym. - To zaszczyt cię poznać. Jestem agentem specjalnym z bostońskich Mrocznych Przystani. Starszym agentem specjalnym - dodał z uśmiechem. - Ale dajmy spokój tytułom. Zwracajcie się do mnie jak wam wygodnie.

Dante tylko chrząknął i przygryzł wargi, żeby nie wypowiedzieć imienia, które samo cisnęło mu się na usta. Zamiast tego zajął krzesło koło agenta, nie spuszczając z niego chłodnego spojrzenia.

Lucan odchrząknął. Tylko tyle było trzeba, by przejął kontrolę nad spotkaniem.

- Skoro jesteśmy już wszyscy, zajmijmy się interesami. Agent Chase przynosi niepokojące wieści. W ostatnim czasie zniknęło kilka młodych wampirów. Prosi Zakon o pomoc w ich odszukaniu. Zgodziłem się.

- Nie zajmujemy się szukaniem i ratowaniem z opresji zaginionych - zauważył Dante, a jego słowom towarzyszyły potakujące pomruki pozostałych wojowników.

- Ma rację - poparł go Nikolai. Spod grzywy jasnych włosów połyskiwały jego lodowatobłękitne oczy. - My zajmujemy się raczej grą w „ty albo ja”.

- Chodzi o coś więcej niż kilka zabłąkanych wampirów, które nie wróciły na czas do domu - kontynuował niezrażony Lucan. Jego poważny ton natychmiast zmienił nastawienie wojowników. - Agent Chase wyjaśni wam, co się dzieje.

- W zeszłym miesiącu trzech młodzieńców z Mrocznej Przystani wyszło zabawić się na mieście i już nie wróciło. Tydzień później zaginęło kolejnych dwóch. Od tamtej pory zniknięcia mamy na porządku dziennym. - Mężczyzna sięgnął do aktówki, która stała na podłodze przy jego krześle, i wyciągnął grubą teczkę. Rzucił ją na środek stołu konferencyjnego. Ze środka wyleciało tuzin fotografii. Twarze uśmiechniętych młodych wampirów - To zgłoszone zaginięcia. Pewnie do dzisiaj zniknęły kolejne.

Dante przejrzał stos fotografii i puścił je wokół stołu. Uznał, że wszyscy nie mogli uciec z Mrocznych Przystani. Młodzi mężczyźni, którzy chcieli czegoś dowieść świata, mogli uważać tamtejsze życie za nudne, ale nie w taki sposób.

- Znaleźliście któregoś? Tyłu zaginionych w tak krótkim czasie? Na pewno są świadkowie.

- Odnaleźliśmy tylko kilku.

Chase wyciągnął kolejną teczkę, znacznie cieńszą niż poprzednia. Wyjął z niej parę fotografii i rozłożył je na stole. To były zdjęcia z kostnicy. Trzy wampiry z najmłodszego pokolenia, żaden nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat. Na każdym zdjęciu w obiektyw kamery

patrzyły oczy o źrenicach zwężonych w pionowe szparki i bursztynowych tęczęwkach charakterystycznych dla nałogu krwi.

- Szkarłatni - stwierdził szybko Niko. Praktycznie wysyczał to słowo.

- Nie - odparł agent Chase. - Zmarli w wyniku ataku nałogu krwi, ale przemiana jeszcze się nie dokonała. Nie byli Szkarłatnymi. Dante wstał z krzesła i pochylił się nad stołem, by przyjrzeć się bliżej zdjęciom. Jego wzrok przyciągnęła zaschnięta różowawa piana otaczająca wargi zmarłych. Taką samą miał na ustach jego dzisiejszy przeciwnik.

- Wiecie, co ich zabiło? Chase kiwnął głową.

- Przedawkowanie.

- Słyszeliście może o narkotyku o nazwie karmazyn? - spytał Lucan zebranych. - Z tego, co mówi agent Chase, wynika, że jest to szczególnie zjadliwa substancja, rozprowadzana od niedawna wśród młodych wampirów. Działa pobudzająco i wywołuje lekkie halucynacje, a ponadto daje ogromną siłę i wytrzymałość. Ale to tylko początek. Prawdziwa zabawa zaczyna się po jakichś piętnastu minutach od zażycia.

- Właśnie - wpadł mu w słowo agent Chase. - Ci, którzy zażyli ten czerwony proszek, dostają dreszczy jak w gorączce i zaczyna ich dręczyć wielkie pragnienie. Pod jego wpływem zmieniają się w zwierzęta. Mają wszystkie objawy nałogu krwi, od zwężonych źrenic i na stałe wysuniętych kłów po nieopanowaną żądzę. Jeśli taki osobnik uzyska dostęp do krwi, prawie na pewno zmieni się w Szkarłatnego. A jeśli nadal będzie go brał, tak skończy. - Chase puknął w zdjęcia z kostnicy.

Dante zaklął. Wiedział, że lada moment w Mrocznych Przystaniach wybuchnie histeria na punkcie za-ginięć. Do tego ten młody wampir, którego zabił dziś w nocy, był pod wpływem tego świństwa. Ale przecież Dante musiał się bronić, kiedy napastnik zaszarżował na niego jak oszalały nosorożec.

- Ten narkotyk, karmazyn. Wiadomo, skąd się bierze? - zastanawiał się na głos. - Wiadomo, kto go produkuje czy dystrybuuje?

- Niestety... Tylko to, co już wam przekazałem. Lucan przybrał poważny wyraz twarzy. Dante nie miał wątpliwości, co będzie dalej.

- I właśnie teraz mamy wkroczyć na scenę, tak? - rzucił gniewnie.

- Wampiry z Mrocznych Przystani proszą nas o pomoc w zidentyfikowaniu i, jeśli się uda, w sprowadzeniu z powrotem zaginionych obywateli. Oczywiście, kiedy się na nich natkniemy podczas nocnych patroli - odparł Lucan. - Obie strony na tym skorzystają. Musimy usunąć tych, którzy rozprowadzają karmazyn. Wszyscy się zgadzamy, że nie możemy dopuścić do gwałtownego wzrostu liczby Szkarłatnych.

Dante i inni pokiwali głowami.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni za waszą pomoc. -Chase przyglądał się uważnie zebranym wojownikom. -Jest jeszcze jedno, jeśli mogę?

Lucan lekko skinął głową. Mężczyzna odchrząknął.

- Bardzo chciałbym wziąć aktywny udział w tej operacji.

Zapadła długa ciężka cisza. Lucan zmarszczył brwi i odsunął się z krzesłem od stołu.

- Aktywny udział? W jakim sensie?

- Chcę towarzyszyć członkom Zakonu podczas misji, osobiście nadzorować operację i pomagać w odnajdywaniu zaginionych osób.

Siedzący koło Dantego Nikolai parsknął śmiechem. Gideon przeczesał palcami włosy, po czym rzucił na stół swoje jasnoniebieskie okulary.

- Nie zabieramy cywilów na akcje. Nigdy nie zabieraliśmy i nigdy nie będziemy tego robić.

Nawet niewzruszony Tegan, który nie powiedział dotąd ani słowa, wyraził swoje niezadowolenie.

- Nie przeżyjesz pierwszej nocy - stwierdził beznamiętnym tonem.

Dante powstrzymał się od uwag pewien, że Lucan spacyfikuje agenta samą siłą swojego spojrzenia. Ale dowódca nie odrzucił z miejsca pomysłu Chase'a. Wstał i oparł się pięściami o stół.

- Zostaw nas samych - zwrócił się do przedstawiciela Mrocznych Przystani. - Moi bracia i ja chcemy przedyskutować twoją prośbę między sobą. Możesz wrócić do domu i czekać na naszą decyzję. Będziemy w kontakcie.

Dante i pozostali wojownicy podnieśli się z miejsc. Po chwili wstał również agent Chase. Wziął z podłogi błyszczącą skórzaną aktówkę. Dante cofnął się od stołu, a kiedy mężczyzna próbował go wyminąć, zablokował mu drogę. Chase się zatrzymał.

- Tacy jak ty nazywają nas dzikusami - warknął wojownik ochrypłym głosem. - A ty prosisz o naszą pomoc w tym eleganckim garniturku i pod krawatem. Taki wyniosły i wymuskany. Lucan przemawia w

imieniu Zakonu i jeśli zdecyduje, że mamy wlec cię na akcje, zgoda. Ale to nie znaczy, że to pochwalam.

- Nie startuję w konkursie na najmilszego wampira. Jeśli macie jakieś uwagi co do mojej roli w śledztwie, po prostu mi je przekażcie.

Dante zachichotał zaskoczony tym wyzwaniem. Nie sądził, że facet ma jaja.

- Nie będę owijał w bawełnę, agencie specjalny Chase, przepraszam starszy agencie specjalny Chase. Nasze zajęcie to brudna robota. Walczymy. Zabijamy. Noc w noc. Nie niańczymy przedstawicieli władz z Mrocznych Przystani, którzy chcą budować karierę na naszej krwi.

- Nie taki jest mój zamiar, zapewniam. Interesuje mnie tylko ustalenie miejsca pobytu osób zaginionych. Jeśli przy okazji Zakon położy kres rozprowadzaniu tego świństwa, tym lepiej. Dla całej Rasy.

- A dlaczego sądzisz, że masz odpowiednie kwalifikacje, żeby z nami pracować?

Agent Chase rozejrzał się po pokoju, zapewne szukając wsparcia u któregoś z wojowników. Ale w laboratorium panowała cisza. Nawet Lucan się za nim nie wstawił. Dante zmrużył oczy i się uśmiechnął. Miał nadzieję, że cisza onieśmieli mężczyznę, że podwinie ogon i wróci do swojego małego spokojnego światka.

A wtedy oni zajmą się swoimi sprawami, czyli eliminowaniem Szkarłatnych. Bez kibiców i przyznawania cholernych punktów.

- Mam licencjat z nauk politycznych z Columbia University - odparł wreszcie Chase. - Podobnie jak mój brat, a przed nim mój ojciec ukończyłem Harvard z najwyższą notą na roku. Ponadto mam mistrzostwo w trzech sztukach walki i celnie strzelam z trzystu metrów. Bez przyrządów optycznych.

- Serio? - Wykształcenie miał imponujące, to prawda, ale na Daniem nie zrobiło to większego wrażenia. -Więc powiedz mi, Harvard, ile razy walczyłeś wręcz i strzelałeś poza salą treningową? Ile krwi przelałeś? Ilu wrogów zabiłeś?

Agent wytrzymał jego spojrzenie i uniósł gładko wygolony podbródek.

- Chętnie sprawdzę się na ulicy.

- Świetnie - parsknął Dante. - Naprawdę świetnie. Możesz być pewien, że jeśli pójdziesz z którymś z nas na misję, będziesz musiał się sprawdzić.

Chase obnażył zęby w niewesołym uśmiechu. - Dzięki za ostrzeżenie. Minął Dantego, wymamrotał słowa pożegnania, po czym wyszedł z laboratorium, ściskając w ręku teczkę.

Kiedy zamknęły się za nim szklane drzwi, Niko zaklął w swoim ojczystym języku.

- Czy ten gryzpiórek z Mrocznej Przystani myśli, że nam dorówna?! Dante pokręcił głową. Był tego samego zdania, ale dręczyło go coś innego.

- Miałem w nocy starcie. - Patrzył na napięte twarze swoich braci. - Myślałem, że to Szkarłatny wyszedł na żer. Starłem się z nim, ale nie poddał się łatwo. W końcu zagoniłem go nad rzekę, a tam wpadłem w nowe kłopoty. Dorwała mnie grupa uzbrojonych po zęby szaleńców.

Gideon przyjrzał mu się uważnie.

- Cholera. Dlaczego nie wezwalesz wsparcia?

- Nie miałem czasu. Chciałem ocalić dupę - odparł Dante, przypominając sobie atak. - Rzecz w tym, że ten Szkarłatny, którego zagoniłem nad rzekę, walczył jak oszalały. Po prostu nie dawało się go powstrzymać, zupełnie jakby to był wampir z pierwszego pokolenia. A na domiar złego tytan nie zadziałał.

- Jeśli to był Szkarłatny, tytan powinien go załatwić na miejscu - stwierdził Lucan.

- Jasne - zgodził się Dante. - Facet miał wszystkie objawy zaawansowanego nałogu krwi, ale nie zmienił się w Szkarłatnego, rozumiecie? I to też jeszcze nie wszystko. Zauważyliście tę różową pianę na zdjęciach z kostnicy? On też taką miał.

- Cholera - mruknął Gideon, sięgając po zdjęcia i pokazując je kolegom. - Czyli prócz starych problemów mamy na głowie wampiry działające pod wpływem karmazynu. Jak mamy ich odróżnić w czasie walki?

- Nijak - rzucił Dante. Gideon wzruszył ramionami.

- Nic nie jest już czarno-białe.

Tegan, którego nieruchoma twarz była jak zwykle pozbawiona wyrazu, zaśmiał się ironicznie.

- Mamy wojnę. Walczymy ze Szkarłatnymi. Niewiele tu miejsca na szarości.

Niko kiwnął głową.

- Jeśli jakiś nałogowiec wejdzie mi w drogę, wszystko jedno, czy będzie pod wpływem karmazynu, czy nałogu krwi, czeka go tylko

jedna przyszłość: szybka śmierć. Niech wampiry z Mrocznych Przystani grzebią na pogorzeliśku, jak to się już skończy.

Lucan odwrócił się do Dantego.

- A ty? Masz ochotę się tym zająć?

Dante skrzyżował ręce na piersiach, coraz bardziej marząc o prysznicu i końcu tej nocy, która z minuty na minutę robiła się coraz gorsza.

- Z tego, co wiemy o karmazynie, sprawa nie wygląda dobrze. Te zniknięcia spowodują panikę w sanktuariach. Już i tak źle się dzieje, że mamy do czynienia z narkotykiem, ale możecie sobie wyobrazić, co będzie, jak po ulicach zaczną ganiać agenci z Mrocznych Przystani, identyfikować zaginione osoby i zatrzymywać je na własną rękę?

Lucan kiwnął głową.

- A więc wracamy do prośby agenta Chase'a. Przyszedł do nas, ponieważ jego również to niepokoi. Chce zapobiec panice i odnaleźć zaginionych, a ponadto pozbyć się karmazynu, który stanowi zagrożenie dla rasy. Myślę, że współpraca z nim może się okazać korzystna. Chyba już czas, żeby Zakon sprzymierzył się z Mrocznymi Przystaniami. Dante nie zdołał ukryć niedowierzania.

- Nigdy ich nie potrzebowaliśmy! Od wieków tylko ratujemy ich leniwe tyłki z pożaru! Chyba nie chcesz powiedzieć, że mamy teraz je całować? Jeśli podamy im palec, za chwilę będziemy musieli prosić o zezwolenie, żeby się wysikać!

Posunął się za daleko. Lucan nie powiedział ani słowa, ale jedno jego spojrzenie sprawiło, że wojowników wymiotło z laboratorium, wszystkich prócz Dantego. Ten wbił wzrok w białą marmurową podłogę i swoje przemoczone buty. Czuł, że wpadł właśnie po uszy w gówno.

Nikt nie odważył się stracić kontroli przy Lucanie, który był przywódcą Zakonu od chwili jego powstania, niemal siedemset lat temu, na długo przed narodzinami Dantego i większości obecnych jego członków. Należał do pierwszego pokolenia, miał geny pochodzące bezpośrednio od Prastarych, przybyszów z innej planety, którzy przybyli na Ziemię wiele tysiącleci temu i zapoczątkowali wampirzą rasę. Takich jak on pozostało już niewiele. Mieli większą moc niż inni członkowie rasy.

Ponadto Lucan był mentorem Dantego i prawdziwym przyjacielem, o ile mógł w ten sposób nazwać tego wspaniałego wojownika.

To jednak nie znaczyło, że mu odpuści w takiej sprawie.

- Nie obchodzi mnie polityka Mrocznych Przystani -zaczął Lucan chłodnym i wyważonym tonem. - Ale wieści o tym narkotyku są niepokojące. Musimy ustalić źródło jego pochodzenia i przerwać dystrybucję. To zbyt ważne zadanie, żeby pozostawić je Mrocznym Przystaniom. Jeśli ceną za przeprowadzenie tej operacji na naszych warunkach jest zgoda na to, by agent Chase pobawił się przez kilka nocy w wojownika, zapłacimy ją.

Dante już otworzył usta, żeby wyrazić swój sprzeciw, ale Lucan uniósł ciemną brew i słowa zamarzył mu w gardle.

- Postanowiłem, że to ty zabierzesz agenta Chase'a na patrol.

Dante zagryzł usta. Wiedział, że nic nie zmieni decyzji Lucana.

- Wybrałem ciebie, ponieważ jesteś najlepszy do tego zadania. Tegan zapewne z miejsca by go zabił, a Niko, choć jest wspaniałym wojownikiem, nie ma takiego doświadczenia na ulicy. Pilnuj, żeby nasz agencik nie wpadł w kłopoty, ale nie trać z oczu celu: niszczenia wroga. Wiem, że mnie nie zawiedziesz. Nigdy mnie nie zawiodłeś. Skontaktuję się z Chase'em i powiem mu, że dołączy do nas już dzisiejszej nocy.

Dante skłonił się tylko. Był taki wściekły, że wolał nie ryzykować kłótni. Lucan poklepał go po ramieniu, jakby chciał powiedzieć, że rozumie jego gniew, po czym wyszedł z laboratorium. Dante został na miejscu jeszcze chwilę, zaciskając zęby tak mocno, że aż rozbolała go szczęka.

Czy naprawdę, wracając do kwatery, sądził, że ta noc nie może być już gorsza?

Ależ się pomylił.

Cóż, będzie musiał zrewidować swoje poglądy na to, co dokładnie oznacza PpWM.

Rozdział 7

Bardzo proszę, pani Corelli. - Tess postawiła na ladzie poczekalni plastikową transportówkę z prychającym i syczącym białym persem. - Aniołek nie jest w tej chwili zadowolony, ale za kilka dni poczuje się lepiej. Niech go pani nie wypuszcza na dwór, póki szwy się nie rozpuszczą. Wkrótce przestanie się czuć jak Romeo. Starsza kobieta mlasnęła językiem.

- Wie pani co? Od kilku miesięcy po naszej ulicy biegają małe aniołki, ale nie miałam pojęcia, że to jego sprawka! Codziennie wracał do domu pokiereszowany. Wyglądał jak zawodowy bokser, pyszczek miał poszarpany i pokrwawiony.

- Teraz przestaną go interesować bójki. I inne rozrywki. Słusznie pani postąpiła, kastrując go.

- Mój mąż chciałby wiedzieć, czy mogłaby pani zrobić to samo z chłopakiem naszej wnuczki. To dopiero dzikus. Tylko z nim kłopoty, a ma dopiero piętnaście lat.

Tess się roześmiała.

- Obawiam się, że moja praktyka ogranicza się do zwierząt.

- Wielka szkoda. Ile jestem winna, kochana?

Tess przyglądała się, jak staruszka wyciąga książeczkę czekową pomarszczonymi, wykrzywionymi artretyzmem dłońmi. Choć już dawno osiągnęła wiek emerytalny, nadal pięć razy w tygodniu sprzątała cudze mieszkania. To była ciężka i słabo płatna praca, ale ponieważ renta jej męża wygasła kilka lat temu, pani Corelli stała się jedyną żywicielką rodziny. Za każdym razem kiedy Tess miała dość walki, myślała o tej kobiecie, toczącej ją z takim wdziękiem i godnością.

- Akurat mamy promocję. W sumie to będzie dwadzieścia dolarów.

- Na pewno, kochana? - Kiedy Tess zdecydowanie pokiwała głową, kobieta wypisała czek, po czym wzięła transportówkę i ruszyła do wyjścia. - Dziękuję, pani doktor.

- Ależ nie ma za co.

Kiedy drzwi zamknęły się za klientką, Tess zerknęła na zegar wiszący w poczekalni. Tuż po czwartej. Ten dzień dłużył się jej niewiarygodnie, zapewne z powodu tej dziwacznej nocy. Rozważała nawet, czy nie odwołać wizyt i nie zostać w domu, ale zmusiła się do normalnej pracy. Jeszcze jedna wizyta i będzie mogła stąd iść.

Nie miała pojęcia, dlaczego raptem tak bardzo chce wrócić do swojego pustego mieszkania. Czuła się podminowana, a równocześnie zmęczona, całe jej ciało aż wibrowało dziwnym podnieceniem.

- Dzwonił Ben i zostawił ci wiadomość - powiedziała Nora, kiedy Tess wyszła z gabinetu zabiegowego. - Przyklepiłam ci kartkę na telefonie. Mówił coś o jakiejś wystawie jutro wieczorem. Powiedział, że obiecałaś z nim iść, ale chce się upewnić, że nie zapomniałaś.

- O cholera. To ta wystawa jest już jutro? Nora rzuciła jej drwiące spojrzenie.

- Dobrze zgadł, że zapomniałaś. Na pewno będziesz się dobrze bawić. A, i tę wizytę z czwartej dwadzieścia odwołano. Klientka musi zostać dłużej w pracy, ktoś zachorował. Chciała przełożyć wizytę na przyszły tydzień.

Tess zebrała długie włosy i potarła spięte mięśnie szyi.

- Świetnie. Możesz do niej oddzwonić i ustalić nowy termin?

- Już to zrobiłam. Dobrze się czujesz?

- Tak. To była długa noc, to wszystko.

- Słyszałam. Ben mi powiedział, co się stało. Znowu zasnęłaś przy biurku, co? - Nora się roześmiała. - A Ben tak się przestraszył, że wezwał gliny, żeby sprawdzili co z tobą? Cieszę się, że nie miał kłopotów z powodu tego zabłąkanego kotka.

- Ja również.

Kiedy Ben odwoził ją do domu, obiecał, że zaraz zabierze Siwę z lecznicy i odda właścicielom, tak jak poleciła mu policja. Nie obiecał jednak, że powstrzyma się od kolejnej misji ratunkowej. Nie po raz pierwszy Tess zastanawiała się, czy ta nieustępliwa gorliwość, choć wynikająca z najlepszych intencji, nie stanie się pewnego dnia przyczyną poważnych kłopotów.

- Wiesz co? - Popatrzyła na swoją asystentkę. - Nadal nie rozumiem, jakim cudem uruchomiłam szybkie wybieranie jego numeru...

- Pewnie podświadomie chciałaś do niego zadzwonić. Może i ja powinnam tego kiedyś spróbować? Myślisz, że mnie też ruszy na ratunek? - Tess przewróciła oczami, a Nora uniosła ręce w geście kapitulacji. - Tylko tak mówię. Ben sprawia wrażenie naprawdę fajnego faceta. Przystojny, bystry, czarujący... no i wpadł na amen. Nie rozumiem, dlaczego nie dasz mu szansy.

Ale Tess już dała mu szansę. I to więcej niż jedną. A choć tamte problemy należały do przeszłości, przynajmniej tak się zarzekał,

bardzo uważała, żeby ich znajomość nie zmieniła się w coś więcej niż przyjaźń. W zasadzie doszła do wniosku, że nie jest stworzona do związków.

- Ben to miły facet, ale nie każdy jest tym na kogo wygląda. - Odlepiała kartkę z telefonu i schowała ją do kieszeni spodni.

Skasowała czek pani Corelli i zaczęła przygotowywać wpłatę do banku.

- Chcesz, żebym wpłaciła utarg po drodze do domu? - spytała Nora.

- Nie, ja to zrobię. Skoro nie mamy wizyt, zamykamy wcześniej. - Tess schowała чеki do skórzanej saszetki. Kiedy uniosła głowę, stwierdziła, że Nora przygląda się jej z niedowierzaniem. - Co? Coś nie tak?

- Nie wiem. Kim, u diabła, jesteś i co zrobiłaś z moją szefową pracoholiczką?

Tess się zawahała. Miała kilkudniowe zaległości w pracy papierkowej, co kazało jej się zastanowić, czy faktycznie powinna wychodzić wcześniej, a raczej punktualnie.

- Żartuję! - wykrzyknęła Nora i wybiegła zza biurka. Wypchnęła Tess do małego korytarzyka. - Idź do domu. Odpocznij. Zabaw się, na litość boską!

Tess kiwnęła głową wdzięczna, że ma u boku kogoś takiego.

- Dzięki. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Pamiętaj o tym przy mojej kolejnej wypłacie.

Ledwie dwie minuty zabrało Tess pozbycie się fartucha, odszukanie torebki i wyłączenie komputera. Wyszła z lecznicy prosto w słoneczne popołudnie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zdołała za dnia wyjść z pracy i przejść się spacerkiem na stację metra. Rozkoszując się tą nagłą wolnością, zdała sobie sprawę, że jej zmysły są dziwnie wyostrzone. Nie spieszyła się. Dotarła do banku tuż przed zamknięciem. Potem wsiadła do metra i ruszyła do domu, na North End.

Jej mieszkanie było porządne, ale wystrój był monotony. Jedna sypialnia, salon, kuchnia i łazienka w kamienicy stojącej blisko drogi szybkiego ruchu, z której non stop dobiegał hałas. Tess do tej pory nie przeszkadzało trąbienie niecierpliwych kierowców czy pisk hamulców.

Aż do dziś.

Wbiegła na piętro, a w głowie huczały jej odgłosy ulicy. Zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie, rzucając torebkę i klucze na stary stolik pod maszynę do szycia, który kupiła za grosze i odnowiła. Zsunęła ze stóp brązowe mokasyny i ruszyła do pokoju, żeby odsłuchać automatyczną sekretarkę i pomyśleć o kolacji.

Ben nagrał jej kolejną wiadomość. Miał być na North Endzie dziś wieczorem i pytał, czy może wpaść i zabrać ją na piwo do pubu gdzieś w sąsiedztwie.

Jego głos był taki pełen nadziei, tak idealnie przyjacielski, że Tess dość długo trzymała palec na przycisku szybkiego wybierania numeru. Ale nie chciała zachęcać Bena. Już i tak źle się stało, że zgodziła się towarzyszyć mu na wystawę sztuki nowoczesnej.

Jutro wieczorem, przypomniała sobie znowu. Przez chwilę zastanawiała się, czy się z tego jakoś nie wykręcić. Ale, choć miała na to wielką ochotę, postanowiła, że tego nie zrobi. Ben kupił bilety specjalnie dla niej, ponieważ wiedział, jak bardzo interesuje się rzeźbą. Na tej zamkniętej wystawie prezentowano prace jej ulubionych twórców.

To był bardzo przemyślany prezent, więc gdyby się wycofała, zraniłaby Bena. Dlatego pójdzie z nim na tę wystawę, ale to będzie ich ostatnie wspólne wyjście. Nawet w charakterze przyjaciół.

Podjąwszy decyzję, włączyła telewizor, znalazła powtórkę starego odcinka *Przyjaciół*, po czym poszła do wąskiej kuchni, poszukać czegoś do jedzenia. Zajrzała do zamrażarki.

Które z pomarańczowych pudełek mrożonej nudy przyrządzi sobie dzisiaj?

Wzięła do ręki pierwsze z brzegu i otworzyła. Owinięta folią tacka zadzwoniła o blat. Tess zmarszczyła brwi. Boże, jest żałosna. Czy naprawdę zamierza w ten sposób spędzić jeden z nielicznych wolnych wieczorów? Zabaw się, powiedziała Nora. Uznała, że jej plany trudno uznać za zabawę. Asystentka pewnie by się z nią zgodziła.

Miała dwadzieścia sześć lat. Czy całe jej życie będzie właśnie takie?

Choć jej gorycz nie wynikała z myśli o pozbawionym smaku ryżu i gumiaстым kurczaku, popatrzyła na potrawę z obrzydzeniem. Kiedy ostatni raz ugotowała sobie prawdziwy posiłek? Kiedy po raz ostatni zrobiła coś tylko dla siebie?

Bardzo dawno temu, pomyślała i wrzuciła mrożony obiad do kosza na śmieci.

Starszy agent specjalny Sterling Chase zgłosił się do kwatery wojowników o zmierzchu. Trzeba zapisać na jego korzyść, że pozbył się garnituru i krawata. Zastąpił je szarą koszulą, czarnymi dżinsami i skórzanymi butami na grubych podeszwach. W tym stroju przestał sprawiać tak żałosne wrażenie cywila.

Szkoda, że żaden strój nic nie poradzi na to, że Harvard był osobistym zmartwieniem Dantego.

- Jeśli kiedykolwiek będziemy planować napad na bank, wiem kogo zatrudnić jako konsultanta od spraw stroju - stwierdził, naciągając skórzany płaszcz napa-kowany wszelkiej maści bronią. Skierowali się do jednego z samochodów, stojących w rozległym podziemnym garażu kwatery.

- Cóż, nie będę warować przy telefonie - odpalił Chase, przyglądając się wspaniałej kolekcji pojazdów. - Wygląda na to, że radzicie sobie dobrze i bez napadów na banki.

Przypominający hangar garaż pełen był kosztownych wozów, terenówek i limuzyn, nowych i zabytkowych, a każdy z nich był prawdziwą bestią. Dante poprowadził Chase'a do nowego czarnego jak noc porsche cayman S i otworzył zamki pilotem. Wsiadli do samochodu. Chase rozejrzał się po lśniącym wnętrzu z wyraźnym podziwem. Dante zapalił silnik, wystukał na pilocie kod otwierający bramę, po czym wyjechał prosto w noc.

- Zakonowi wiedzie się całkiem nieźle - zauważył Chase. Siedział koło Dantego w słabo oświetlonym wnętrzu samochodu. Zachichotał cicho. - Wiele osób w Mrocznych Przystaniach wierzy, że jesteście zwykłymi najemnikami i żyjecie w podziemnych jaskiniach, jak wyjęte spod prawa zwierzęta.

- Ta-ak? - mruknął Dante, wpatrując się w ciemną drogę przed sobą. Prawą ręką otworzył schowek i wyjął skórzaną torbę zawierającą podstawowy zestaw broni: noże, kawałek grubego łańcucha i półautomatyczny pistolet. Wysypał jej zawartość na kolana agenta. - Wybierz coś sobie. Zakładam, że wiesz, którym końcem tej beretty należy celować w złych facetów, chociaż pochodzisz z wyrafinowanego towarzystwa Mrocznych Przystani. Chase pokręcił głową i zaklął pod nosem.

- Słuchaj, nie o to mi chodziło...

- Gówno mnie obchodzi, o co ci chodziło - odparł Dante, zakręcając ostro koło magazynu. - Nie obchodzi mnie, co myślisz o mnie i moich

braciach. Wyjaśnijmy to sobie z góry, *capise*? Jedziesz ze mną tylko dlatego, że Lucan tak zdecydował. Więc lepiej siedź cicho i nie płącz mi się pod nogami.

W oczach agenta zamigotał gniew. Dante wyczuwał, jak emanuje z Chase'a gorącymi falami. Choć mężczyzna najwyraźniej nie przywykł do słuchania rozkazów, szczególnie wydawanych przez kogoś, kto w jego oczach był niższy rangą, zachował jednak swoją irytację dla siebie. Przejrzał broń, którą dał mu Dante, sprawdził bezpiecznik pistoletu, a potem włożył go do skórzanej kabury na piersi.

Dante skierował wóz ku bostońskiemu North Endowi. Zamierzał sprawdzić informację, na którą na-tknął się Gideon. Dotyczyła ona imprezy, która miała się odbyć w jednym ze starych magazynów. Było zaledwie wpół do ósmej wieczorem, minie więc jeszcze z pięć godzin, nim coś się zacznie dziać, ale Dante nie należał do osób cierpliwych. Nigdy nie potrafił siedzieć i czekać. Był zdania, że śmierć nie dorwie kogoś, kto jest w ciągłym ruchu.

Wyłączył światła samochodu i zaparkował naprzeciwko budynku, który mieli obserwować. Lekki wietrzyk przynosił zapach liści i kurzu. Kiedy przycichł, Dante otworzył okno i wpuścił do samochodu chłód nocy. Odetchnął głęboko rześkim późnojesiennym powietrzem.

Do jego nozdrzy napłynął słodkokorzenny zapach. Poczował gwałtowne podniecenie. Zapach doleciał z oddali, właściwie był ledwie wyczuwalny. Nie pochodził od człowieka ani wampira. Był mroczny i ciepły jak cynamon z wanilią, choć te składniki stanowiły zaledwie ułamek jego magii. Był wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju.

Rozpoznał go natychmiast. Należał do kobiety, którą się pożywiał. Dawczyni Życia, którą tak bezmyślnie uczynił swoją kilkanaście godzin temu.

Tess.

Otworzył drzwi samochodu i wysiadł.

- Dokąd idziesz?

- Ty zostajesz - rzucił Chase'owi. Ciągnęło go do niej, stopy same niosły go w jej kierunku.

- Co jest? - Agent wyciągnął broń i też zaczął wysiadać z porsche. - Powiedz, co się dzieje, do cholery. Zobaczyłeś tam coś?

- Zostań w tym pieprzonym samochodzie, Harvard. I pilnuj tego budynku. Muszę coś sprawdzić.

Nie sądził, żeby przez najbliższych kilka minut coś się tu zdarzyło, a nawet jeśli, to guzik go to obchodziło w tej chwili. Ważny był tylko ten zapach, który przynosił mu nocny wietrzyk. Świadomość, że kobieta jest gdzieś blisko.

Jego kobieta, uściśliło coś mrocznego w nim samym.

Tropił ją niczym drapieżnik. Jak wszyscy członkowie rasy miał wyostrzone zmysły, był niezwykle szybki i zwinny jak zwierzę. Każdy wampir mógł, jeśli zechciał, poruszać się wśród ludzi tak szybko, że nie byli w stanie go zauważyć. Stawał się ledwie chłodnym powiewem na ich karku, kiedy ich mijał. Wykorzystał teraz tę umiejętność, klucząc zatłoczonymi ulicami, starając się odszukać zwierzynę.

Skrecił za róg, wyszedł na główną ulicę i zobaczył ją na przeciwległym chodniku. Zatrzymał się, obserwując, jak Tess robi zakupy na ulicznych straganach. Wybierała warzywa, włożyła do płóciennej torby na zakupy żółty kabaczek, a potem zajęła się skrzynkami pełnymi owoców, uniosła do nosa blade kantalupy i sprawdziła jego dojrzałość.

Uświadomił sobie, że już przy ich pierwszym spotkaniu, choć był wtedy ciężko ranny, zauważył, jaka jest piękna. Dziś wieczorem, w świetle stoisk, wyglądała po prostu bosko. Policzki miała zaróżowione, jej niebieskozielone oczy rozbliły, kiedy uśmiechnęła się do sklepikarza, chwając jego towar.

Szedł za nią po drugiej stronie ulicy, trzymając się w cieniu. Nie mógł oderwać od niej oczu. Z tak bliskiej odległości jej zapach był odurzający. Odetchnął nim przez usta, wciągnął przez zęby tę korzenną słodycz, ciesząc się jej smakiem na języku.

Jak bardzo chciał jej znów spróbować!

Pić z niej.

Wejść w nią.

Nim się zorientował, co robi, zszedł z krawężnika na ulicę. Jeszcze chwila, a znalazłby się u jej boku, ale jego uwagę przyciągnęło coś innego.

Nie tylko on obserwował Tess.

W sieni stał jakiś mężczyzna i ukradkiem przyglądał się Tess, która właśnie płaciła za zakupy. Nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego. Był wysoki, szczupły, w typie chłopaka z college'u. No, ale Ted Bundy też sprawiał miłe wrażenie.

Tess wzięła warzywa i życzyła sprzedawczyni dobrej nocy. Kiedy tylko odeszła od stoiska, mężczyzna porzucił swoją kryjówkę.

Krew Dantego zawrzała na samą myśl o tym, że Tess może się stać coś złego. Przemknął jak wiatr przez ulicę, zachodząc mężczyzną od tyłu. Ruszył za nim w odległości kilku metrów, gotów zaatakować, jeśli ją zaczepi.

- Hej, doktorko! - zawołał mężczyzna poufałym tonem. - Co tu robisz?

Tess odwróciła się i uśmiechnęła zaskoczona.

- Ben? cześć. A ty co tu robisz?

Znała go. Dante wycofał się natychmiast, wtapiając się w tłum ludzi robiących zakupy lub wchodzących do restauracji.

- Dostałaś moją wiadomość? Miałem tu coś do załatwienia i pomyślałem sobie, że może moglibyśmy zjeść razem kolację.

Podszedł do niej, objął ją i pocałował w policzek. Ewidentnie był nią zauroczony. Chociaż nie, to było coś więcej niż zauroczenie. Dante wyczuł w nim zaborczość.

- Nadal jesteśmy umówieni jutro na tę wystawę w muzeum? - spytał Ben.

- Tak, jasne. - Tess kiwnęła głową, oddając mu siatkę z zakupami. - Jak się powinnam ubrać?

- Jak zechcesz. We wszystkim będziesz wyglądać bosko.

Oczywiście. Teraz Dante pojął wszystko. To był ten chłopak, do którego Tess dzwoniła wczoraj z lecznicy. Ten, którego wezwała na pomoc, kiedy Dante ją zaatakował.

Poczuł zazdrość, choć zdawał sobie sprawę, że nie ma do niej prawa.

Jednak jego krew wrzała. Ta część jego natury, która nie była człowiekiem, żądała, by rzucił się przez tłum, by powiedział tej kobiecie, że należy do niego, i tylko do niego. Czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie. Czy tego chcieli, czy nie. Ale ta rozsądniejsza część jego jaźni zdołała okiełznać bestię i zmusiła ją do uległości.

Nie chciał mieć Dawczyni Życia. Ani przedtem, ani teraz.

Patrzył na plecy Tess i jej chłopaka. Ich rozmowa ginęła w gwarze ulicy. Przez chwilę szedł za nimi, a krew pulsowała mu w skroniach i w innej części ciała położonej zdecydowanie niżej.

Odwrócił się, wkroczył w cień i wrócił do budynku, który kazał obserwować Harvardowi. Miał nadzieję, że Gideon ma rację i jego podejrzenia co do tego miejsca okażą się uzasadnione. Im szybciej,

tym lepiej, ponieważ w tej chwili marzył o wyczerpującej krwawej walce.

Rozdział 8

Zasadzka na North Endzie okazała się niewypałem. W budynku faktycznie odbywała się impreza, ale przyszli na nią tylko ludzie. Nie pojawił się ani jeden Szkarłatny, ani jeden młody wampir z Mrocznej Przystani nie zabłąkał się tu w poszukiwaniu karmazynu. Być może powinni poczuć ulgę, że miasto przycichło na kilka godzin, ale Dante bynajmniej jej nie czuł. Pozbawiona akcji wyprawa tylko zwiększyła jego napięcie i frustrację. Cholernie potrzebował jakiejś podniety.

Lekarstwo na tę przypadłość było dość proste. Znał na górze z tuzin miejsc, gdzie można znaleźć chętną kobietę z pulsującą żyłą i parą ciepłych zapraszających ud, więc kiedy podrzucił Chase'a do jego Mrocznej Przystani, zamiast do kwatery pojechał do klubu i zaparkował na ulicy. Zadzwoił z komórki do Gideona i złożył mu szybki raport.

- Spójrz na to z innej strony. Przez siedem długich godzin nie zamordowałeś agenta Mrocznych Przystani -zaśmiał się Gideon, przeciągając słowa. - To wielkie osiągnięcie. Robimy tu zakłady, jak długo pozwolisz temu facetowi żyć. Jeśli o mnie chodzi, obstawiam dziewiętnaście godzin.

- Tak? - Dante zachichotał. - To zapisz mnie na siedem i pół.

- Aż tak źle?

- Pewnie mogło być gorzej. Przynajmniej umie słuchać rozkazów, choć woli sam wszystkim kierować.

Spojrzał w boczne lustro. Jego uwagę rozproszył biały damski brzuch i biodra obciągnięte skórzaną minispódniczką, które zbliżały się do samochodu. Kobieta w butach na absurdalnie wysokich obcasach podeszła do okna. Wyglądała na prostytutkę. Kiedy pochyliła się i zaprezentowała mu obfite piersi, pozbawiony wesołości uśmiech i puste oczy heroinistki, wszelkie wątpliwości zniknęły.

- Szukasz towarzystwa, przystojniaku? - spytała przez przyciemnianą szybę, choć nie widziała, komu składa tę propozycję. Najwyraźniej jej to nie obchodziło. Obchodziła ją tylko jakość samochodu.

Dante ją zignorował. Nawet taki libertyn jak on trzymał się pewnych zasad. Ledwie zarejestrował, że prostytutka wzrusza ramionami i odchodzi.

- Chciałbym, żebyś mi coś ustalił, Gid.

- Co tylko zechcesz - odparł Gideon, a do Dantego dobiegł odgłos uderzenia w klawiaturę. - Czego ci trzeba?

- Możesz się dowiedzieć, w którym muzeum jest jutro impreza?

Znalezienie odpowiedzi zajęło Gideonowi kilka sekund.

- Mam tutaj dane z portalu społecznościowego. Przyjęcie dla VIP-ów w Muzeum Sztuk Pięknych. Jutro o siódmej trzydzieści.

To zapewne o tym Tess rozmawiała ze swoim chłopakiem. Zamierzali tam iść. Oczywiście nie obchodziło go, co robi ta kobieta i z kim. A świadomość, że dotyka ją, całuje, że wchodzi w nią inny mężczyzna nie powinna doprowadzać go do szału.

W ogóle nie powinno to mieć wpływu na jego nastrój, ale niestety miało.

- Dlaczego pytasz o muzeum? - Gideon przerywał jego rozmyślenia. - Masz jakiś trop?

- Nie, nic z tych rzeczy. Byłem po prostu ciekaw.

- Skąd to nagle zainteresowanie sztuką? - Gideon zachichotał. - Kilka godzin z Harvardem wywarło na ciebie aż taki efekt? Nigdy nie interesowały cię intelektualne podniety!

Dante nie był całkowitym ignorantem, a kultura nie była dla niego obcym pojęciem, ale nie miał ochoty teraz tego wyjaśniać.

- Zapomnij o tym - warknął do telefonu.

Jego irytację złagodziła kolejna okazja. Tym razem podeszły do niego dwie dziewczyny, które ewidentnie zablądziły tu z przedmieść. Studentki z college'u, doszedł do wniosku, obrzucając wzrokiem ich świeże twarze, zwinne, dwudziestokilkuletnie ciała i podarte, sztucznie postarzone designerskie dżinsy. Chichotały i usiłowały zachowywać się obojętnie, kiedy zbliżały się do samochodu.

- Wracasz do bazy?

- Nie. - Zniżył głos i wyłączył silnik, cały czas obserwując dziewczyny. - Noc jest jeszcze młoda. Chyba coś przegryzę.

Sterling Chase krążył po swoim mieszkaniu w Mrocznej Przystani niczym zwierzę w klatce, podmi-nowany i niespokojny. Choć dzisiejsza misja nie okazała się sukcesem, był z niej zadowolony. Niespecjalnie się przejmował aroganckim, pełnym pretensji wojownikiem, który był jego partnerem. Cel, który chciał osiągnąć z pomocą Zakonu, był dużo ważniejszy niż wszystko, co będzie musiał ścierpieć ze strony Dantego i reszty wojowników.

Był w domu od dwóch godzin. Jeszcze dwie i wstanie świt. Jednak wcale nie był śpiący.

Miał ochotę z kimś porozmawiać.

Oczywiście Eliza była pierwszą osobą, jaka mu przyszła na myśl. O tej porze zapewne była u siebie, szykowała się do snu. Bez trudu wyobraził ją sobie przy filigranowej toaletce, nagą pod przejrzystą białą koszulą nocną, czeszącą długie blond włosy. Zapewne zamknęła lawendowe oczy i nuciła do siebie cicho. Zawsze to robiła, odkąd ją znał. Wzruszał go ten nawyk.

Była taka krucha i słodka. Owdowiała pięć lat temu, a on był pewien, że nigdy nie zwiąże się z innym wampirem. W pewien sposób cieszył się z jej decyzji. To było prawo każdej Dawczyni Życia, która straciła ukochanego. Choć zdawał sobie sprawę, że jego pragnienie nigdy nie zostanie zaspokojone, równocześnie miał świadomość, że nie będzie musiał oglądać jej z innym mężczyzną.

Ale jeśli Eliza nie zwiąże się z innym wampirem, który karmiłby ją swoją krwią, zacznie się starzeć i pewnego dnia umrze, ponieważ jest człowiekiem, jak wszystkie Dawczynie Życia. To smuciło go najbardziej. Mógł się pogodzić z tym, że nigdy jej nie posiadzie, ale pewność, że za sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat, które dla jego rasy było zaledwie mgnieniem oka, nadejdzie dzień, kiedy straci ją na zawsze, była straszna. Może to z tego powodu chciał jej oszczędzić wszelkiego bólu.

Kochał ją. Tak jak zawsze.

Wstyd mu było jak bardzo. Wystarczyło, by o niej pomyślał, a jego skóra zaczynała płonąć, ogarniał go wewnętrzny ogień, o którym ona nigdy się nie dowie. Pogardzałaby nim, gdyby się dowiedziała, tego był pewien.

Ale to nie zmniejszało jego tęsknoty.

Chciał z nią być, nago, choć raz.

Zatrzymał się i usiadł na dużej kanapie. Rozłożył szeroko uda, odrzucił głowę na oparcie i wpatrzył się w sufit nad sobą.

Była tam, w sypialni nad jego pokojem.

Gdyby odetchnął dość głęboko, wyczułby jej zapach. Róża i wrzos. Wciągnął głęboko powietrze. Pod wpływem pragnienia kły wysunęły mu się z dziąseł. Oblizwał usta, niemal poczuł jej smak.

Co za słodka tortura. Wyobraził sobie, jak idzie bosa po dywanie, jak rozwiązuje troczki wymyślnej nocnej koszuli, jak pozwala, by jedwab spłynął na ziemię, jak wsuwa się między chłodne prześcieradła i leży naga i niedostępna, a jej sutki wyglądają jak pączki róży na tle białej skóry. Zaschło mu w gardle, puls zmienił się w głośne dudnienie,

krew w żyłach wrzała. Uwięziony w czarnych dżinsach członek był twardy jak kamień. Sięgnął ręką do krocza, pomacał gorące wybrzuszenie, rozpiął rozporek. Zaczął gładzić swój penis tak, jak tego nigdy nie zrobi Eliza.

Pocierał członek coraz szybciej, ale to tylko zwiększało cierpienie.

Nigdy nie przestanie pożądać...

- O nie - jęknął. Przepęniało go obrzydzenie do samego siebie.

Puścił członek i poderwał się z miejsca z pełnym złości sykiem, odmawiając sobie nawet prawa do fantazjowania o idealnej, niedostępnej Elizie.

Ogień ogarniał nogi Dantego. Wspinał się wyżej, docierał do bioder i piersi, oplatał jego plecy i ramiona. Nieustępliwy, wszechogarniający, sięgał coraz głębiej, przedłużając torturę. Palił coraz mocniej, obejmował go żarem.

Nie mógł się poruszyć, nie panował już ani nad swoim ciałem, ani nad umysłem. Pozostał tylko ogień. Który go zabijał.

Gardło i oczy paliły go od czarnego dymu, wdychał go zamiast powietrza. Był w potrzasku.

Czuł, jak skóra pokrywa się bąblami. Słyszał paskudne skwierczenie palącego się ubrania i włosów. Pogrążał się w swój prywatny koszmar.

Nie było z niego ucieczki.

Śmierć zbliżała się nieubłaganie.

Miał wrażenie, że jakaś wielka dłoń popycha go w dół, w wir wrzącej, nieskończonej nicości.

- Nie!

Obudził się ze wzdrygnięciem, wszystkie mięśnie miał napięte, gotowe do walki. Spróbował się poruszyć, ale coś go przytrzymało. Lekki ciężar na udach. Kolejny na piersi. Obie dziewczyny poruszyły się, jedna zamruczała cicho, przylgnęła do niego mocniej i pogładziła jego spoconą skórę.

- O co chodzi, kochany?

- Puść mnie - warknął. Głos miał schrypnięty, ledwie mógł mówić, tak spuchło mu gardło.

Wyplątał się z nagich kobiecych ciał i postawił boscie stopy na podłodze obcego mieszkania. Oddychał z trudem, serce nadal waliło mu jak młotem. Poczł jak ktoś dotyka jego pleców. Ziryutowany wstał i zaczął po ciemku szukać ubrania.

- Nie idź - poprosiła jedna z dziewczyn. - Mia i ja jeszcze z tobą nie skończyliśmy.

Nie odpowiedział. Marzył tylko o tym, żeby stąd wyjść. Za długo tu zabawiał. Na tyle długo, by śmierć go dopadła.

- Wszystko gra? - spytała ta druga. - Miałeś zły sen? Zły sen, pomyślał z goryczą.

Nic z tych rzeczy.

Doświadczał tej wizji, przeżywał ją w najdrobniejszych szczegółach, odkąd pamiętał. To była wizja przyszłości. Wizja jego własnej śmierci.

Znał dokładnie ostatnie pełne cierpienia chwile swojego życia. Nie wiedział tylko, dlaczego, kiedy i gdzie to się stanie. Wiedział natomiast, komu zawdzięcza ten wątpliwy dar przewidywania przyszłości.

Kobieta, która urodziła go we Włoszech dwieście dwadzieścia dziewięć lat temu przepowiedziała nie tylko własną śmierć, ale również śmierć swojego ukochanego partnera, uczonego, arystokratycznego wampira z Mrocznej Przystani, ojca Dantego. Jej przewidywania sprawdziły się co do joty. Utonęła w morzu, ratując dziecko, a jej partner został zabity przez zazdrosnego rywala politycznego jakieś osiemdziesiąt lat po jej śmierci, podczas tłumnego zebrania w rzymskiej Mrocznej Przystani. Dante odziedziczył jej dar, jak to się często zdarza wśród członków rasy. I teraz był skazany na wizje własnej śmierci.

- Wracaj do łóżka - błagała dziewczyna za jego plecami. - No chodź, nie bądź takim sztywniakiem.

Ubrał się pospiesznie i podszedł do łóżka. Kobiety wyciągnęły do niego ręce, ale były senne i niezgrabne, a umysły miały zamglone na skutek jego ugryzień. Zamknął ich rany natychmiast, gdy skończył się pożywiać, ale pozostawała do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Położył dłoń na czole jednej dziewczyny, potem na czole drugiej i pozbawił je wszelkich wspomnień z dzisiejszej nocy.

Gdyby tylko mógł zrobić to samo ze swoimi wspomnieniami, pomyślał z goryczą. Gardło nadal miał wyschnięte z powodu dymu.

Rozdział 9

Odrpęż się Tess. - Ręka Bena spoczywała na jej krzyżu, pochylał głowę do jej ucha. - Na wypadek gdybyś nie zauważyła, to jest wystawa, a nie pogrzeb.

To dobrze, pomyślała Tess, zerkając na swoją ciemnoczerwoną sukienkę. Choć prosta, wiązana na szyi sukienka należała do jej ulubionych strojów, okazało się jedyną plamą koloru na tle dominującej czerni. Czuła się w niej nie na miejscu, wręcz krzykliwie. Choć tak naprawdę nigdy nigdzie nie pasowała. Nigdy, nawet kiedy była dzieckiem. Zawsze była... inna. Zawsze oddzielało ją od świata coś, czego do końca nie rozumiała i czego nauczyła się nie zgłębiać. Zamiast tego próbowała się dopasować. Udawała, że tu, w sali pełnej obcych ludzi, pasuje. Czuła wielkie pragnienie ucieczki, miała wrażenie, że stoi przed frontem burzy. Zupełnie jakby wokół niej zbierały się niewidzialne siły, popychając ją na skraj przepaści. Miała wrażenie, że jeśli spojrzy na swoje stopy, zobaczy otchłań zapowiadającą długi niekończący się upadek.

Potarła kark. Czuła dziwne mrowienie tuż poniżej ucha.

- Wszystko w porządku? - spytał Ben. - Strasznie dziś jesteś milcząca.

- Naprawdę? Przepraszam, nie chciałam.

- Dobrze się bawisz?

Kiwnęła głową i zmusiła się do uśmiechu.

- Wspaniała wystawa. W programie napisali, że to prywatna impreza.

Jak zdobyłeś bilety?

- Och, mam swoje znajomości. - Wzruszył ramionami, a potem dopił szampana. - Ktoś był mi winien przysługę. Ale nie taką, jak sądzisz - zastrzegł, wyjmując pustą szklankę z jej ręki. - Znam barmana, a on zna jedną z organizatorek wystawy. Ponieważ wiem, jak bardzo lubisz rzeźbę, kilka miesięcy temu poprosiłem go o załatwienie dwóch biletów na tę imprezę.

- A ta przysługa? - Tess popatrzyła na niego podejrzliwie. Wiedziała, że Ben często zadawał się z bardzo niewłaściwymi ludźmi. - Co musiałeś dla niego zrobić?

- Zepsuł mu się wóz, więc pożyczyłem mu furgonetkę, żeby mógł dojechać na wesele, gdzie miał robotę. To wszystko, przysięgam. Nic niewłaściwego. - Obdarzył ją jednym ze swoich promiennych uśmiechów. - Hej. Przecież ci obiecałem, prawda?

Tess niepewnie skinęła głową.

- A skoro już mówimy o barach, to może przyniosę drinki? Dla pani kolej na woda mineralna z cytryną?

- Tak, bardzo proszę.

Kiedy Ben zniknął w tłumie, Tess zajęła się oglądaniem ekspozycji. Wystawiono tu setki rzeźb przedstawiających tysiące lat historii ludzkości. Wszystkie prace umieszczono w wysokich szklanych gablotach.

Tess podeszła do grupy opalonych blondynek, które oglądały włoskie gliniane figurki i rozmawiały o tym, że taka to a taka usunęła sobie chirurgicznie zmarszczki z czoła, a inna nawiązała w klubie romans z instruktorem tenisa, dużo młodszym od niej. Tess trzymała się z boku. Starła się nie słuchać. Przyglądała się rzeźbie Cornacchiniego zatytułowanej *Śpiący Endymion*.

Czuła się jak oszustka i to z dwóch powodów: jako partnerka Bena i jako gość na zamkniętym pokazie dla patronów muzeum. Ben pasował tu zdecydowanie lepiej niż ona. Urodził się i wychował w Bostonie, przywykł do muzeów i teatrów, natomiast jej edukacja kulturalna sprowadzała się do wiejskich jarmarków i miejscowego kina. Wiedzę na temat sztuki miała w najlepszym razie skromną, natomiast rzeźba to była zawsze jej ucieczka, szczególnie w tych trudnych czasach, kiedy dorastała na wsi w Illinois.

Była wtedy zupełnie kim innym. Tak, Teresa Dawn Culver wiedziała wiele o oszustach. Jej ojczym się o to postarał. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie przykładowego obywatela, zamożnego, uprzejmego, moralnego. Ale wcale taki nie był. Na szczęście nie żył od niemal dziesięciu lat, a niedawno zmarła również jej matka. Zdołała się od niej odseparować już wcześniej, dzieliło je te dziewięć i pół roku i pół Ameryki.

Gdyby tylko mogła pozbyć się również wspomnień.

Straszliwa świadomość tego, co zrobiła...

Skupiła się na uroczych kształtach Endymiona. Nagle poczuła, jak włoski jeża się jej na karku. Ogarnęła ją fala gorąca. Nagła, ale na tyle wyraźna, że wyprostowała się i rozejrzała. Nie zauważyła niczego szczególnego. Grupa rozgadanych kobiet przeniosła się gdzie indziej i przy gablocie stała teraz sama.

Ponownie skierowała wzrok na XVIII-wieczną rzeźbę, chłonąc jej spokojne piękno.

- Niezwykła.

Głęboki męski głos z lekkim obcym akcentem kazał jej podnieść głowę. Po drugiej stronie gabloty stał mężczyzna. Tess spojrzała prosto w oczy w kolorze whisky, ocienione grubymi czarnymi rzęsami. Cóż, skoro sądziła, że się tu wyróżnia, musiała przeoczyć tego faceta.

Był mroczny i miał prawie dwa metry wzrostu. Patrzył na nią jastrzębimi oczami, emanując nieza-chwianą, niemal groźną pewnością siebie. Stanowił prawdziwe studium w czerni, począwszy od błyszczących włosów, przez szerokie poły skórzanego płaszcza, obcisłą koszulę, skończywszy na długich nogach obleczonej w czarne spodnie i także buty.

Pomimo tak nieodpowiednio swobodnego stroju sprawiał wrażenie, jakby to miejsce należało do niego. Nawet gdy stał zupełnie nieruchomo, promieniowała od niego siła. Ludzie przyglądali się mu, ale nie z niechęcią, lecz z obawą, pełną szacunku ostrożnością, którą poczuła również Tess. Kiedy uświadomiła sobie, że się na niego gapi, szybko spojrzała na rzeźbę, uciekając przed jego wzrokiem.

- Tak, jest... piękna - wyjąkała, mając nadzieję, że jej rumieniec nie jest zbyt widoczny.

Z jakiegoś powodu serce biło jej szybko i wróciło to dokuczliwe mrowienie na szyi. Dotknęła miejsca poniżej ucha, gdzie pod skórą pulsowała tętnica. Mrowienie jeszcze się wzmogło, jakby skórę drażniła przepływająca krew. Była zdenerwowana i niespokojna, brakowało jej tchu. Kiedy ruszyła ku kolejnemu eksponatowi, mężczyzna obszedł rzeźbę i stanął na jej drodze.

- Cornacchini to prawdziwy mistrz - powiedział, a jego jedwabisty akcent sprawił, że nazwisko za-brzmiało zupełnie jak mruczenie wielkiego kota. - Nie znam wszystkich jego prac, ale moi rodzice byli swego czasu we Włoszech wielkimi patronami sztuki. A więc to Włoch. No tak, to by wyjaśniało ten cudowny akcent. Ponieważ nie mogła mu się teraz wywinąć, kiwnęła grzecznie głową.

- Od dawna jest pan w Stanach? - spytała.

- Tak. - Jeden kącik ust uniósł mu się w krzywym uśmiechu. - Jestem tu od bardzo dawna. Mam na imię Dante - dodał, wyciągając do niej wielką dłoń.

- Tess. - Uścisnęła jego rękę i omal nie jęknęła. Ten dotyk był taki... elektryzujący.

Dobry Boże, ależ ten facet był wspaniały! Nie ładny jak modele, ale surowy i męski, z kwadratową szczęką i wklęsłymi policzkami, a jego pełne wargi mogły wywołać łyzy zazdrości u zebranych tu, naszprycowanych kolagenem kobiet z towarzystwa. To była taka bluźnierczo męska twarz, którą artyści od wieków bezskutecznie próbują utrwalić w glinie. Jediną widoczną wadą było skrzywienie mostka nosa.

Bił się z kimś, pomyślała Tess i jej zainteresowanie od razu opadło. Nie przepadała za agresywnymi mężczyznami, nawet jeśli wyglądali bosko.

Uśmiechnęła się uprzejmie i ruszyła dalej.

- Miłego oglądania.

- Zaczekaj. Dlaczego uciekasz? - Położył dłoń na jej ramieniu, a ten przelotny kontakt wystarczył, by zatrzymać ją w miejscu. - Boisz się mnie, Tess?

- Nie. - Co za dziwne pytanie. - A powinnam? Coś zabłysło w jego oczach, ale zaraz zniknęło.

- Nie. Tego nie chcę. Chcę, żebyś została, Tess. Ciągłe powtarzał jej imię. Za każdym razem, gdy je wypowiadał, łagodził jej niepokój.

- Słuchaj, ja... hm... przyszłam tu z kimś - wyrzuciła z siebie, uciekając się do najbardziej oczywistej wymówki.

- Z chłopakiem? - spytał, po czym przeniósł wnikliwe spojrzenie na tłum przy barze. - Nie chcesz, żeby zobaczył, jak rozmawiamy?

To zabrzmiało śmiesznie. Ben nie miał do niej żadnych praw, a nawet gdyby ze sobą chodzili, na pewno nie pozwoliłaby się tak zdominować, żeby nie wolno jej było porozmawiać z innym mężczyzną. Bo przecież tylko rozmawiali, choć miała dziwne wrażenie, że jest to coś niezwykle intymnego. Nawet zakazanego.

Nie czuła się pewnie, bo choć nauczyła się bronić, zaintrygował ją ten obcy mężczyzna. Podobał się jej. Nawet więcej, w jakiś niewytłumaczalny sposób czuła się z nim związana.

Uśmiechnął się do niej, a potem powoli obszedł rzeźbę Cornacchiniego.

- *Śpiący Endymion* - odczytał plakietkę umieszczoną na gablocie. - Jak sądzisz, o czym on śni, Tess?

- Nie znasz tej historii? - Pokręcił głową. Tess podeszła do niego, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Po prostu nie mogła się

zatrzymać, póki nie stanęła tuż koło niego, tak blisko, że ich ramiona stykały się lekko. Oboje patrzyli na rzeźbę. - Endymion śni o Selene.

- Greckiej bogini księżycy - dopowiedział Dante, a jego głęboki głos spowodował, że zadrżała. - Czy byli kochankami, Tess?

Kochankami.

Kiedy wymówił to słowo, ogarnął ją żar. Powiedział to obojętnym tonem, a jednak miała wrażenie, że to pytanie dotyczy bezpośrednio jej samej. Drażniące mrowienie szyi powróciło, pulsowało zgodnie z rytmem uderzeń serca. Odchrząknęła, była dziwnie zmieszana, wszystkie zmysły miała wyostrome.

- Endymion był pasterzem, a Selene, tak jak wspomniałeś, boginią księżycy - powiedziała wreszcie, przypominając sobie wiedzę wyniesioną z kursu mitologii greckiej w college'u.

- Człowiek i nieśmiertelny - stwierdził Dante. Czują, że wpatruje się w nią oczami w kolorze whisky. - Niezbyt udane połączenie, nie sądzisz? Ktoś zwykle ginie.

Zerknęła na niego.

- Im się powiodło. - Popatrzyła uważnie na rzeźbę, żeby powstrzymać się od spoglądania na Dantego. Wiedziała, że nadal się jej przygląda tak uważnie, że niemal czuła ciepło tego spojrzenia. Zaczęła mówić, chcąc za wszelką cenę wypełnić słowami przestrzeń między nimi. - Selene mogła się z nim spotykać tylko w nocy. Chciała z nim zostać na zawsze, więc wyblagała u Zeusa, by obdarzył jej kochanka wiecznym życiem. Bóg zgodził się i pasterz pogrążył się w wiecznym śnie, w którym co noc czeka na swoją ukochaną Selene.

- I żyli potem długo i szczęśliwie - mruknął Dante, a w jego głosie pobrzmiwał cynizm. - Coś takiego jest możliwe tylko w mitach i baśniach.

- Nie wierzysz w miłość?

- A ty, Tess?

Spojrzała na niego, w te uważne, pytające oczy. To było równie intymne, jak pieśniczota.

- Chciałabym w nią wierzyć - odparła wreszcie, niepewna, dlaczego się do tego przyznaje właśnie teraz, przed nim. Zmieszana się. Poruszyła się niespokojnie, podeszła do sąsiedniej gabloty, gdzie prezentowano dzieła Rodina. - Co cię interesuje w rzeźbie, Dante? Jesteś artystą czy entuzjastą?

- Ani jednym, ani drugim.

- Och. - Szedł za nią, zatrzymał się wraz z nią przy gablocie. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, uznała, że tu nie pasuje, ale kiedy usłyszała, jak mówi, kiedy przyjrzała mu się z bliska, musiała przyznać, że choć wyglądał jak postać z filmów braci Wachowskich, czuło się w nim pewne wyrafinowanie. Pod tym skórzanym płaszczem i wyrobionymi mięśniami kryły się mądrość i doświadczenie, które ją zaintrygowały. Zapewne bardziej niż powinny. - Więc kim jesteś? Patronem muzeum?

Lekko pokręcił ciemną głową.

- Ochraniasz wystawę? - zaryzykowała.

To by wyjaśniało ten brak formalnego stroju, no i siłę, jaka z niego promieniowała. Może pracował w ekskluzywnej firmie ochroniarskiej, z rodzaju tych, które są wynajmowane do pilnowania wystawianych kolekcji?

- Jest tu coś, co chciałem zobaczyć - odparł, nie odrywając od niej hipnotyzującego spojrzenia. - Tylko dlatego przyszedłem.

Spojrzał przy tym na nią w taki sposób, jakby chciał przeszyć ją wzrokiem na wylot. Podrywano ją dostatecznie często, by czuła, kiedy facet to robi, ale to było coś innego.

Ten mężczyzna patrzył na nią w taki sposób, jakby już do niego należała. Nie było w tym brawury ani groźby, tylko proste stwierdzenie faktu.

Tak łatwo było wyobrazić sobie jego wielkie dłonie przesuwane się po jej ciele, gładzące jej nagie ramiona. Zmysłowe wargi przyciskające się do jej warg, zęby delikatnie skubiące jej szyję.

Niezwykła.

Spojrzała na niego, na te lekko wygięte usta, które pozostały nieruchome, choć mogłaby przysiąc, że powiedział to słowo na głos. Zbliżył się do niej, nie zważając na ludzi, którzy i tak nie zwracali na nich uwagi, i czule przesunął kciukiem po jej policzku. Nie znalazła w sobie dość siły, by się cofnąć, kiedy pochylił się i powtórzył ten gest wargami.

Poczuła żar, powolny ogień, który pochłonął jej rozsądek.

Przyszedłem tu dziś dla ciebie.

Nie mogła tego usłyszeć, pomijając wszystko inne, nie powiedział ani słowa. A jednak jego głos rozległ się w jej głowie, kołując jej nerwy, choć powinna być niespokojna. Kazał jej wierzyć, choć rozsądek podpowiadał, że to, czego doświadcza, nie jest możliwe.

Zamknij oczy, Tess.

Powieki opadły jej same, a wtedy złożył na jej wargach lekki, hipnotyzujący pocałunek. To się nie dzieje naprawdę, pomyślała z desperacją. Nie pozwala się przecież całować obcemu facetowi. I to w sali pełnej ludzi.

Ale czuła ciepło jego ust, czuła jego zęby na dolnej wardze. Possał ją lekko, nim się wycofał. Tak po prostu przestał ją całować. A ona chciała więcej.

I to jak bardzo.

Nie mogła otworzyć oczu. Czuła się rozpalona, ogarnęło ją pożądanie i dziwna tęsknota. Zachwiała się lekko, zaczęła ciężko oddychać, brakowało jej tchu. Zaskoczyły ją własne doznania. Poczowała chłodny powiew, od którego dostała gęsiej skórki.

- Przepraszam, że tyle to trwało. - Na dźwięk głosu Bena otworzyła szybko oczy. Szedł ku niej z napojami w rękach. - To istne zoo. Kolejka przy barze jest niewiarygodnie długa.

Zaskoczona, rozejrzała się, szukając wzrokiem Dantego, ale zniknął. Nigdzie nie było go widać. Ani w pobliżu, ani dalej, w tłumie.

Ben podał jej szklankę z wodą mineralną. Wypiła ją pospiesznie, czując pokusę, by to samo zrobić z kieliszkiem szampana.

- O cholera. - Ben zmarszczył brwi. - Ta szklanka musi być wyszczerbiona. Skaleczyłaś się w wargę.

Podniosła rękę do ust, a Ben podał jej białą serwetkę. Poczowała na palcach wilgotną czerwień.

- Przepraszam, powinienem był sprawdzić...

- Nic się nie stało. - Nie bardzo wiedziała, czy to prawda, niemniej to, co czuła, na pewno nie było wi-ną Bena. Nie musiała oglądać szklanki, żeby wiedzieć, że wcale nie była wyszczerbiona i to nie o nią się skaleczyła. Zapewne przygryzła sobie wargę, kiedy razem z Dantem... Nie, nie chciała nawet myśleć o tym dziwnym spotkaniu. - Wiesz co? Jestem trochę zmęczona. Czy moglibyśmy już iść?

- Oczywiście. Co tylko zechcesz. Pójdę po płaszcze.

- Dziękuję.

Kiedy ruszyli do wyjścia, Tess rzuciła ostatnie spojrzenie na gablotę, w której spał Endymion, czekając na noc i swoją kochankę nie z tego świata.

Rozdział 10

Co on sobie, u diabła, wyobrażał?

Dante ukryty w cieniu wejścia do muzeum był maksymalnie wkurzony. Błąd numer jeden to przyjście tutaj w przekonaniu, że tylko spojrzy jeszcze raz na kobietę, która zgodnie z prawem rasy należała teraz do niego. Błąd numer dwa? Widok Tess uczepionej ramienia chłopaka - wyglądała niczym drogocenny klejnot w ciemnoczerwonej sukience i sandałkach - i głupie przekonanie, że do niej nie podejdzie.

Żeby dotknąć.

Żeby spróbować.

A wtedy w tej jednej chwili wieczór zmienił się w coś zupełnie niezaplanowanego. To już nie był błąd w osądzie, tylko katastrofa potężnych rozmiarów. Wzrok mu się wyostrzył, gdyż pożądanie zmieniło jego źrenice w pionowe szparki. Penis zaczął gwałtownie domagać się uwolnienia ze spodni. Puls bił mu jak oszalały, kły wysunęły się z dziąseł w zmysłowym głodzie. A jego frustracji nie zmniejszyła bynajmniej fakt, że w obecności Tess omal nie stracił kontroli nad sytuacją.

Bóg raczy wiedzieć, jak daleko by zaszedł, gdyby nie zjawił się jej chłopak. I nic go nie obchodziło, czy ktoś na nich patrzył, czy nie. Na widok Bena zbliżającego się od strony baru Dantem zawładnęły prymitywne uczucia. Morderczy instynkt, którego powodem było pożądanie Tess.

Jezu Chryste.

W ogóle nie powinien był tu dziś przychodzić.

Co chciał udowodnić? Że jest silniejszy niż związek krwi, który zainicjował?

Cóż, dowiódł jedynie własnej arogancji, a podniecone ciało będzie mu o tym przypominać przez resztę nocy. Był tak pobudzony, że być może potrwa to nawet tydzień.

Choć jakoś nie czuł żalu na wspomnienie uległości Tess. Przekłuł kłębem jej wargę i teraz czuł smak jej krwi na języku. Wobec tego doznania reszta wydawała się drobiazgiem.

To nie było prymitywne pragnienie, cielesne czy jakiegokolwiek inne. Minęło ledwie szesnaście godzin, odkąd pożywiał się po raz ostatni, jednak żądza, jaką wzbudziła w nim Tess, sprawiała, że czuł się tak,

jakby to było szesnaście dni. Nie mógł myśleć o niczym innym niż wejście w jej ciało.

Fatalna sprawa, jeśli chcecie wiedzieć, z czym tu mamy do czynienia. Musiał się otrząsnąć, i to szybko. Napomniął się w myślach, że ma przecież dziś w nocy misję do wy-pełnienia. Bardzo chciał skupić się na czymś innym niż pełne furii żądania jego libido.

Zanurzył rękę w przepastnej kieszeni czarnego płaszcza, wyciągnął komórkę i zadzwonił do kwatery.

- Chase zgłosił się na patrol? - warknął, kiedy usłyszał głos Gideon.

- Jeszcze nie. Ma tu być o wpół do jedenastej.

- A która jest teraz?

- Och, za kwadrans dziewiąta. Gdzie jesteś? Dante zaśmiał się niewesoło. Każda cząstka jego

ciała domagała się tylko jednego - Tess.

- W miejscu, którego nigdy w życiu nie spodziewałem się odwiedzić, brachu.

Od upojnej nocy z Harvardem dzieliły go jeszcze prawie dwie godziny. W normalnych warunkach nie odznaczał się cierpliwością, a co dopiero teraz.

- Bądź tak dobry i zadzwoń do Mrocznej Przystani -polecił Gideonowi. -1 powiedz Harvardowi, że dziś zajęcia zaczynają się wcześniej. Jadę po niego.

Kiedy wysiedli z taksówki, Ben uparł się odprowadzić ją pod same drzwi mieszkania. Jego furgonetka zaparkowana była w pobliżu i Tess miała nadzieję, że pożegnają się szybko na krawężniku, ale Ben postanowił być dżentelmenem. Jego kroki dudniły na klatce schodowej, kiedy wchodzili na piętro po drewnianych stopniach. Zatrzymali się przed drzwiami mieszkania 2F. Tess otworzyła wieczorową torebkę i zaczęła szukać klucza.

- Nie wiem, czy ci mówiłem, ale wyglądasz dziś naprawdę pięknie - szepnął Ben za jej plecami.

Skrzywiła się. Miała poczucie winy, że zgodziła się z nim pójść na tę wystawę. Szczególnie wobec tego, co tak zniecka zaszło między nią a poznanym tam mężczyzną.

Z Dantem, pomyślała, a jego imię przepełnęło przez jej myśli niczym ciemny miękki aksamit.

- Dziękuję - wymamrotała niewyraźnie i włożyła klucz do zamka. - I za dzisiejszy wieczór też. To było bardzo miłe z twojej strony.

Kiedy drzwi się otworzyły, Ben zaczął się bawić pasmem jej włosów.

- Tess...

Odwróciła się, żeby powiedzieć mu dobranoc, że wyszła z nim gdzieś po raz ostatni, ale kiedy tylko zwróciła ku niemu twarz, jego usta znalazły się na jej wargach.

Cofnęła się gwałtownie, zbyt zaskoczona, by zapanować nad własnymi reakcjami, i ujrzała ból w jego oczach. Mignęło w nich pełne gorzki zrozumienie, kiedy podniosła dłoń do ust i pokręciła głową.

- Ben, przepraszam, ale nie mogę... Odetchnął głęboko, przesunął dłonią po złocistych włosach.

- E tam, zapomnij o tym. Mój błąd.

- Ja po prostu... - Tess szukała gwałtownie właściwych słów. - Nie możemy się tak dalej zachowywać. Chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi, ale...

- Powtarzam, zapomnij o tym. - Jego głos zrobił się nieprzyjemny, ostry. - Wiem już, co czujesz, doktoro. A do mnie to trochę wolno dociera.

- To moja wina, Ben. Nie powinnam była dziś z tobą wychodzić. Nie chciałam, żebyś pomyślał, że ja...

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Nic nie myślę. Dobra, muszę lecieć. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

Ruszył w stronę schodów. Tess poszła za nim. Czowała się okropnie.

- Ben, nie odchodź w ten sposób. Może wstąpisz na chwilę? Porozmawiajmy.

Nawet jej nie odpowiedział, tylko przez długą chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym odwrócił się i zbiegł ze schodów. Kilka sekund później usłyszała głośny trzask drzwi klatki schodowej. Weszła do mieszkania, zamknęła za sobą drzwi i wyjrzała przez okno, żeby zobaczyć, jak Ben wsiada do furgonetki i odjeżdża w noc.

Zza ciemnych okularów Dante przyglądał się tłumowi kołyszącemu się w tańcu w stroboskopowych światłach klubu. Dwie godziny temu zabrał Chase'a z Mrocznej Przystani, ale jak dotąd wpadli tylko na jednego Szkarłatnego, który szukał ofiary wśród bezdomnych. Dante skorzystał z okazji i udzielił Harvardowi krótkiej lekcji na temat

działania tytanu na system krwionośny Szkarłatnych, zmieniając przeciwnika w kupkę popiołu.

Szkoda, ponieważ nadal miał ochotę na walkę wręcz. Chciał być poobijany, chciał krwawić. Chciał odreagować jakoś to, jak spieprzył dziś sprawy.

Natomiast Harvard wyglądał na kogoś, kto sprzeda duszę diabłu za długi prysznic. Być może nawet zimny, pomyślał Dante, podążając za jego spojrzeniem wbitym w niewielką kobietę o długiej grzywie jasnych włosów, która stała w grupie przyjaciół. Za każdym razem, kiedy odrzucała włosy na plecy, agent Mrocznych Przystani podskakiwał. Śledził jej ruchy pożądliwie. Wyglądał tak, jakby był gotów się na nią rzucić.

Być może wyczuła pożądanie w jego wzroku, ludzki system nerwowy reagował na wzrok wampirów, ponieważ nawinęła na palec jasne pasmo, obejrzała się przez ramię i spojrzała zachęcająco na Chase'a.

- Masz szczęście, Harvard. Wygląda na to, że odwzajemnia twoje zainteresowanie.

Chase skrzywił się i zignorował blondynkę, która porzuciła grupę przyjaciół, żeby dać mu okazję do nawiązania znajomości.

- Mylisz się. Nie interesuje mnie ta kobieta.

- Uważaj, bo jeszcze mnie oszukasz - zachichotał Dante. - A co, w Mrocznych Przystaniach nigdy się nie napalacie?

- W przeciwieństwie do innych członków naszej rasy uważam, że to upokarzające poddawać się zachciankom jak jakieś zwierzę bez hamulców. Próbuję zachować nad sobą kontrolę.

No tak, tylko tego mi teraz trzeba, pomyślał Dante z irytacją.

- Czemu mi nie udzieliłeś tej rady kilka godzin temu, panie doktorze?

Chase rzucił mu pytające spojrzenie.

- Słucham?

- Nie, nic.

Dante wskazał grupę imprezowiczów po drugiej stronie sali. Było wśród nich kilku młodych wampirów z Mrocznej Przystani, mniej zainteresowanych kobietami, które prężyły się zachęcająco, a bardziej tym, co sprzedawał jakiś człowiek tkwiący w środku grupy.

- Coś tam się dzieje - rzucił do Chase'a. - Chyba psują imprezę. Chodź, popatrzemy...

Ledwie przebrzmiały te słowa, kiedy do Dantego dotarło, co widzi. A potem nagle wybuchło piekło.

Jeden z wampirów wciągnął coś nosem i parsknął głośno. Odrzucił w tył głowę i wydał przeciągłe wycie.

- Karmazyn - warknął Chase, ale Dante już się zdążył zorientować, o co chodzi.

Młodzieniec ryknął, obnażając długie kły, i wytrzeszczył dzikie żółte oczy. Ludzie zaczęli krzyczeć i rozbiegli się, ale nie dość szybko. Wampir wskoczył na plecy jednej z kobiet i przewrócił ją na podłogę. Widać było, że całkowicie zapanował nad nim nałóg krwi. Jego kły wysunęły się na całą długość. Jeszcze chwila, a dwieście osób zobaczy na własne oczy, jak pożywia się wampir.

Poruszając się tak szybko, że ludzki wzrok nie był w stanie zarejestrować ich ruchu, Dante i Chase przemknęli wśród tłumu. Kiedy zbliżyli się do miejsca katastrofy, Dante zobaczył człowieka, który trzymał w ręku na wpół opróżnioną probówkę z karmazynem. Miał otwarte z przerażenia usta. Nagle odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

Jasna cholera.

Znał tego skurwysyna.

Nie z nazwiska, ale z twarzy. Widział go ledwie kilka godzin temu, z Tess, w muzeum. Dilerem karmazynu był jej chłopak.

Rozdział 11

Idź za nim! - krzyknął Dante do Chase'a.

Choć impuls kazał mu skoczyć na uciekającego człowieka i rozszarpać go na kawałki, miał teraz dużo pilniejsze sprawy do załatwienia. Rzucił się na plecy oszalałego młodego wampira i zerwał go z wrzeszczącej kobiety. Cisnął nim w ścianę i sprężył się, gotów skoczyć na niego ponownie.

- Zjeżdżaj stąd! - polecił przerażonej kobiecie leżącej na podłodze. Była tak wstrząśnięta, że nie mogła się ruszyć. Wszystko zdarzyło się za szybko, by jej ludzki mózg był w stanie to ogarnąć. Zapewne nawet nie wiedziała, kto do niej mówi. - Rusz się! Już!

Nie miał czasu sprawdzić, czy posłuchała.

Miłośnik karmazynu podniósł się z podłogi, parszkając i sycząc, gotów do ataku. Z ust ciekła mu różowa piana, skapywała z długich kłów. Źrenice miał zwężone w pionowe kreski, a otaczał je żółty płomień. Nałóg krwi uniemożliwiał mu prawidłową ocenę sytuacji, rozglądał się na boki, jakby nie mógł się zdecydować, czego pragnie bardziej: ludzkiej krwi czy krwi tego, który przerwał mu pozywianie się.

Chrząknął, po czym rzucił się na najbliższego stojącego człowieka. Dante runął na niego jak tornado.

Pod wpływem rozpędu obaj polecili przez korytarz, uderzyli w drzwi ewakuacyjne i wypadli na ulicę na tyłach. Nikogo tam nie było. Ani śladu Chase'a czy chłopaka Tess. Tylko mrok, mokry chodnik i pojemnik na odpadki, śmierdzący niewywiezionymi śmieciami.

Młody wampir szarpał się i próbował gryźć. Dante siłą umysłu zatrzasnął na zamek wyjście ewakuacyjne, żeby powstrzymać ciekawskich.

Nałogowiec walczył jak oszalały, skakał i kopał, walił i gryzł, jakby w jego żyłach płynęła czysta adrenalina. Dante poczuł palący ból i uświadomił sobie z furją, że chłopak zatopił kły w jego rękę.

Ryknął, a resztką jego cierpliwości wyparowała w okamgnieniu. Chwycił wampira za włosy i oderwał od siebie. Chłopak uderzył plecami w stalowy kontener na śmieci, po czym padł na ziemię.

Dante stanął nad nim, czuł, że jego oczy również zmieniły się pod wpływem gniewu. Z dziąseł wysunęły się kły. Była to fizyczna reakcja na podniecenie wywołane walką.

- Wstawaj - syknął do młodzieńca. - Wstawaj, nim postawię cię za jaja, dupku.

Dzieciak powarkiwał cicho, jego mięśnie podrygiwały, kiedy zbierał się z ziemi. Gdy stanął na nogach, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni nóż, żaloszny scyzoryk z rączką z fałszywego rogu. Zapewne zwędził go ojcu ze skrzynki z narzędziami.

- Co chcesz z tym zrobić? - zaśmiał się Dante, spokojnie wyciągając z pochwy *malebranche*. Zakrzywione ostrze z polerowanej stali pokrytej warstwą tytanu zabłysło w ciemności. Wampir spojrzał na nie, po czym zawarczał i wykonał zamach nożem.

- Nie bądź głupi, mały. Mówi przez ciebie karma-zyn. Rzuć ten nóż i uspokój się. Zorganizujemy ci jakąś pomoc.

Nawet jeśli młody wampir go usłyszał, zachowywał się tak, jakby przemawiał do niego w obcym języku. Po prostu nic do niego nie docierało. Jego płonące żółte oczy pozostały puste, oddychał chrapliwie przez wyszczerzone zęby. Różowa piana zebrała się w kącikach jego ust. Sprawiał wrażenie kompletnie szalonego.

Znów zawarczał. Ponownie ciachnął nożem powietrze przed twarzą Dantego. Kiedy ostrze zbliżało się do niego, Dante osłonił się *malebranche*. Tytanowe ostrze osunęło się i rozcięło dłoń młodego wampira.

Młodzieniec zasyczał z bólu, ale ten dźwięk natychmiast zmienił się w głośne, mokre skwierczenie.

- Och, cholera - jęknął Dante. Doskonale znał ten dźwięk. Towarzyszył zwykle polowaniom na Szkarłatnych.

Wampira nic już nie mogło uratować. Karmazyn wywołał u niego nałóg krwi, na tyle mocny, by zmienił się w Szkarłatnego. Dowodził tego błyskawiczny rozkład jego ciała pod wpływem kontaktu z tytanem.

Skóra na rękę wampira zaczęła się rozpuszczać, znikać. Czerwone pręgi powędrowały w górę jego ramienia, pokazując, jak trucizna rozchodzi się po jego organizmie. Jeszcze kilka minut i zostanie z niego tylko dymiąca kałuża. Paskudny rodzaj śmierci.

- Sorki mały - powiedział Dante.

W akcie litości wziął zamach zakrzywionym brzeszczotem i ciął nim szyję Szkarłatnego.

- Nie! - krzyknął Chase. W zaułku rozległ się ciężki tupot jego butów.

- Nie! Co ty robisz?

Zatrzymał się koło Dantego w chwili, gdy pozbawione życia ciało Szkarłatnego upadło bezwładnie na ziemię. Odcięta głowa potoczyła

się po jezdni. Rozkład był szybki, paskudny. Chase aż się cofnął. Przyglądał się temu z wyraźnym przerażeniem.

- To był... - zaczął zdławionym głosem, jakby w gardle tkwiła mu wielka gula. - To był obywatel Mrocznej Przystani! Właśnie zabiłeś dzieciaka, który...

- Nie - odparł Dante spokojnie, czyszcząc z krwi nóż i chowając go do pochwy. - Zabiłem Szkarłatnego, który nie był już ani obywatelem, ani niewinnym dzieciakiem. Karmazyn odmienił go, Chase. Sam zobacz.

Ze Szkarłatnego została już tylko kupka popiołu. Porywał go lekki wietrzyk i rozwiął po jezdni. Chase pochylił się, żeby podnieść nóż, którym walczył chłopak.

- Gdzie diler? - spytał Dante, mając wielką nadzieję, że zaraz dostanie go w swoje ręce.

Agent pokręcił głową.

- Zwiął mi. Zgubiłem go parę przecnic stąd. Myślałem, że już go mam, ale wbiegł do restauracji i... No zgubiłem go.

- Trudno. - Dante nie martwił się tym, jak znajdą diler. Wystarczyło odszukać Tess, a wcześniej czy później zjawi się i jej chłopak. Miło będzie dorwać go osobiście.

Chase kłął pod nosem, patrząc na trzymany w dłoni nóż.

- Ten chłopak, którego zabiłeś... ten Szkarłatny -poprawił się. - Pochodził z mojej Mrocznej Przystani. Dobry dzieciak z dobrej rodziny. Niech to szlag. Jak ja im powiem, co się stało z ich synem?

Dante nie wiedział, co odpowiedzieć. Ale nie zamierzał przeproszać za to, że zabił. To była wojna, bez względu na to, jak to ocenia urzędniczyna z Mrocznej Przystani. Kiedy wampir zmienia się w Szkarłatnego, czy to z powodu karmazynu, czy słabości właściwej całej rasie, nie ma dla niego ratunku, żadnej nadziei na normalność. Żadnej drugiej szansy. Jeśli Harvard zamierzał współpracować z Zakonem, lepiej żeby od razu to pojął.

- Chodź. - Klepnął agenta po ramieniu. - Skończyliśmy tu. Nie zdołasz ocalić ich wszystkich.

Ben Sullivan nie zdejmował nogi z gazu, póki światła Bostonu nie zaczęły nikać we wstecznym lusterku. Zjechał z drogi numer 1 zaraz po wjeździe do Revere i skierował się ku dzielnicy przemysłowej ciągnącej się nad rzeką. Ręce mu się trzęsły na kierownicy, dłonie

miał śliskie od potu. Serce tłukło mu się boleśnie o żebra. Brakowało mu tchu.

Do diabła.

Co się stało w klubie?

To chyba przedawkowanie, nic innego. Ten chłopak, który zażył karmazyn i dostał drgawek, to był stały klient. Ben sprzedał mu narkotyki co najmniej pięć razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Już od kilku miesięcy produkował ten łagodny środek pobudzający i rozprawdzał go w klubach i na imprezach, dokładnie od lata. O ile się orientował, nigdy wcześniej nie zdarzyło się nic podobnego.

Cholerne przedawkowanie.

Zjechał furgonetką na zwirowe podwórze przed starym magazynem, zgasił światła i siedział za kierownicą, nie wyłączając silnika.

Ktoś go gonił, kiedy uciekł z klubu. Jeden czy dwóch wielkich gości, którzy wydawali się nie na miejscu na tej imprezie. Na pewno zauważyli, że handluje. To musieli być gliniarze po cywilnemu, może nawet z brygady antynarkotykowej. Obaj, i ten ciemnowłosy w okularach, i ten drugi, który rzucił się za nim w pogoń, wyglądali mu na facetów, którzy najpierw strzelają, a dopiero potem stawiają pytania.

Nie zamierzał przekonywać się o tym na własnej skórze. Wybiegł z klubu i zwiewał jak szalony, klucząc po sąsiednich ulicach i zaułkach, póki nie oddalił się od pogoni na tyle, by dotrzeć do furgonetki i odjechać.

Przed oczami stawała mu scena w klubie. Był zdezorientowany, wszystko zdarzyło się tak szybko. Dzieciak zażył dużą dawkę karmazynu, a zaraz potem wydał nieludzki ryk. Ludzie wokoło zaczęli krzyczeć.

A potem wybuchło pandemonium.

Mózg Bena odtwarzał kolejne sceny niczym migawki zalane stroboskopowym światłem. Niektóre były wyraźne, inne spowite mgłą paniki. Ale jednej rzeczy był absolutnie pewien.

Chłopakowi wyrosły długie kły.

Ostre kły jak u psa, których trudno było nie zauważyć. Zresztą dzieciak nawet nie próbował ich ukrywać, kiedy wydawał to ogłuszające wycie i rzucił się na jedną z dziewczyn.

Jakby zamierzał rozszarpać jej gardło tymi kłami.

I jego oczy. Boże, zrobiły się zupełnie bursztynowe, jakby w czaszce zapłonął mu ogień. Jakby należały do jakiejś obcej istoty.

Ben zdawał sobie sprawę z tego, co widział, ale to nie miało sensu. Nie na tym świecie, nie w świetle nauki i nie w rzeczywistości, która nie dopuszczała takich rzeczy.

Szczerze mówiąc, z logicznego punktu widzenia to się po prostu nie miało prawa zdarzyć. Ale logika miała niewiele wspólnego ze strachem, który czuł w tej chwili, czy z mrozącą krew w żyłach świadomością, że nieszkodliwy stymulant nagle objawił drugą naturę. Przedawkowanie to poważna sprawa. Źle, że stało się to w miejscu publicznym, i to w dodatku w jego obecności, bo ktoś mógłby go zidentyfikować. Ale niesamowity efekt, jaki karmazyn wywołał u dzieciaka, to było coś nie z tego świata.

Ben przekręcił kluczyk w stacyjce i siedział nieruchomo w ciszy. Musi sprawdzić recepturę karmazynu. Może cała najnowsza partia jest wadliwa? Może przez przypadek coś w niej zmienił? Może dzieciak po prostu miał alergię?

Tak. Alergię, która zmieniła normalnego dwudzie-stokilkulatka w żądnego krwi wampira.

- O rany - jęknął i szybko wyskoczył z samochodu na żwir.

Zbliżył się do starego budynku i poszukał klucza do wielkiej kłódki wiszącej na drzwiach. Z metalicznym trzaskiem i skrzypieniem zawiasów drzwi stanęły otworem. Wszedł do środka. Z zewnątrz budynek sprawiał niepozorne wrażenie, ale kiedy już się przedarło przez zrujnowane pozostałości piapierni, docierało się do całkiem miłego i świetnie wyposażonego laboratorium. W jego powstaniu miał swój udział bogaty anonimowy patron, który wynajął Bena, by ten skupił się na czerwonym proszku nazywanym karmazynem.

Laboratorium znajdowało się za stalowym przepierzeniem wysokim na ponad trzy metry. Stał tu błyszczący stół ze stali nierdzewnej, a na nim zlewki, palniki, moździerz z tłuczkiem i nowoczesna elektroniczna waga laboratoryjna. W zamkniętych szafkach znajdowały się pojemniki z katalizatorami serotoniny, środkami zwiotczającymi i innymi składnikami. Ich zdobycie nie sprawiało problemów byłemu chemikowi, któremu odpowiedni ludzie byli winni niejedną przysługę.

Wcale nie chciał zostać dilerem narkotyków. Kiedy zwolniono go z firmy kosmetycznej, gdzie pracował jako chemik i kierownik działu

badawczego, nawet nie pomyślał o zajęciu niezgodnym z prawem. Ale jego działalność przeciwko dręczeniu zwierząt, za co został wylany, rozwinęła się na dobre.

Zaczął ratować porzucone zwierzęta. Potem, kiedy legalne instytucje okazały się zbyt opieszale, wykładać je. A stąd był już tylko krok do innych podejrzanych czynności, takich jak sprzedawanie narkotyków w klubach. To było łatwe zajęcie, obciążone stosunkowo niskim ryzykiem. W końcu co to za zbrodnia rozprowadzać nieszkodliwe substancje? Ben uważał, że jego misje ratunkowe zasługują na odpowiednie finansowanie, a imprezowicze i tak dostaną prochy od kogoś innego, jeśli to nie on im je sprzeda. Więc gdzie tu problem?

Niestety, Tess patrzyła na tę sprawę zupełnie inaczej i zerwała z nim, kiedy się dowiedziała, co robi. Ben przysięgał jej, że skończy z dilerką. I naprawdę skończył na jakiś czas, póki latem nie zapukał do jego drzwi obecny sponsor z grubym portfelem w ręku.

Nie rozumiał tego zainteresowania karmazynem. Gdyby płacono mu za produkcję i dystrybucję ecstasy czy GHB, może miałoby to więcej sensu, ale karmazyn, jego wynalazek, należał do najłagodniejszych stymulantów. Kiedy wypróbował go na sobie, odkrył, że daje nieco większego kopa niż napój energetyzujący z kofeiną, zwiększa apetyt i znosi zahamowania.

Karmazyn działał szybko, ale równie szybko jego efekty znikwały po mniej więcej godzinie. Sprawiał wrażenie tak nieszkodliwego, że Ben ledwie znajdował uzasadnienie dla hojnego wynagrodzenia, jakie dostawał za jego produkcję i sprzedaż.

Cóż, po dzisiejszej nocy ta rzeka pieniędzy zapewne ulegnie nagłemu i zrozumiałemu zatrzymaniu.

Musi się skontaktować ze swoim sponsorem i powiadomić go o strasznym wypadku, jaki wydarzył się dziś w klubie. Jego patron musi wiedzieć o kłopotach z narkotykiem. Na pewno zgodzi się z nim, że karmazyn należy natychmiast wycofać z obiegu.

Rozdział 12

Dante kierował się szmerem przyciszonej rozmowy, dobiegającej zza drzwi oficjalnej jadalni położonej pod ziemią. Wrócili wraz z Chase'em kilka minut temu, zabezpieczywszy najpierw teren klubu i przeszukawszy okolicę. Teraz Chase siedział na dole, w laboratorium, zalogowany do bazy danych Mrocznych Przystani, i pisał raport z dzisiejszych wydarzeń.

Dante również musiał złożyć raport. I to taki, za który zapewne nie doczeka się oklasków.

W jadalni oświetlonej światłem licznych świec u szczytu długiego, elegancko nakrytego stołu siedział Lucan. Ubrany był w strój bojowy, jakby dopiero co wrócił z patrolu, i roztaczał wokół siebie niebezpieczną aurę. Pod jego kurtką połyskiwała broń.

Jednak jego Dawczyni Życia najwyraźniej to nie przeszkadzało. Gabrielle przysiadła mu na kolanach, opierała głowę na jego ramieniu i rozmawiała z Gideonem i jego partnerką, Savannah. Jej słowa pobudziły wszystkich do śmiechu, nawet Lucana, którego poczucie humoru praktycznie nie istniało, nim w kwaterze zjawiała się ta przepiękna kobieta. Uśmiechnął się teraz i pogładził ją po rudej czuprynie tak delikatnie, jakby gładził małego kociaka. Przez tych kilka miesięcy, jakie spędzili razem, ten gest najwyraźniej wszedł mu w krew.

Oszalał na punkcie tej kobiety. Nawet nie próbował udawać, że jest inaczej.

Gideon i Savannah, druga siedząca w jadalni para, również sprawiali wrażenie zakochanych, choć byli ze sobą od ponad trzydziestu lat. Dante nigdy nie kwestionował tego faktu, ale tak naprawdę nigdy go też nie dostrzegął, aż do tej chwili. Siedzieli obok siebie i trzymali się za ręce, a Gideon gładził kciukiem kawową skórę na palcach Savannah. Łagodne ciemne oczy Dawczyni Życia pełne były spokojnej radości. Pragnęła jedynie spędzić u boku swojego męzczyzny resztę życia.

Czy to właśnie oznacza związenie się z kimś więzami krwi? - zastanawiał się Dante.

Czy tego właśnie odmawiał sobie przez tyle długich lat?

To uczucie uderzyło go nagle, z całą mocą. Zapomniał, jak wygląda prawdziwa miłość, od tak dawna jej nie zauważał. Jego rodzice byli ze

sobą bardzo związani. Stanowili dla niego niedościgniony wzór, ale sam nie żywił nadziei na coś takiego. Nie śmiał nawet o tym marzyć. Zresztą po co, skoro śmierć odbierze mu to wszystko? Śmierć nie oszczędzi nikogo. Nie chciał czuć takiego bólu, nie chciał sprawiać go komuś innemu.

Przyglądał się obu parom, świadom łączącej ich więzi, głębokiego poczucia, że są rodziną. Było ono tak silne, że nagle zapragnął odwrócić się, wyjść stąd i zapomnieć, że tu wchodził. Pieprzyć raport. Może zaczekać, póki pozostali wojownicy nie wrócą do kwatery.

- Zamierzasz stać w progu przez całą noc czy wejdiesz?

Cholera. I tyle jeśli chodzi o niepostrzeżone wycofanie się. Lucan, jeden z najpotężniejszych przedstawicieli rasy, zapewne wyczuł jego obecność w kwaterze, nim jeszcze wszedł do windy.

- Co się dzieje? - spytał Lucan, kiedy Dante niechętnie wszedł do jadalni. - Kłopoty?

- Niestety, nie mam dobrych wieści! - Dante schował dłonie do kieszeni płaszcza i oparł się ramieniem o ścianę wyłożoną boazerią. - Mieliliśmy dziś z Harvardem wątpliwą przyjemność obserwowania, jak działa karmazyn. Chłopak z tutejszej Mrocznej Przystani zażył trochę więcej niż powinien. Wpadł w klubie w nałóg krwi i omal nie rozszarpał gardła dziewczynie na oczach kilku setek świadków.

- Jezu - syknął Lucan i zacisnął zęby. Gabrielle zeszła z jego kolan, pozwalając mu wstać. Zaczął krążyć po pokoju. - Powiedz mi, że udało ci się zapobiec nieszczęściu.

Dante kiwnął głową.

- Zdjąłem go z dziewczyny, nim zdążył zrobić jej krzywdę, ale był w kiepskim stanie. Przemienił się, Lucanie, tak po prostu. Kiedy go stamtąd wyciągnąłem, był już Szkarłatnym. Zabrałem go na tyły i skończyłem z nim.

- Okropność. - Gabrielle zmarszczyła cienkie brwi. Partnerka Gideona wskazała na ugryzienie na ręku

Dantego. Prawie przestało już krwawić.

- Nic ci nie jest? - spytała. - Chyba i tobie i twojemu ubraniu przydałoby się kilka szwów.

Dante wzruszył ramionami, dziwnie się poczuł, kiedy kobiety zwróciły na niego uwagę.

- To nic, nic mi nie jest. Harvard jest trochę wstrząśnięty. Posłałem go za dialerem i wrócił akurat, jak kończyłem robotę. Myślałem, że się załamie, ale facet jest twardy.

- A co z dilerem? - zainteresował się Lucan.

- Zwiął nam. Ale przyjrzałem mu się dobrze i chyba wiem, jak go znaleźć.

- Świetnie. To teraz twoje główne zadanie. Poleceniu Lucana towarzyszył elektroniczny brzęczyk komórki leżącej na stole koło Gideona. Wojownik sięgnął po nią i otworzył klapy.

- To Niko - powiedział i przyjął połączenie. - Tak, chłopie?

Rozmowa była krótka i rzeczowa.

- Wraca do kwatery - poinformował Gideon zebranych. - On też załatwił dziś amatora karmazynu, który zmienił się w Szkarłatnego. Mówi, że Tegan załatwił trzech, kiedy kontaktował się z nim dwie godziny temu.

- Przechlapane - warknął Dante.

- Co tam się dzieje, kochanie? - spytała Savannah, a jej niepokój znalazł odbicie również w oczach Gabrielle. - Czy to przypadek, że ten narkotyk zmienia wampiry w Szkarłatnych, czy też kryje się za tym coś gorszego?

- Jeszcze nie wiemy - odparł Gideon poważnie, ale szczerze.

Lucan zatrzymał się i skrzyżował ręce na piersi.

- Ale musimy to szybko ustalić. I znaleźć tego dilera. Odkryć, skąd pochodzi to świństwo, i przerwać dostawy.

Gideon przeczesał palcami jasne włosy.

- Chcesz poznać najgorszy scenariusz? Załóżmy, że jesteś megalomanem, który chce zapanować nad światem. Zaczynasz zbierać armię Szkarłatnych, ale wrogowie wysadzają ci w powietrze kwaterę. Uciekasz z podwiniętym ogonem, ale nadal jesteś żywy. I cholernie wkurzony. Nie wspominając już o tym, że jesteś niebezpiecznym wariatem.

Lucan zaklął paskudnie pod nosem. Wszyscy zebrani wiedzieli, że Gideon mówi o jego bracie, Marku, wampirze z pierwszego pokolenia, który kiedyś był członkiem Zakonu, a potem przez długi czas uważany był za zmarłego. Dopiero latem, kiedy Zakon pozbył się dużej grupy Szkarłatnych, okazało się, że brat Lucana żyje.

Żyje, ma się dobrze i został samozwańczym przywódcą szykujących się do powstania Szkarłatnych. A ponieważ umknął śmierci, kiedy rozbijano jego armię i likwidowano kwaterę, z pewnością to jeszcze nie koniec.

- O moim bracie można powiedzieć wiele, ale zapewniam cię, że nie jest wariatem - stwierdził Lucan w zamyśleniu. - Marek ma jakiś plan. Gdziekolwiek się zaszył, możemy być pewni, że nad nim pracuje. Cokolwiek zamierza, jest gotów to przeprowadzić.

- Musi odbudować swoją armię, i to szybko - zauważył Gideon. - A ponieważ przemiana wampira w Szkarłatnego wymaga zwykle czasu i sporego pecha, być może zaczął szukać sposobu na szybszą rekrutację...

- Karmazyn znacznie zwiększył mu liczbę poborowych - wpadł mu w słowo Dante.

Gideon rzucił mu ponure spojrzenie.

- Wolę nie myśleć, co Marek może osiągnąć za pomocą tego narkotyku, jeśli zacznie działać na całym świecie. Nie zdołamy opanować tej epidemii i zapanuje kompletna anarchia.

Choć Dante wolał nie rozważać, co się stanie, jeśli przypuszczenia Gideona się potwierdzą, jego też dręczyły podobne myśli. Ponadto mroziła mu krew w żyłach świadomość, że jest w to wmieszany chłopak Tess, i że kobieta też może mieć z tym coś wspólnego.

Czy wie, czym zajmuje się Ben? Czy jest w to zamieszana, czy mu pomaga, na przykład pozwalając produkować to świństwo w swojej lecznicy? Czy któreś z nich zdaje sobie sprawę z tego, jak działa karmazyn? I, co gorsza, czyby ich to obeszło, gdyby się dowiedzieli, że wampiry krążą wśród ludzi już od tysiący lat? A może myśl o kilku martwych wampirach albo wybiciu całej rasy wcale nie wyda im się takim złym rozwiązaniem?

Musiał wiedzieć, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Tess, ale nie zamierzał napaść na nią Zakonu, póki sam nie pozna prawdy. Jakaś część jego duszy cieszyła się z możliwości kolejnego spotkania podczas poszukiwań jej chłopaka. Żeby go zabić, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Cóż, a na razie trzeba mieć nadzieję, że Zakon zdoła opanować problem karmazynu, nim sprawy na dobre wymkną się spod kontroli.

- Cześć, Ben, to ja. - Tess zamknęła oczy, oparła czoło na dłoni i westchnęła. - Słuchaj, wiem, że jest późno, ale strasznie mi przykro.

Nie chciałam, żebyśmy się rozstali w ten sposób. Żałuję, że nie zostałeś i nie pozwoliłeś mi wszystkiego wyjaśnić. Jesteś moim przyjacielem i nie chcę cię ranić...

Ostry pisk przerwał jej słowa. Automatyczna sekretarka Bena przerwała nagrywanie. Tess rozłączyła się i usiadła wygodnie na kanapie.

Może to i dobrze, że nie miała okazji dokończyć. I tak gadała bez sensu. Była zbyt rozstrojona, żeby iść spać, choć zbliżała się północ, a o szóstej rano powinna być w lecznicy. Czuła się całkowicie rozbudzona, wytracona z równowagi tym wieczorem i martwiła się o Bena, choć był dorosłym mężczyzną i na pewno nie była za niego odpowiedzialna.

Nie powinna się o niego martwić, ale się martwiła.

Prócz Nory to Ben był jej najbliższym przyjacielem. W zasadzie miała tylko dwoje przyjaciół. Bez nich nie miałaby nikogo, choć wiedziała, że żyje tak samotnie z własnego wyboru. Nie była jak inni ludzie, i ta świadomość kazała jej trzymać się z boku. Samotnie.

Spojrzała na swoje ręce, bezmyślnie pocierając znamię między kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni. Ręce były narzędziem jej pracy i twórczego działania. Kiedy była młodsza, rzeźbiła. Uwielbiała dotyk chłodnej gliny, pociągłe ruchy dłuta, powoli wyłaniające się z bezkształtnej bryły piękno.

Dziś wieczorem wyjęła z szafy w przedpokoju stare narzędzia i niedokończone rzeźby. Wszystko to stało teraz obok jej nóg w kartonowym pudle. Jak często uciekała w rzeźbienie, żeby się odciąć od prawdziwego życia? Ile razy glina i dłuto były jej powiernikami, jej najlepszymi przyjaciółmi, na których zawsze mogła liczyć?

Ręce dawały jej w życiu cel, ale były również jej przekleństwem i powodem, dla którego nie mogła pozwolić, by ktoś ją naprawdę poznał.

Nikt nie mógł się dowiedzieć, co zrobiła.

Wspomnienia trwały na granicy świadomości. Pełne złości krzyki, łyzy, smród wódki i gorący, szybki oddech na twarzy. Gwałtowne wierzganie rękami i nogami, kiedy usiłowała się wyrwać. Ciężar, który ją przygniatał, nim jej życie zmieniło się w koszmar.

Odsunęła od siebie te wspomnienia, tak jak robiła to od dziewięciu lat, odkąd opuściła rodzinne miasteczko, żeby rozpocząć nowe życie.

Żeby spróbować żyć normalnie. Żeby się jakoś dopasować, nawet jeśli to oznaczało wyparcie się tego, kim była naprawdę.

„Czy on oddycha? O Boże, on sinieje! Coś ty mu zrobiła, ty mała suko?”

Słowa wróciły do niej nagle, pełne złości oskarżenia, raniące tak samo jak wtedy. Jesień zawsze sprowadzała wspomnienia. Jutro czy raczej dziś, bo minęła już północ, wypadała rocznica, kiedy jej świat zmienił się w piekło. Nie lubiła do tego wracać, ale trudno było zapomnieć o tym dniu, ponieważ były to jej urodziny. Kończyła właśnie dwadzieścia sześć lat, ale nadal czuła się jak przerażona siedemnastolatka.

„Jesteś morderczynią, Tereso Dawn!”

Wstała z kanapy i podeszła w piżamie do okna. Otworzyła je, wpuszczając do pokoju zimny powiew. Słyszała szum samochodów z drogi szybkiego ruchu, odgłosy ulicy, klaksony, syreny karetek. Zimny listopadowy wiatr poruszał gwałtownie firankami i zasłonami.

„Popatrz, co zrobiłaś! Napraw to natychmiast!”

Otworzyła szerzej okno i patrzyła w ciemność, pozwalając, by odgłosy nocy zmieniły się w kokon, chroniący ją przed duchami przeszłości.

Rozdział 13

Jonas Redmond zaginął.

Na dźwięk głosu Elizy Chase wyłączył monitor komputera i podniósł głowę. Dyskretnie, żeby nic nie zauważyła, schował do szuflady scyzoryk, który podniósł z ulicy kilka godzin temu, podczas patrolu.

- Wyszedł wczoraj w nocy z parą przyjaciół, ale z nimi nie wrócił.

Eliza stała w progu jego gabinetu, zjawiskowo piękna nawet w luźnych żałobnych szatach, które nosiła od pięciu lat. Rozszerzana do dołu tunika i długa spódnica falowały wokół jej drobnej postaci. Jediną plamą koloru na bieli jej ubrań była czerwona wdowia szarfa, zawiązana luźno na biodrach.

Nigdy nie zachowywała się zuchwale. Zawsze cechowała ją sztywna poprawność, więc nie weszła na jego teren, dopóki jej nie zaprosił. Wstał od biurka i wyciągnął do niej rękę

- Proszę. - Nie mógł oderwać od niej wzroku, kiedy przepłynęła przez próg i stanęła pod ścianą.

- Mówią, że w klubie wziął jakiś narkotyk i że całkiem oszalał - szepnęła. - Zaatakował kogoś. Jego przyjaciele przestraszyli się, uciekli i nie wiedzą, co się z nim stało. Minęła już doba, a on nie dał znaku życia. Chase nie odpowiedział. Eliza na pewno nie chciałaby poznać prawdy, zresztą i tak nie zamierzał jej opowiadać o ostatnich chwilach życia młodego wampira.

- Jonas to jeden z najbliższych przyjaciół Camdena.

- Tak, wiem - odparł cicho.

Eliza lekko zmarszczyła brwi, a potem odwróciła wzrok i zaczęła się bawić swoją obrączką ślubną.

- Myślisz, że to możliwe, że się spotkali? Może Cam i Jonas ukrywają się gdzieś razem? Pewnie są przerażeni, chowają się przed słońcem. Dobrze, że już za kilka godzin zrobi się ciemno. Może to dziś dostaniemy dobre wieści?

Chase w ogóle nie zarejestrował, że ruszył się z miejsca, póki nie okazało się, że stoi po drugiej stronie biurka, zaledwie kilka kroków od Elizy.

- Znajdę Camdena, obiecuję ci. Masz moje słowo. Nie spocznię, aż nie wróci bezpiecznie do domu.

Lekko skinęła głową.

- Wiem, że robisz, co w twojej mocy. Tak wiele dla nas poświęciłeś. Kochałeś pracę w agencji, a teraz musisz się zadawać z tymi niebezpiecznymi zbirami z Zakonu...

- Tym się nie martw - uspokoił ją. - Sam podejmuję decyzje. Wiem, co robię i dlaczego.

Kiedy na niego spojrzała, uśmiechnęła się. Bardzo rzadko otrzymywał od niej taką nagrodę.

- Sterling, rozumiem, że mieliście z moim mężem nieporozumienia. Quentin czasami potrafił być... uparty. Wiem, że wywierał na ciebie wielki nacisk w agencji. Ale szanował cię bardziej niż kogokolwiek innego. Zawsze powtarzał, że jesteś najlepszy, że masz potencjał. Zależało mu na tobie, choć miewał problemy z wyrażeniem tego. - Westchnęła głęboko. - Byłby ci taki wdzięczny za to, co dla nas robisz. Podobnie jak ja.

Chase zajrzał w jej łagodne, lawendowe oczy i wyobraził sobie, że przyprowadza jej syna do domu. Wyobraził sobie jej łzy radości i gorące uściski. Niemal czuł, jak obejmuje go za szyję, a jej łzy namaszczają go na bohatera. Jej zbawcę.

Nic nie było dla niego ważniejsze.

Pragnął jej tak dziko, że aż sam nie mógł w to uwierzyć.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa. - Ośmielił się podejść bliżej. Przez jedną chwilę wyobrażał sobie alternatywną rzeczywistość, w której Eliza należała do niego, w której nie było jej wdowiego stroju i wspomnień o silnym, honorowym partnerze, którego kochała tak mocno i straciła. W ukradkowych marzeniach Chase'a Eliza nosiła jego syna. Bo dałby jej syna, którego mogłaby kochać i przytulać. Dałby jej wszystko na świecie. -Zasługujesz na to, Elizo.

Wydała cichy, zdławiony dźwięk, jakby ją zawstydził.

- To miło, że ci na tym zależy. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, szczególnie teraz.

Podeszła do niego i położyła ręce na jego ramionach. Dotknięcie było lekkie, ale wystarczyło, żeby ogarnął go żar. Opanował się, ledwie śmiał oddychać, kiedy stanęła na palcach i musnęła ustami kącik jego warg. Pocałunek był krótki, boleśnie przyzwoity.

- Dziękuję ci Sterling. Nie mogłabym sobie wymarzyć bardziej oddanego szwagra.

Tess stała w kawiarni na North Endzie i przyglądała się gablocie z ciastkami. Wreszcie zdecydowała się na dekadentkę, ociekającą

karmelem i przeraźliwie słodkie ciasteczko. Zwykle tak sobie nie dogadzała i zapewne, zważywszy na kłopoty finansowe, nie powinna tego robić i teraz, ale po długim dniu pracy i równie długiej, niemal bezsennej nocy, nie zamierzała czuć się winna z powodu deseru i cappuccino. No może tylko troszeczkę, zanim nie zatopi zębów w tej słodkiej rozpuście.

- Ja zapłacę - odezwał się za jej plecami niski męski głos.

Wyprostowała się gwałtownie. Znała ten głos, ten wspaniały akcent, choć słyszała go wcześniej tylko raz.

- Dante. - Odwróciła się w jego stronę. - Cześć.

- Cześć. - Uśmiechał się. Serce Tess wykonało w piersi przedziwny taniec. - Zapłacę za twoje... Tylko mi nie mów, że to twoja kolacja.

Roześmiała się i pokręciła głową.

- Zjadłam w pracy późny lunch. Nie musisz płacić...

- Nalegam. - Podał dwudziestkę i nie przyjął reszty. Zdawał się nie zauważać rozmarzonego spojrzenia ładnej kasjerki, cała jego uwaga skupiona była na Tess. Miała wrażenie, że jego spojrzenie jest tak intensywne, że aż wysysa powietrze z ciepłej sali kawiarni.

- Dziękuję. - Odebrała ciastko zapakowane w torebkę i papierowy kubek z kawą. - Nic nie zamawiasz?

- Stronię od cukru i kofeiny.

- Tak? A ja uwielbiam i jedno, i drugie.

Dante wydał gardłowy dźwięk dziwnie przypominający mruczenie.

- A co jeszcze uwielbiasz?

- Przede wszystkim pracę - odpowiedziała szybko, czując, że się rumieni. Wyciągnęła kilka serwetek ze stojącego na ladzie pojemnika. Czuła na szyi dziwny żar, kłujący jak drobne wyładowania elektryczne. Przenikał ją do szpiku kości, czuła go we krwi. Bardzo chciała zmienić temat, aż nazbyt świadoma promieniującego z Dantego ciepła, kiedy prowadził ją opiekuńczo do drzwi. - To prawdziwa niespodzianka spotkać cię tutaj. Mieszkasz w pobliżu?

- Niedaleko. A ty?

- Dwie przecznice stąd. - Wyszła razem z nim w chłodną noc. Teraz, kiedy znów stała u jego boku, musiała myśleć o tym dziwnym, naładowanym erotyzmem spotkaniu na wystawie. Choć, jeśli ma być szczerą, w ogóle nie mogła przestać myśleć o tych kilku niewiarygodnych chwilach. Zastanawiała się, czy to wszystko nie było przypadkiem produktem jej wyobraźni. Taką mroczną fantazją. A

jednak Dante istniał, był z krwi i kości. Tak bardzo rzeczywisty, że mogła go dotknąć. Wstrząsnęło nią to, jak bardzo chce to zrobić.

Była podenerwowana, niespokojna. Miała ochotę uciec, nim ta potrzeba zmieni się w coś silniejszego.

- Cóż, jeszcze raz dzięki za cukier i kofeinę. -Uniosła parujący kubek w jego stronę. - Dobranoc.

Kiedy odwróciła się, żeby odejść, Dante dotknął jej ramienia. Jego usta wykrzywiły się w rozbawionym, choć nieufnym uśmiechu.

- Ciągłe przede mną uciekasz, Tess. Naprawdę? A nie powinna? W zasadzie go nie znała, mimo że tak niewiarygodnie pobudzał jej zmysły.

- Nie próbuję uciekać przed tobą...

- Więc pozwól mi się odwieźć do domu.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza małe kółko z kluczykami, a zaparkowane przy chodniku czarne porsche wydało pisk i zamrugało światłami. Ładny samochód, pomyślała, niezbyt zaskoczona faktem, że jeździ czymś tak eleganckim, szybkim i drogim.

- Dzięki, ale... nie trzeba, naprawdę. Wieczór jest taki ładny. Zamierzałam się przejść.

- Mogę się przyłączyć?

Gdyby zaczął nalegać w pewny siebie, arogancki sposób, natychmiast by go odprawiła. Ale zapytał grzecznie, jakby rozumiał, na ile może sobie pozwolić. I choć dzisiaj wolała pobyć sama, jakoś nie mogła znaleźć odpowiedniej wymówki.

- Hm. Jasne. Jeśli masz ochotę.

- Świetnie.

Ruszyli powoli chodnikiem jak para znajomych na ulicy pełnej przechodniów i turystów cieszących się urokiem tego miejsca. Przez długą chwilę milczeli. Tess popijała kawę, a Dante rozglądał się uważnie po okolicy. Czuła się z tego powodu równocześnie zaniepokojona i dziwnie bezpieczna. Nie zauważała nic groźnego w twarzach ludzi, których mijali, ale Dante wykazywał czujność wskazującą, że jest przygotowany na wszystko.

- Nie powiedziałaś mi wczoraj, czym się zajmujesz. Jesteś gliną albo coś w tym rodzaju?

Zerknął na nią. Miał poważny wyraz twarzy.

- Jestem wojownikiem.

- Wojownikiem? - powtórzyła z niedowierzaniem. - A co to dokładnie znaczy? Wojsko? Siły specjalne? Straż obywatelska?

- W pewnym sensie każde po trochu. Jestem jednym z tych dobrych facetów, Tess. Słowo honoru. Moi bracia i ja robimy co w naszej mocy, by utrzymać porządek i chronić niewinnych i słabych przed silnymi i skorumpowanymi.

Nie roześmiała się, choć nie była do końca przekonana, czy mówi serio. Opisał swoje zajęcie słowami, które przywoływały na myśl średniowieczne ideały sprawiedliwości i honoru. Jakby cytował kodeks rycerski.

- Cóż, chyba nigdy nie słyszałam o takim zawodzie. Jeśli o mnie chodzi, to jestem po prostu weterynarzem z prywatną praktyką.

- A twój chłopak? Czym on się zajmuje?

- Mój eks - zaznaczyła szybko. - Ben i ja rozstaliśmy się jakiś czas temu.

Dante zatrzymał się i przyjrzał się jej uważnie. W jego twarzy pojawiło się coś mrocznego.

- Okłamałaś mnie?

- Nie, na wystawie powiedziałam prawdę, przyszłam z Benem. To ty założyłeś, że to mój chłopak.

- A ty pozwoliłaś mi w to uwierzyć. Dlaczego? Tess wzruszyła ramionami.

- Może nie ufałam ci na tyle, by powiedzieć prawdę?

- Ale teraz mi ufasz?

- Nie wiem. Niełatwo obdarzam zaufaniem.

- Ja również - stwierdził, przyglądając się jej z napięciem. Ruszyli dalej. - Powiedz mi, jak się związałaś z tym... Benem?

- Poznaliśmy się dwa lata temu, w mojej lecznicy. Był dobrym przyjacielem.

Dante chrząknął, ale nic nie powiedział. Przed nimi, jakąś przecnicę dalej, płynęła rzeka Charles, jedno z ulubionych miejsc Tess. Poprowadziła Dantego przez ulicę na jedną z brukowanych ścieżek prowadzących brzegiem rzeki.

- Tak naprawdę w to nie wierzysz - zarzucił jej Dante, kiedy zbliżyli się do rzeki. - Twierdzisz, że to przyjaciel, ale nie jesteś szczerą. Ani wobec mnie, ani wobec siebie.

Tess zmarszczyła brwi.

- Skąd możesz wiedzieć, co myślę? Nic o mnie nie wiesz.

- Powiedz w takim razie, że się mylę.

Już otworzyła usta, żeby to zrobić, ale pod jego spojrzeniem nagle poczuła się obnażona. On wiedział. Jak to było możliwe, że czuje się z nim tak bardzo związana? Jakim cudem ten człowiek czyta w niej jak w otwartej księdze? To samo, ten dziwny związek, czuła już w muzeum.

- Wczoraj mnie pocałowałeś - szepnęła.

- Tak.

- A potem zniknąłeś bez słowa.

- Musiałem wyjść. Gdybym tego nie zrobił, nie skończyłoby się tylko na pocałunku.

- Na środku zatłoczonej sali? - Nie zaprzeczył. A zapraszające wygięcie jego warg wywołało pożar w jej żyłach. Pokręciła głową. - Nie jestem nawet pewna, dlaczego pozwoliłam ci to zrobić.

- Żałujesz?

- To bez znaczenia. Przyspieszyła i teraz szła przed nim.

- Znowu uciekasz, Tess.

- Wcale nie! - Zaskoczył ją przestraszony ton głosu. A przecież naprawdę uciekała, stopy usiłowały zabrać ją jak najdalej od niego, choć z całych sił chciała pozostać w jego magnetyzującej aurze. Zmusiła się, żeby się zatrzymać. I stać nieruchomo, aż Dante jej nie dogoni i nie odwróci w swoją stronę.

- Wszyscy przed czymś uciekamy, Tess. Nie mogła powstrzymać się od tej uwagi.

- Nawet ty?

- Tak, nawet ja. - Popatrzył na rzekę, potem kiwnął głową, wracając do niej spojrzeniem. - Chcesz znać prawdę? Uciekam przez całe życie. Dłużej niż możesz sobie wyobrazić. Trudno jej było w to uwierzyć. Oczywiście niewiele o nim wiedziała, ale gdyby miała go opisać jednym słowem, zapewne wybrałaby określenie „nieustraszony”. Nie mogła sobie wyobrazić, że ten niezwykle pewny siebie mężczyzna mógł w sobie zważyć, nawet na chwilę.

- Przed czym, Dante?

- Przed śmiercią. - Milczał przez chwilę, jakby się zastanawiał. - Czasami mam wrażenie, że jeśli będę cały czas w ruchu, jeśli nie pozwolę sobie na nadzieję czy cokolwiek innego, co zatrzymałoby mnie w miejscu... - Odetchnął, zaklął cicho. - Nie wiem. Nie sędzę,

żeby dało się oszukać przeznaczenie, bez względu na to jak szybko czy jak daleko uciekniesz.

Pomyślała o własnym życiu, o tej przeklętej przeszłości, która prześladowała ją od tak dawna. Próbowwała przed nią uciec, ale ona zawsze przy niej trwała, zawsze kładła się cieniem na wszystkich jej decyzjach, przypominając o przekleństwie, które nigdy nie pozwoli jej żyć naprawdę. Nawet teraz zastanawiała się, czy nie czas się przenieść, zacząć od początku.

- O czym myślisz, Tess? Przed czym uciekasz? Nie odpowiedziała, rozdarta pomiędzy potrzebą

strzeżenia swojego sekretu a pragnieniem podzielenia się nim z kimś, kto nie będzie jej oceniał, kto być może zrozumie, co przywiodło ją do tego punktu w życiu. A może nawet jej wybaczy.

- Nie ma sprawy - powiedział Dante łagodnie. - Nie musisz mi teraz nic mówić. Chodź, znajdziemy so-bie ławkę i pochłoniesz ten swój cukier z kofeiną. Nikt mi nie powie, że odmawiam kobiecie przyjemności.

Dante obserwował, jak Tess zjada grube, nasączone karmelem ciastko. Wyczuwał jej rozkosz w dzielącej ich niewielkiej przestrzeni. Siedzieli na ławce nad brzegiem rzeki. Poczęstowała go tym ulepkiem, a choć wampiry nie mogły odżywiać się prymitywnym ludzkim pożywieniem w ilościach większych niż kęs czy dwa, przyjął mały kawałek lepkiego obrzydlistwa, żeby stać się częścią bezwstydną rozkoszy Tess. Połknął paskudny, mdlący kęs z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

- Pycha, prawda? - Tess oblizywała pokryte karmelem palce, wkładając je, jeden po drugim, do ust i ssąc.

- Wyborne - zgodził się Dante, targany własnym głodem.

- Możesz dostać jeszcze kawałek.

- Nie. - Pokręcił głową. - Nie, zjedz resztę. Proszę.

Dokończyła ciastko, potem dopiła kawę. Kiedy wstała, żeby wyrzucić pustą torebkę i kubek do kosza na śmieci, jej uwagę zwrócił starszy mężczyzna, który spacerował z parą małych brązowych psów. Powiedziała coś do niego, a potem przykucnęła i pozwoliła psom się obskakiwać.

Obserwował, jak się śmieje, kiedy psy podskakują, walcząc o jej uwagę. Zbroja, którą na próżno usiłował przeniknąć, zniknęła. Przez

kilka chwil widział Tess taką, jaka była naprawdę, uwolnioną od strachu i nieufności.

Była cudowna. Zazdrościł jak szalony tym dwóm kundlom, że obdarza je swoją uwagą.

Podszedł do nich i uklonił się lekko starcowi, kiedy ten ruszył z pupilami w swoją stronę. Tess wstała, nadal rozpromieniona. Patrzyła, jak psy odchodzą za swoim panem.

- Masz podejście do zwierząt.

- Pracuję z nimi - odparła, jakby czuła potrzebę usprawiedliwienia zachwytu, którego był świadkiem.

- Jesteś w tym dobra. To widać.

- Lubię pomagać zwierzętom. Czuję się wtedy... pożyteczna.

- Może kiedyś powinnaś mi pokazać, co robisz. Tess przechyliła głowę.

- Masz psa?

Dante powinien był powiedzieć, że nie, ale ciągle widział ją z tymi dwoma absurdalnymi kłębkami futra i zapragnął obdarzyć ją podobną radością.

- Tak. Podobnego do tych.

- Naprawdę? Jak się nazywa?

Dante odchrząknął. Jak u licha mogłoby się nazywać takie bezużyteczne stworzenie?

- Harvard! - Uśmiechnął się do siebie. - Nazywa się Harvard.

- Z chęcią go poznam. - Powiał zimny wiatr. Tess zadrżała i potarła ramiona. - Robi się późno. Myślę, że powinniśmy wracać.

- Tak, jasne. - Dante kiwnął głową, wściekły na siebie za tego zmyślonego psa. Choć z drugiej strony, może to będzie dobry pretekst, żeby spędzić z nią więcej czasu, dowiedzieć się, co wie o karmazynie i o działalności swego ekschłopaka?

- To był miły spacer, Dante.

- Dla mnie również.

Tess wbiła wzrok w swoje buty, na jej twarzy pojawił się smutny wyraz.

- O co chodzi?

- Nie, nic. Po prostu nie spodziewałam się... Nie spodziewałam się, że dziś wieczorem przydarzy mi się coś miłego. To nie jest mój ulubiony dzień.

- Dlaczego?

Rzuciła na niego okiem, wzruszyła ramionami.

- To moje urodziny. Roześmiał się cicho.

- To tak źle?

- Nie obchodzę urodzin. Powiedzmy, że wychowywałam się w dysfunkcyjnej rodzinie i... Zresztą to nic takiego, naprawdę.

To było kłamstwo. Dante nie musiał się z nią wiązać krwią, by zrozumieć, że to była wciąż niezagojona rana. Chciał się dowiedzieć wszystkiego o tym bólu i jego źródle. Sama myśl o jej cierpieniu uruchomiła w nim instynkt opiekuńczy. Ale Tess już od niego odchodziła, kierując się w stronę ulicy. Sięgnął po jej rękę, chcąc opóźnić moment rozstania. Chciał ją porwać w ramiona i przytrzymać.

- Codziennie powinnaś mieć powód do świętowania. Szczególnie dzisiaj. Cieszę się, że spędziliśmy ze sobą trochę czasu.

Uśmiechnęła się. Jej oczy zaśniły w przyćmionym świetle parkowych latarni, a zmysłowe wargi wygięły się w piękny łuk. Dante nie mógł się oprzeć potrzebie przygarnięcia jej do siebie. Mocniej ujął jej dłoń i delikatnie pociągnął ją ku sobie.

Zajrzał pożądliwie w tę piękną twarz.

- Żadne urodziny nie mogą się obyć bez pocałunku. Jakby zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Wyraz jej twarzy zmienił się radykalnie. Zamarła, zeszywniała i gwałtownie wyrwała mu rękę.

- Nie lubię urodzinowych pocałunków! - wybuchnęła. - Ja... Myślę, że powinniśmy zakończyć to spotkanie.

- Tess, przepraszam...

- Muszę już iść. - Odwróciła się na pięcie i pobiegła, zostawiając go w parku samego z myślami o tym, co się u diabła stało.

Rozdział 14

Sfrustrowany Chase wyjechał z kwatery. Dziś nie szedł na akcję. Wszyscy wojownicy udali się na samotne patrole, musiał więc na własną rękę zabić kilka godzin ciemności.

Wciąż dręczyła go wczorajsza śmierć przyjaciela Camdena. Jeszcze mocniej uświadomiła mu, że ze-gar tyka, że z każdą upływającą sekundą zmniejsza się szansa na sprowadzenie bratanka do domu w jednym kawałku.

Udał się w miejsca, w które zabrał go Dante podczas poprzednich patroli, i w te znane, i w te mniej znane, gdzie uczęszczali i ludzie, i wampiry. Szukał Camdena na ulicach i w stoczni, wypatrywał jego przyjaciół. A choć zajęło mu to kilka godzin, wrócił z pustymi rękami. Zaparkował gdzieś w Chinatown, gotowy wracać do Mrocznej Przystani. Nagle zobaczył dwa młode wampiry i dwie kobiety wchodzące w nieoznakowane drzwi budynku. Wyłączył silnik lexusa i wysiadł z samochodu. Kiedy podszedł do drzwi, w których zniknęło towarzystwo, usłyszał dobiegającą spod ziemi głośną muzykę. Otworzył drzwi i wkradł się do środka.

U podnóża długich, ledwie oświetlonych schodów znajdowały się kolejne drzwi, przy których stał bramkarz. Chase nie miał z nim problemów, po prostu wetknął mu w rękę banknot studolarowy.

Kiedy wszedł do zatłoczonego klubu, w głowie zadudnił mu wibrujący bas. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzał, prężyły się ciała. Cała sala pulsowała w transowym tańcu. Przeczesał wzrokiem tłum, wszedł głębiej, oślepiiony niebiesko-czerwonymi stroboskopowymi światłami.

Wpadł na pijaną kobietę, która tańczyła z przyjaciółmi. Wymruczał przeprosiny, których i tak nie mogła usłyszeć. Zbyt późno zorientował się, że jego dłonie wylądowały na jej twardej krągłej pupie, gdy chwycił ją, żeby nie upadła.

Uśmiechnęła się do niego zapraszająco, oblizując usta poplamione na czerwono lizakiem, któryssała. Przysunęła się bliżej, ocierając się zmysłowo w tańcu o jego ciało. Chase zapatrzył się na jej usta, a potem na smukłą białą kolumnę jej szyi.

Krew zaczęła mu wrzeć w żyłach.

Powinien stąd iść. Nawet jeśli Camden gdzieś tu jest, i tak nie ma szans go znaleźć. Za dużo ludzi, za duży hałas.

Kobieta objęła go za ramiona, kołysząc się przed nim, ocierając udami o jego uda. Miała na sobie przeraźliwie krótką spódniczkę, tak krótką, że kiedy się odwróciła i przycisnęła pośladki do jego krocza, zauważył, że nie ma pod spodem bielizny.

Rany!

Naprawdę musi stąd wyjść.

Od tyłu objęły go kolejne ramiona, jedna z przyjaciółek kobiety postanowiła wziąć udział w zabawie. Podeszła również trzecia i zaczęła namiętnie całować tę pierwszą. Obie patrzyły na Chase'a, a ich języki wiły się niczym węże. Jego członek stanął na baczność. Kobieta stojąca za nim sięgnęła niżej i zaczęła z wprawą gładzić wybrzuszenie jego spodni. Chase zamknął oczy, czując jak prócz żądzy budzi się w nim głód, którego nie zaspokajał niemal równie długo, jak potrzeb seksualnych. Jego ciało bezwzględnie zaczęło się domagać pokarmu i spełnienia.

Kobiety przestały się całować i zajęły się nim, na zmianę przysysając się do jego warg, niepomne na tańczący wokół tłum, niepomne na to, że wszystko rozgrywa się publicznie. Nie były w tym odosobnione. Chase zauważył inną parę zajęętą sobą. Inne wampiry szukające Karmicielki w tym nieprzyzwoitym miejscu.

Z głębokim pomrukiem włożył ręce pod spódnicę pierwszej kobiety. Niecierpliwie uniósł materiał, żeby napawać się jej widokiem, a jej przyjaciółka lizała go gorącym językiem po szyi.

Poczuł, jak kły wysuwają mu się z dziąseł. Wsunął kolano między nogi kobiety i podciągnął wysoko. Była zupełnie mokra. Jej przyjaciółka rozpięła mu rozporek i sięgnęła do wnętrza, by uwolnić jego członek. Czuł w sobie żądzę, przymus, by rznąć i pożywiać się równocześnie. Brutalnie chwycił stojącą z tyłu kobietę za ramię i zmusił, by przed nim klękła. Uwolniła wreszcie jego członek ze spodni i zaczęła ssać.

Pierwsza nieznajoma ocierała się o jego rękę bliska orgazmu. Chase przyciągnął do siebie tę trzecią. Kły pulsowały mu jeszcze bardziej niż członek, wzrok wyostrzył się gwałtownie, gdy pod wpływem głodu źrenice zwężyły się w pionowe szparki. Otworzył usta i gwałtownie wgryzł się w tętnicę kobiety, wciągając do ust gęstą ciepłą krew.

Pożywiał się szybko i łapczywie, pełny obrzydzenia, że tak zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Ale nie mógł się powstrzymać. Pił gwałtownie, czując, że zbliża się orgazm. Zaczął poruszać biodrami,

przytrzymując klęczącą kobietę za włosy. Już zaraz, czuł, jak sperma wzbiera w nim i...

Pchnął gwałtownie i wytrysnął, nie odrywając ust od szyi Karmicielki. Przesunął językiem po dwóch małych rankach, zamykając je. Dyszał ciężko po orgazmie. Wszystkie trzy kobiety łąsiły się do niego, chciały jeszcze.

Odepchnął od siebie ich ręce, nienawidząc się za to, co zrobił. Położył dłoń na czole Karmicielki i wymazał jej pamięć. Potem powtórzył operację z pozostałymi dwiema. Chciał jak najszybciej stąd wyjść, trząsał się cały. Kiedy chował członek i zapinał spodnie, poczuł na plecach czyjś wzrok.

Ktoś przyglądał mu się uważnie. Przesunął wzrokiem po twarzach tancerzy... i nagle okazało się, że patrzy w oczy jednego z wojowników.

Tegan.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o obnoszenie się ze swoimi standardami moralnymi wobec Zakonu.

Ile z tej poniżającej sceny widział Tegan? Zapewne całość, choć wyraz jego twarzy nie zdradzał niczego. Wampir po prostu patrzył na niego zimnym spojrzeniem bez wyrazu.

Po chwili odwrócił się i wyszedł.

Z panelu komputera patrzyły na Dantego jasnożółte oczy ze zwężonymi źrenicami. Pysk bestii był otwarty, wargi odsłaniały imponujące kły. Nie było wątpliwości, że to furia wcielona, ale podpis pod zdjęciem głosił, że to „słodka i miła kociczka, która marzy o nowym domu”.

- Jezu - jęknął Dante z obrzydzeniem. Co noc widywał takie spojrzenie, kiedy polował na górze na Szkarłatnych.

Czasami nawet widywał ten sam wyraz twarzy w lustrze, kiedy żąda krwi, pożądanie lub wściekłość obudziły jego prymitywną naturę. Często działo się tak również pod wpływem wizji: źrenice zwężały mu się w czarne pionowe kreski, jasnobrązowe tęczęwki nabierały bursztynowego koloru, kły zaś wysuwały się z dziąseł na całą długość. Dziś znowu przeżył ten piekielny koszmar, obudził go z głębokiego snu koło południa. Trząsał się potem i pocił przez kilka godzin. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej, coraz intensywniej. A straszliwy ból głowy, jaki potem następował, był po prostu nie do zniesienia.

Poruszył bezprzewodową myszą, przechodząc z zakładki „koty” do zakładki „psy”. Kliknięciem wyświetlił listę dostępnych zwierząt, po czym przejrzał zdjęcia. Niektóre sprawiały wrażenie odpowiednich dla jego celów, szczególnie ogar o smutnym pysku i imieniu Barney, który potrzebował „szczególnej opieki i marzył o miłym miejscu, w którym mógłby spędzić ostatnie lata życia”.

To powinno zadziałać. Zdecydowanie nie szukał zwierzaka na długo. Otworzył klapkę komórki i wybrał numer schroniska dla zwierząt. Po piątym sygnale odebrała młoda kobieta, ewidentnie żująca gumę. Mówiła z ciężkim bostońskim akcentem.

- Schronisko dla zwierząt w Eastside, słucham?

- Potrzebne mi jedno z waszych zwierząt - oświadczył Dante.

- Słucham?

- Pies z waszej strony internetowej, ten stary. Chcę go wziąć.

Na chwilę zapadła cisza, w której rozległ się trzask pękającego balona z gumy.

- Och! Ma pan na myśli Barneya?

- Tak, właśnie.

- Przykro mi, ale już został zaadoptowany. Nadal jest na naszej stronie? Musieli zapomnieć go usunąć. A jakiego psa pan szuka? Mamy kilka innych, które czekają na nowy dom.

- Zwierzę potrzebne mi jest dzisiaj. Zaśmiała się niepewnie.

- Cóż, to niezupełnie tak działa. Musi pan przyjść, wypełnić wniosek, a potem spotkać się z naszym...

- Mogę zapłacić.

- To dobrze, ponieważ zawsze prosimy o drobny datek na pokrycie kosztów opieki i...

- Czy sto dolarów wystarczy?

- No...

- Dwieście? - zaproponował. Nie obchodziły go koszty. - To dla mnie bardzo ważne.

- Tak, zaczynam rozumieć jak bardzo...

Dante zniżył głos i skupił się na uległym ludzkim umyśle po drugiej stronie linii.

- Proszę mi pomóc. Naprawdę potrzebne mi zwierzę. Niech się pani zastanowi i powie mi, jak to załatwić.

Zawahała się.

- No wie pan, mogę za to wylecieć, ale dziś przywieziono nam psa. Jeszcze go nawet nie oglądał wete-rynarz, ale z daleka widać, że nie jest w dobrej kondycji. Powiem panu szczerze, nie wygląda zachęcająco. Nie mamy dla niego w tej chwili miejsca, więc został zakwalifikowany do uśpienia.

- Biorę. - Dante spojrział na zegarek. Właśnie minęła piąta, na górze było już ciemno, bo Nowa Anglia znajdowała się na skraju wschodniej strefy czasowej. Harvard nie pokaże się w kwaterze wcześniej niż za cztery godziny, więc ma masę czasu na przeprowadzenie tej małej transakcji przed nocnym patrolem. Wstał, wziął płaszcz i kluczyki do samochodu. - Już jadę. Będę za dwadzieścia minut.

- Dobra. Zamykamy o wpół do szóstej, ale zaczekam na pana. Niech pan zapyta o Rose. To ja. - Znowu usłyszał trzask pękającego balona, a potem głośne mlaskanie. - A... a jeśli chodzi o pieniądze, o te dwieście dolarów. Może pan zapłacić gotówką?

Dante uśmiechnął się, idąc już w stronę drzwi.

- Oczywiście.

Rozdział 15

Tess ponownie sprawdziła na monitorze komputera ostatnią kwotę i kliknęła przycisk zatwierdzający przelew. W ten sposób zaległe rachunki lecznicy zostały spłacone, ale jej konto oszczędnościowe stało się lżejsze o ponad tysiąc dolarów. A w następnym miesiącu rachunki znów zaczną przychodzić.

- Tess? - W drzwiach stanęła Nora i niepewnie zapukała we framugę. - Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale jest prawie szósta i muszę już iść się pouczyć. Jutro mam egzamin. Mogę już zamknąć interes?

- Tak. - Tess potarła skronie. Bolała ją głowa. -Dzięki, Noro. Miłego wieczoru.

Nora przyglądała się jej przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na leżący na biurku stos rachunków.

- Wszystko w porządku?

- Tak - Tess spróbowała się uśmiechnąć. - Oczywiście, wszystko w porządku.

- Widziałam dziś zawiadomienie od właściciela budynku. Od nowego roku podnosi czynsz.

Tess kiwnęła głową.

- O osiem procent.

Nie było to dużo, ale już wcześniej ledwie ją było na niego stać. Ta podwyżka to będzie zapewne ostatni gwóźdź do trumny lecznicy, chyba że zacznie brać więcej za swoje usługi. No, ale to zapewne spowoduje odejście połowy klientów, więc na jedno wyjdzie. Jedynym rozsądnym wyjściem było zamknięcie gabinetu, spakowanie się i przeniesienie gdzie indziej.

Nie bała się zmiany. Przywykła do przeprowadzek. Czasami zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest jej łatwiej zaczynać wszystkiego od początku, niż zapuścić gdzieś korzenie. Nadal szukała swojego miejsca na ziemi. Być może nigdy go nie znajdzie.

- Słuchaj Tess, ja... muszę z tobą o czymś porozmawiać. W ostatnim semestrze będę miała mnóstwo zajęć i muszę porządnie zabrać się do nauki. - Nora zawahała się, uniosła nieco ramiona. - Wiesz, że uwielbiam tę pracę, ale trzeba będzie ograniczyć moje godziny.

Tess kiwnęła głową.

- Jasna sprawa.

- Chodzi o to, że przy lecznicy i studiach nie mam ani chwili dla siebie, rozumiesz? Mój ojciec żeni się ponownie za kilka tygodni,

więc muszę się od niego wyprowadzić. Moja mama chce, żebym wróciła do Kalifornii, kiedy na wiosnę zrobię dyplom...

- W porządku. Naprawdę rozumiem - powiedziała Tess. W gruncie rzeczy z ulgą.

Dzieliła się z Norą częścią problemów finansowych, a choć asystentka zapewniała, że sobie poradzi, Tess czuła się za nią odpowiedzialna. Prawdę powiedziawszy, czasami miała wrażenie, jakby utrzymywała tę lecznicę bardziej dla klientów i dla Nory niż dla siebie. Była dobra w tym, co robiła, ale ciągle prześladowała ją myśl, że to jej nowe życie to tylko kolejny sposób na ukrycie się. Przed przeszłością, ale również przed tym, co dzieje się tu i teraz. Przed czymś, czemu nie chciała się przyjrzeć dokładnie.

„Zawsze uciekasz Tess”.

Słowa Dantego wróciły do niej nagle. Zastanawiała się nad tym, co powiedział. Zdawała sobie sprawę, że ma rację. Podobnie jak on, często czuła, że jeśli tylko pozostanie w ruchu, jeśli nie przestanie uciekać, może uda jej się przeżyć. Jednak to nie śmierci się obawiała. Jej koszmar rozgrywał się tu i teraz.

Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że tak naprawdę ucieka przed sobą.

Poprawiła stos papierów na biurku i spróbowała skupić się na rozmowie.

- Kiedy chcesz zredukować godziny pracy?

- Jak tylko mi pozwolisz. I tak mnie dobija, że płacisz mi z własnej kieszeni, a nie z dochodów lecznicy.

- Pozwól, że ja się będę tym martwić - odezwała się Tess, ale jej słowa przerwał dzwonek u drzwi. Ktoś wszedł do lecznicy.

- To pewnie kurier z dostawą. Odbiorę przed wyjściem.

Nora wyszła z biura. Tess usłyszała stłumione głosy w recepcji. Po chwili jej asystentka wróciła. Policzki miała zaróżowione.

- To na pewno nie kurier. - Ściszyła głos, jakby nie chciała, by ktoś ją usłyszał. - To bóg we własnej osobie.

Tess się roześmiała.

- Jak to?

- Masz czas na wizytę? Przyszedł tu absolutnie niesamowity facet ze strasznie zabiedzonym psem.

- Czy to nagły wypadek? Nora wzruszyła ramionami.

- Nie sędzę. Nie widać krwi, ale facet nalega. Pytał o ciebie. I czy już wspominałam, że jest boski?

- Tak. - Tess wstała zza biurka i włożyła biały fartuch. W okolicach ucha znów poczuła mrowienie, takie samo jak podczas wystawy w muzeum i wczoraj, kiedy stała koło Dantego w kawiarni. - Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

- Jasne. - Nora założyła włosy za uszy, obciągnęła sweter z dużym dekoltem i zniknęła.

To on. Tess była pewna, że to Dante, jeszcze nim usłyszała w recepcji jego niski głos. Uświadomiła sobie, że uśmiecha się do siebie. Ogarnęło ją gwałtowne podniecenie na myśl, że ją odszukał, choć rozstała się z nim wczoraj w tak żenujący sposób.

Uderzenie hormonów to bardzo, ale to bardzo zły znak. Nie należała do kobiet, które mocno reagują na obecność mężczyzn, ale przy Dantem czuła się zupełnie inaczej.

- Weź się w garść - nakazała sobie szeptem i ruszyła do recepcji.

Dante stał przy wysokiej ladzie recepcji, a w ramionach trzymał mały kłębek futra. Nora pochylała się nad kontuarem i głaszcząc małego psa, przemawiała do niego czule. Przy okazji demonstrowała Dantemu całą głębię swojego dekoltu. Tess nie mogła jej winić za te próby flirtu, ten facet po prostu tak działał na kobiety. Nawet ona sama nie była odporna na jego mroczny czar.

Spojrzał na nią, gdy tylko weszła do recepcji. Jeśli chciała udawać spokojną i obojętną, zapewne zupełnie jej się to nie udało. Uśmiech jakoś nie chciał zniknąć z jej twarzy, a palce drżały lekko, kiedy uniosła rękę do szyi, tam gdzie czuła coraz mocniejsze mrowienie.

- To musi być Harvard - uśmiechnęła się do wychudzonego skundlonego teriera spoczywającego w ramionach Dantego. - Kiedy mówiłam, że chciałabym go poznać, nie spodziewałam się, że to będzie tak szybko. Dante zmarszczył brwi.

- To nieodpowiedni moment?

- Nie. Nie, w porządku. Jestem po prostu... zaskoczona, to wszystko. Ciągłe mnie zaskakujesz.

- Znacie się? - Nora zagapiła się na Tess.

- Spotkaliśmy się... Spotkaliśmy się dwa dni temu - wyjąkała Tess. - Na wystawie w muzeum. A wczoraj wpadliśmy na siebie znowu, na North Endzie.

- Zachowałem się nieodpowiednio. - Dante patrzył na nią tak, jakby byli w pokoju sami. - Nie chciałem cię wczoraj zdenerwować, Tess. Machnęła ręką, żeby zapomniał o całej sprawie.

- To nic. Nie zdenerwowałam się, naprawdę. Nic takiego nie zrobiłeś. To ja powinnam cię przeprosić za to, że uciekłam w taki sposób.

Nora patrzyła raz na jedno, raz na drugie, jakby wyczuwając napięcie między nimi.

- Może chcielibyście zostać sami...

- Nie - zaprzeczyła Tess gwałtownie, ale Dante równocześnie powiedział spokojnie: - Tak.

Nora zawahała się na moment, a potem sięgnęła po płaszcz i torebkę leżące na krześle.

- Ja... do zobaczenia jutro, Tess.

- Tak, jasne. Powodzenia w nauce.

Odwróciwszy się tyłem do Dantego, Nora spojrzała na Tess i poruszyła ustami: „O mój Boże!”, po czym ruszyła do tylnego wyjścia, gdzie stał zaparkowany samochód. Kilka sekund później usłyszeli warkot silnika, który wkrótce ucichł w oddali. Nora odjechała.

Aż do tej chwili Tess była tak wytrącona z równowagi obecnością Dantego, że nie zwracała uwagi na stan psa, teraz jednak poczuła litość dla tego zwierzęcia. Jego zamglone brązowe oczy były na wpółprzymknięte, rzeźił cicho. Sam jego wygląd świadczył, że bardzo potrzebuje pomocy.

- Mogę rzucić na niego okiem? - spytała zadowolona, że może się czymś zająć. Napięcie między nimi niemal krzeszło iskry w powietrzu. Kiedy kiwnął głową, wyciągnęła stetoskop z kieszeni fartucha i zawiesiła na szyi. - Kiedy Harvard był ostatni raz u weterynarza?

Dante wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien.

Tess delikatnie odebrała mu psa.

- Chodź. Przyjrzymy mu się w gabinecie.

Dante ruszył za nią w pełnym napięcia milczeniu. Zatrzymał się tuż za nią, kiedy położyła trzęsące się zwierzę na stole do badania. Przyłożyła stetoskop do piersi psa i posłuchała szybkiego bicia jego serca. Usłyszała wyraźne szmery. Zdecydowanie miał problemy z oddychaniem, tak jak przypuszczała. Przesunęła rękami po jego klatce piersiowej, przyglądając się matowemu, zapchlönemu futru.

- Czy Harvard ostatnia dużo śpi? Jest letargiczny?

- Nie wiem.

Choć nie zauważyła jego ruchu, stanął tak blisko, że ich ramiona ocierały się o siebie. Jego muskularne ciało tkwiło przy niej niczym ciepły, ochronny mur. I pachniało wspaniale - korzennie i mrocznie. Taka woda zapewne kosztowała fortunę. Odetchnęła głęboko tym zapachem, po czym pochyliła się, żeby obejrzyć uszy Harvarda zaatakowane przez roztocza.

- Zauważyłeś, że stracił apetyt albo że ma kłopoty z utrzymaniem pokarmu w żołądku?

- Trudno powiedzieć.

Tess delikatnie uniosła wargę teriera i sprawdziła kolor dziąseł.

- Możesz mi powiedzieć, kiedy ostatni raz był szczepiony?

- Nie wiem.

- A wiesz cokolwiek o tym zwierzęciu? - Zabrzmiało to oskarżycielsko, ale nie mogła już cofnąć słów.

- Mam go od niedawna - odparł Dante. - Wiem, że wymaga opieki. Możesz mu pomóc?

Zmarszczyła brwi. Wiele będzie trzeba, żeby wyleczyć tego psa ze wszystkich dolegliwości.

- Zrobię, co w mojej mocy, ale nic nie mogę obiecać. Sięgnęła po długopis, który leżał na biurku za nią, ale spadł na podłogę. Nim zdążyła się pochylić, Dante już go podniósł i podał jej. Kiedy brała długopis, poczuła dotyk jego kciuka na wierzchu dłoni. Gwałtownie cofnęła rękę.

- Dlaczego jesteś przy mnie taka zdenerwowana? Rzuciła mu spojrzenie, które zapewne potwierdzało tylko prawdę jego słów.

- Wcale nie jestem zdenerwowana.

- Na pewno? Wydajesz się... rozdrażniona.

To była prawda. Nienawidziła widoku porzuconych zwierząt, a ten pies wyglądał jak z plakatu Straży dla Zwierząt. A poza tym nie otrząsnęła się jeszcze z rozmyślań o własnych problemach.

Nad tym wszystkim dominował jednak niepokój, który czuła za każdym razem, kiedy znajdowała się blisko tego mężczyzny. Na litość boską, przecież kiedy napotkała jego wzrok, ujrzała w wyobraźni bardzo wyraźny obraz ich obojga nagich, przytulonych do siebie, spoconych, przewracających się na łóżku wśród czerwonych jedwabnych prześcieradeł.

Niemal czuła na sobie pieszczotę jego rąk, jego usta na swojej szyi, głodne i gorące. Niemal czuła w sobie ruchy jego członka, jego zęby na szyi, w miejscu, które pulsowało teraz w szybkim rytmie.

Nie mogła oderwać spojrzenia od jego bursztynowych oczu, odtwarzając w myślach obraz tak wyraźny, jakby to było wspomnienie. Albo przyszłość, która znajdowała się tuż poza jej zasięgiem...

Z wysiłkiem zamrugła, przerywając to dziwne połączenie.

- Przepraszam - sapnęła i uciekła z gabinetu, okropnie zmieszana.

Zamknęła za sobą drzwi i postąpiła kilka szybkich kroków. Potem oparła się o ścianę, zamknęła oczy i spróbowała uspokoić oddech. Serce tłukło jej się panicznie o żebra, miała wrażenie, że cała wibruje jak kamerton.

Ogarnął ją żar, koncentrujący się w piersiach i na szyi i niżej, gdzieś w środku. Była okropnie podniecona, jego wzrok budził w niej całą kobiecość.

Co się z nią dzieje?

Traciła grunt pod nogami. Jeśli została jej choć odrobina rozsądku, zostawi Dantego i jego chorego psa i ucieknie stąd natychmiast.

Tak, jasne. Szalenie profesjonalne rozwiązanie. I takie dojrzałe.

No więc pocałował ją raz. A dziś tylko musnął palcem jej dłoń. Po prostu reaguje zbyt mocno. Odetchnęła głęboko, potem jeszcze raz, żeby się uspokoić. Kiedy znów odzyskała kontrolę nad sobą, wróciła do gabinetu, wymyślając jakieś kulawe usprawiedliwienie, dlaczego wyszła tak nagle.

- Przepraszam - zaczęła, gdy tylko otworzyła drzwi. - Myślałam, że telefon dzwoni i...

Marna wymówka zamarła na jej ustach. Dante siedział na podłodze w takiej pozycji, jakby upadł, zwieszoną głowę ścisnął dłońmi tak mocno, że palce mu zbieleły. Cierpiał chyba potwornie, bo oddychał z sykiem przez zęby, a powieki miał mocno zaciśnięte.

- O Boże - szepnęła, zbliżając się do niego. - Dante, co się stało? Co się z tobą dzieje?

Nie odpowiedział. Może nie mógł.

Mimo jego stanu dalej promieniowała z niego mroczna, dzika moc, tak silna i niebezpieczna, że wręcz nieludzka.

Widok tego mężczyzny, skulonego na podłodze sprawił, że doświadczyła nagle *déjà vu*, od którego przeszedł ją dreszcz. Cofnęła

się, gotowa zadzwonić po pogotowie, żeby jego problemem zajął się ktoś inny. Dante zwinął się na podłodze w ciasny kłębek i jęknął, a ten niski, pełen bólu dźwięk pobudził ją do działania.

Dante nie miał pojęcia, co mu się stało.

Wizja śmierci pojawiła się zupełnie nagle, jakby wybuchła w jego umyśle. Był przytomny, ale zawieszony w dziwnym paraliżu woli, przytłoczony potwornym cierpieniem. Nigdy wcześniej nie doświadczył tej wizji na jawie. Nigdy nie była tak wyraźna, tak mocna.

W jednej chwili stał koło Tess, napełniając jej myśli obrazami tego, co chciałby z nią robić. W następnej siedział na linoleum gabinetu ogarnięty przez dym i płomień.

Ogień zbliżał się do niego ze wszystkich stron, emanowały z niego wielkie chmury czarnego gryzącego dymu. Nie mógł się ruszyć, jakby był związany. Czuł się bezsilny, przerażony.

Ból był straszny, podobnie jak rozpacz. Czuł wstyd, że zawładnęły nim te uczucia, że tak trudno jest mu się powstrzymać od krzyku. Ale trzymał się, bo tylko tyle mógł zrobić. I modlił się, by wizja odeszła.

Usłyszał, jak Tess wypowiada jego imię, jak pyta, czy czegoś potrzebuje. Nie mógł odpowiedzieć. Gardło miał wyschnięte, w ustach pełno popiołu. Wyczuwał, że jest szczerze zaniepokojona jego stanem, wyczuwał obawę, z jaką do niego podchodzi. Chciał jej powiedzieć, żeby odeszła, żeby pozwoliła mu cierpieć w samotności, bo tylko w ten sposób będzie w stanie to znieść.

Ale potem poczuł chłodny, delikatny dotyk na ramieniu. Ogarnął go biały spokój snu, kiedy gładziła jego plecy i mokre od potu włosy na karku.

- Wszystko będzie dobrze - mówiła cicho. - Pomogę ci, Dante. Jesteś bezpieczny.

I po raz pierwszy odkąd pamiętał, uwierzył, że to prawda.

Rozdział 16

Dante uniósł powieki, czekając na koszmarny ból głowy, który zawsze nadchodził po wizji. Nic się nie stało. Żadnych dreszczy, żadnego zimnego potu, żadnego strachu.

Zamrugął szybko, popatrzył na białe wytłumiające dźwięki płyty sufitu. Obce otoczenie, brązowoszare. Wygłuszone ściany, kanapa, na której leżał. Niewielkie drewniane biurko naprzeciwko, uporządkowany blat oświetlony lampką stojącą przy komputerze.

Odetchnął głęboko, ale nie wyczuł zapachu dymu i spaliny, który zawsze napełniał jego nozdrza po wizji. Poczł tylko korzennosłodkie ciepło, które spowijało go spokojem. Uniósł ręce, przesunął nimi po wełnianej narzucie, która częściowo przykrywała jego wielkie ciało. Kremowy pled pachniał jak ona.

Tess.

Odwrócił głowę, kiedy weszła do pokoju. Białe fartuch zniknął. Wyglądała niewiarygodnie kobieco w rozpiętym jasnozielonym swetrze narzuconym na beżowy top z dzianiny. Jej biodra opinały dzinsy, odkrywając cienki pasek gładkiej kremowej skóry tam, gdzie brzeg bluzki nie sięgał do spodni. Rozpuściła włosy, dotąd spięte plastikowym grzebieniem. Miodowobrązowe fale spadały na ramiona w błyszczących skrętach.

- Cześć - powiedziała, widząc, że usiadł i odwraca się, żeby postawić nogi na dywanie. - Lepiej się czujesz?

- Tak.

Jego głos był chrapliwy, ale czuł się zaskakująco dobrze. Wręcz wypoczęty. Odprężony, a nie obolały. Przesunął językiem po linii zębów, szukając kłów, ale nie wysunęły się z dziąseł. Wzrok miał normalny, nie taki ostry jak wtedy, gdy źrenice zwężyły się, ujawniając jego pozaziemskie dziedzictwo.

Transformacja, o ile w ogóle nastąpiła, już minęła.

Odrzucił miękką narzutę i stwierdził, że nie ma na sobie płaszcza i butów.

- Gdzie moje rzeczy?

- Tutaj. - Wskazała czarny skórzany płaszcz i mar-tensy na grubych podeszwach ułożone na krześle koło drzwi. - Twoja komórka leży na biurku. Wyłączyłam ją jakieś dwie godziny temu. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam. Dzwoniła prawie bez przerwy, a nie chciałam cię budzić.

Dwie godziny temu?

- A która teraz jest?

- Za kwadrans pierwsza.

Zapewne dzwonili z kwatery, zastanawiali się, gdzie się podział. Będzie miał, co wyjaśniać.

- Harvard odpoczywa. Jego stan jest poważny. Nakarmiłam go, podałam mu płyny i antybiotyk, po których powinien lepiej spać. Jest w psim szpitaliku.

Przez kilka sekund Dante nie mógł pojąć, skąd Tess zna agenta Mrocznych Przystani i dlaczego podaje mu leki, i zamyka go w psim szpitalu. Potem jego umysł ruszył i przypomniał sobie parchate stworzenie, które wykorzystał jako pretekst do spotkania.

- Zatrzymam go na noc, jeśli nie masz nic przeciwko temu - ciągnęła Tess. - Może nawet na dwa dni, żebym mogła zrobić wszystkie badania i stwierdzić, czego mu trzeba.

Dante kiwnął głową.

- Świetnie.

Rozejrzał się po wygodnym biurze z małą lodówką w kącie i elektrycznym podgrzewaczem koło ekspresu do kawy. Najwyraźniej Tess spędzała masę czasu w tym pomieszczeniu.

- To nie jest pokój, w którym byłem wcześniej. Jak się tu znalazłem?

- Dostałeś jakiegoś ataku w gabinecie. Udało mi się postawić cię na nogi i przyprowadzić tutaj. Uznałam, że tu będzie ci wygodniej. Zupełnie odjechałeś.

- Zgadza się. - Potarł dłońmi twarz.

- Czy to był atak?

- Coś w tym rodzaju.

- Często ci się to zdarza?

Wzruszył ramionami. Nie było powodu zaprzeczać.

- Na to wygląda.

Wtedy Tess podeszła do niego i przysiadła na oparciu kanapy.

- Bierzesz jakieś leki? Chciałam sprawdzić, ale nie czułam się upoważniona grzebać ci po kieszeniach. Jeśli czegoś potrzebujesz...

- Nic mi nie jest. - Nadal był zdumiony brakiem bólu i mdłości po tej najgorszej jak dotąd wizji. Jedynej, jaka przydarzyła mu się na jawie. Choć czuł się nieco oszołomiony i otumaniony snem, miał takie wrażenie, jakby w ogóle jej nie doznał. - Czy... dałaś mi coś...

albo coś zrobiłaś? Czuję twoje ręce na plecach i na głowie...

Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz, zupełnie jakby wpadła w panikę. Potem zamrugła i odwróciła wzrok.

- Jeśli to pomoże, to w biurku mam tylenol. Przyniosę ci szklanek wody.

Zacząła wstawać.

- Tess. - Dante wyciągnął rękę i ujął ją lekko za nadgarstek. - Byłaś ze mną przez cały ten czas? Przez tyle godzin?

- Oczywiście. Nie mogłam cię tu zostawić samego. Wyobraził sobie, co musiała zobaczyć, jeśli była

przy nim, kiedy walczył z wizją. Ale nie uciekła z krzykiem i nie patrzyła na niego ze strachem. Zaczął podejrzewać, że jej obecność w jakiś sposób złagodziła ten koszmar.

Jej dotknięcie było takie kojące, takie chłodne i czułe.

- Byłaś przy mnie - powtórzył, oszołomiony jej współczuciem. - Pomogłaś mi, Tess. Dziękuję.

Mogła bez trudu zabrać rękę, ale zawahała się, a w jej niebieskozielonych oczach pojawiło się pytanie.

- Myślę... Skoro już wszystko dobrze, to powinniśmy się pożegnać. Jest już późno, muszę iść do domu.

Dante powstrzymał się od uwagi, że znów próbuje uciec. Nie chciał jej przestraszyć, więc powoli wstał z kanapy i stanął obok. Popatrzył na ich palce, które nadal się stykały, gdyż żadne nie chciało przerwać tego niespodziewanego fizycznego kontaktu.

- Muszę... iść - szepnęła. - Nie sądzę, żeby to... co dzieje się między nami... było dobrym pomysłem. Nie chcę się z tobą wiązać.

- Ale siedzisz tu i opiekujesz się mną od czterech godzin. Zmarszczyła brwi.

- Nie mogłam cię zostawić samego. Potrzebowałeś pomocy.

- A czego ty potrzebujesz, Tess?

Chwytał mocniej jej dłoń. Powietrze w małym biurze nagle wypełniło napięciem. Czuł pod opuszkami palców, jak gwałtownie przyspiesza jej puls. Zauważył jej pożądanie, kiedy pocałował ją na wystawie i miał ochotę uwieść na oczach setek świadków. Pragnęła go wtedy, może również wczoraj. Cudowny zapach jej skóry zdradzał mu, że pragnie go i teraz.

Uśmiechnął się, pożądał tej kobiety, której krew była teraz częścią jego samego.

Kobiety, która mogła współpracować z jego wrogami, jeśli miała coś wspólnego z chemicznym przedsięwzięciem swojego byłego chłopaka.

Nie myślała teraz o tym chłopaku, to było pewne. Jej oczy pociemniały, zaczęła oddychać szybko i płytko przez półotwarte usta. Dante delikatnie przyciągnął ją do siebie. Nie stawiała oporu.

- Chcę cię znów pocałować, Tess.

- Dlaczego? Zaśmiał się cicho.

- Dlaczego? Ponieważ jesteś piękna i ponieważ cię pragnę. A ty pragniesz mnie.

Unióśł wolną rękę do jej twarzy i delikatnie musnął policzek. Jej skóra była jedwabista, krucha jak szkło. Przesunął kciukiem po jej wydatnych wargach.

- Tess, tak bardzo cię pragnę. Zamknęła oczy, westchnęła cicho.

- To szaleństwo - szepnęła. - Ja nie... zwykle nie robię... takich rzeczy... Unióśł jej podbródek i przycisnął wargi do jej warg. Chciał tylko sprawdzić, jakie to uczucie, gdyż pragnął tego od czasu wystawy. Wtedy był dla niej czymś w rodzaju ducha, skradł jej pocałunek i zniknął, nim miała czas pojąć, czy jest kimś rzeczywistym, czy tylko fantazją. Teraz, z powodów, które ledwie pojmował, chciał, żeby wiedziała, że jest z krwi i kości.

Najwyraźniej był kompletnym idiotą.

Ponieważ chciał, żeby go poczuła, całego, i zrozumiała, że do niego należy.

Zamierzał tylko spróbować jej ust, ale była taka słodka. Tak wspaniale reagowała, uniosła ręce do jego szyi i przyciągnęła go bliżej, kiedy ich wargi zetknęły się w głębokim, długim pocałunku. Sekundy zmieniały się w minuty. Szalone, pozbawione czasu zapamiętanie.

Nie przerywając pocałunku, zanurzył dłonie w jej gęstych włosach, cieszył się jej miękkością, jej żarem. Chciał ją rozebrać. Chciał ją mieć pod sobą nagą, chciał w nią wejść i słyszeć jak wykrzykuje jego imię.

Jak bardzo tego pragnął.

Krew pulsowała mu w skroniach, gorąca i pełna furii. Członek zeszywniał w pełnym wzwodzie, a przecież dopiero zaczynali.

To znaczy miał nadzieję, że dopiero zaczynają.

Nim zdołał się powstrzymać, rzucił ją na poduszki kanapy.

Upadła na wznak. Patrzyła na niego spod tych ciemnych rzęs, a jej oczy były teraz ciemnolazurowe. Miała jaskrawoczerwone wargi, wilgotne i opuchnięte po jego pocałunku. Jej szyja i dekolt zaróżowiły się z pożądania, twarde sutki rysowały się wyraźnie pod dzianiną bluzki. Była gotowa. Nigdy dotąd nie widział czegoś równie pięknego.

- Należysz do mnie, Tess. - Pochylił się nad nią. Zaczął ją całować najpierw w usta, potem w podbródek i szyję, w to miejsce koło ucha. Tak pięknie pachniała. Tak dobrze było dotykać jej ciała.

Jęknął, czując zapach jej podniecenia. Pod wpływem żądzы dziaśła zaczęły mu boleśnie pulsować, wysuwały się z nich kły. Czuł napór ich ostrych czubków.

- Należysz do mnie. I wiesz o tym, prawda? Choć powiedziała to bardzo cicho, usłyszał ją wyraźnie. To słowo przeniknęło go niczym ogień.

- Tak.

Co ona mówi? Co ona robi? Pozwala się całować i dotykać, uwodzić w taki sposób?

To nierozważne, takie do niej niepodobne. I niebezpieczne, z wielu powodów, które jakoś teraz jej nie obchodziły.

Nigdy nie była łatwa, wręcz przeciwnie, zważywszy jej nieufność wobec mężczyzn, ale coś w tym człowieku sprawiało, że strach i rozwaga zupełnie ją opuściły. Czuła się z nim w jakiś sposób związana, a ten związek sięgał głębiej niż wszystko, co dotąd знаła. Przywodził na myśl tak nieprawdopodobne koncepcje jak los i przeznaczenie. Nie wierzyła w takie rzeczy, a mimo to miała wrażenie... że wszystko jest tak, jak być powinno.

Było zbyt dobrze, by wątpić, nawet gdyby ciało skłonne było posłuchać rozsądku. Ale nie było skłonne, nie wtedy, kiedy Dante ją całował, kiedy jej dotykał, budził w niej kobiecość, która dotąd tylko drzemała.

Nie opierała się, kiedy ostrożnie zdjął jej sweter, a potem podciągnął bluzkę powyżej piersi. Westchnęła, kiedy pochylił się i zaczął całować jej nagi brzuch, skubać go drażniąco. Przesunął usta w górę, do umieszczonego z przodu zapięcia stanika. Rozpiął je i powoli odsłonił jej piersi.

- Jesteś piękna.

Głos miał chrapliwy, czuła jego gorący oddech na skórze. Sutki domagały się pieścizot, chciała, żeby je ssał. Jakby czytając jej w myślach, przesunął po jednej językiem, a potem wziął do ust. Drugą przykrył dłonią, pieścił. Doprowadzał ją do szaleństwa.

Poczuła, że sięga ręką do zapięcia jej dzinsów. Rozpiął guzik, potem suwak. Chłodne powietrze owio-nęło jej podbrzusze, a potem biodra, kiedy zsuwał jej spodnie. Uniósł głowę, naciągając nieco sutek, i podziwiał jej nagość.

- Niezwykła - mruknął. To samo powiedział wtedy, w muzeum.

Wyciągnął rękę, czule pogładził jej szyję, a potem przesunął ją w dół jej ciała. Poczuła, że mimowolnie wygina plecy, jakby łączyła ich niewidzialna nić, którą trącił. Kiedy dotarł do podbrzusza, zanurzył rękę w jej majtkach i odszukał mokre, nabrzmiałe wargi sromowe. Tess zamknęła oczy, rozkoszując się dotykiem jego palców.

Jego oddech zrobił się chrapliwy.

- Jesteś taka jedwabista, Tess. Wilgotny, gorący jedwab.

Kiedy to mówił, włożył w nią palec, ledwie odrobinę. Chciała więcej. Uniosła biodra i jęknęła cicho, kiedy się wycofał, drażniąc się z nią, rozcierając na jej skórze jej własne soki.

- Czego pragniesz, Tess? - zapytał szeptem.

Wiła się pod jego dotykiem, przysuwała się do niego. Dante pochylił się i pocałował jej brzuch, po czym chwycił brzegi jej spodni i ściągnął je gwałtownie w dół. Po chwili to samo zrobił z majtkami. Pocałował ją w pępek, potem przesunął językiem niżej, w kierunku małej kępki włosów w kroczu. Uniósł jej udo, otwierając ją szeroko.

- Chcesz, żebym cię tu pocałował? - Przysunął usta do jej biodra. Jego ciemna głowa przesunęła się ni-żej, na wrażliwą skórę wewnętrznej strony uda. - A może tutaj?

- Proszę - jęknęła, wyginając plecy. Ogarnął ją żar.

- Myślę że chcesz, żebym cię pocałował... tutaj -powiedział, podnosząc się z kanapy i wsuwając między jej nogi.

Pierwsze dotknięcie jego warg na sromie zaparło jej dech w piersiach. Potem pocałował ją głębiej, wsuwał w nią język, doprowadzając ją do szaleństwa. Rozkosz wznosiła się coraz wyżej, napięcie rosło. Nie miała pojęcia, że można czuć takie pożądanie. Cała płonęła, ten pożar mogła ugasić tylko jedna rzecz.

- Proszę - powiedziała, jej głos łamał się, stał się ochryply. - Dante, proszę...

- Chcesz, żebym w ciebie wszedł Tess? Bo ja właśnie tego pragnę. Chcę w ciebie wejść, chcę w tobie wytrysnąć.

O Boże. Doprowadzi ją do orgazmu samymi słowami!

- Tak - udało jej się wychrypieć. - Tak. Tego właśnie chcę.

Cofnął się i zdjął koszulę. Tess otworzyła oczy i obserwowała go spod przymkniętych powiek. Podziwiała grające pod skórą mięśnie na pozbawionej włosów piersi, rzeźbionej jak u rzymskich posągów i pokrytej zaskakującym wzorem tatuaży, które zachodziły na płaski brzuch i nikały pod paskiem spodni. Przynajmniej wydawało jej się, że to tatuaże. Miała dziwne wrażenie, że te geometryczne wzory ustawicznie zmieniają kolor, że linie raz są czerwone jak wino, a raz purpurowoniebieskie i zielone jak ocean.

- Masz piękną skórę - westchnęła, równocześnie zachwycona i zaciekawiona. - Dante... twoje tatuaże, są niesamowite.

Zajrzała w jego twarz i zauważyła, że jego oczy połyskują bursztynowo. A kiedy uśmiechnął się, jego usta sprawiały wrażenie bardziej wydatnych.

Rozpiął czarne spodnie i ściągnął je szybko. Nie nosił bielizny. Jego uwolniony nagle członek wyprężył się, wielki i sztywny, równie zapierający dech w piersiach jak całe jego ciało. Ku jej zaskoczeniu tatuaż kończył się właśnie tam, obejmował trzon penisa niczym pełne uwielbienia, barwne palce. Grube żyły rysowały się wyraźnie pod skórą członka, zwieńczonego szeroką główką, równie twardą i ciemną jak śliwka.

Mogłaby tak na niego patrzeć do końca życia. Kiedy sięgnął na biurko i zgasił lampkę, miała żal, że pozbawia ją tego widoku, ale już chwilę później był już na niej i mogła rękami badać wszystko, czego jej oczy nie mogły już zobaczyć.

Przycisnął ją mocno, rozdzielił biodrami jej uda, moszcząc się w wygodnej pozycji. Jego członek był twardy i gorący, kiedy wsunął go między wargi jej sromu, drażniąc się z nią i wywołując kolejną gwałtowną falę pożądania.

- Dante. - Oddychała ciężko, była tak bardzo gotowa, tak bardzo go pragnęła. Ledwie mogła się sku-pić. Kiedy pożądanie zalewało wszystkie jej zmysły, tak trudno było myśleć racjonalnie. - Dante, zaczekaj. Ja... biorę tabletki, więc... ale może powinniśmy...

- Jest dobrze. - Pocałował ją, a członek odnalazł wejście do jej pochwy. Przesunął językiem po jej ustach, poczuła smak własnej

wilgoci na jego wargach. - Jesteś ze mną bezpieczna, Tess. Słowo honoru.

W normalnej sytuacji pewnie by jej to nie przekonało, ale teraz z niewiadomych powodów uznała, że może mu uwierzyć. Niesamowite, ale naprawdę czuła się przy nim bezpieczna. Całkowicie bezpieczna.

Pocałował ją znowu, jego język stał się natarczywy. Tess rozchyliła wargi, przyjmując go, całując go coraz głębiej. Równocześnie uniosła biodra, wchłaniając w siebie główkę penisa, żeby mu pokazać, czego pragnie. Dante gwałtownie zaczerpnął powietrza, zaczął w nią wchodzić i ich ciała wreszcie się złączyły.

- Jesteś moja - powiedział prosto w jej usta. Tess nie mogła zaprzeczyć.

Nie teraz.

Przyłgnęła do niego, a wtedy pchnął mocno i wbił się w nią po samą nasadę.

Rozdział 17

Ben Sullivan siedział w swoim prywatnym laboratorium, usiłując poprawić formułę karmazynu. Nigdy nie trzymał w laboratorium oryginalnej receptury. Był zdania, że bezpieczniej jest nosić ją przy sobie, zamiast zostawiać na pastwę zbirów swojego sponsora lub kogokolwiek innego. Paranoicznie starał się zostawić sobie furtkę i uniezależnić się od tej lukratywnej żyły złota. A po telefonie, jaki wykonał dziś wieczorem do swego dobroczyńcy, miał wrażenie, że jego paranoja to było raczej przeczucie.

Opowiedział o wszystkim, co przydarzyło się w klubie, łącznie z tym, że goniło go dwóch facetów. Poinformował też, że karmazyn wywołał niebezpieczne, wampiryczne, miał ochotę powiedzieć, objawy u jednego z jego najlepszych klientów.

Jego sponsor przyjął informację jak zwykle z kamiennym spokojem. Poinstruował Bena, żeby nikomu o tym nie mówił, i ustalił spotkanie na następny wieczór. Po miesiącach utrzymywania tajemnicy Ben miał wreszcie stanąć twarzą w twarz z tym mężczyzną.

Od spotkania dzieliło go mniej niż piętnaście godzin. Uznał, że dobrze będzie się zabezpieczyć, na wypadek gdyby potrzebne mu były przekonujące argumenty. W końcu nie wiedział dokładnie, z kim ma do czynienia, a nie był aż takim głupcem, żeby się nie domyślać, że jego sponsor musi mieć silne związki ze światem przestępczym. Nie po raz pierwszy chłopak z Southie, który zadarł z twardymi facetami, skończyłby w rzece Mystic.

Zgrał obie formuły, oryginalną i nową, zmienioną, którą uznał za bezpieczną, na flasha, po czym wykasował pliki z komputera. Potem wyszedł z laboratorium i bocznymi drogami wrócił do miasta, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś go śledził. W końcu dotarł do North Endu, w okolice mieszkania Tess.

Byłaby zaskoczona, gdyby się dowiedziała, jak często przejeżdżał pod jej oknami, po prostu żeby poczuć, że ona tam jest. Byłaby więcej niż zaskoczona, przyznał w duchu. Pewnie by się przestraszyła, gdyby poznała rozmiary jego obsesji. Wściekał się, że nie potrafi sobie dać z nią spokoju, ale to, że trzymała go zawsze na odległość ramienia, szczególnie po zerwaniu, sprawiało, że pragnął jej jeszcze bardziej. Czekał, aż do niego wróci, aż pozwoli mu wrócić, ale tego wieczoru, kiedy poczuł, jak się spina, gdy próbował ją pocałować, cała nadzieja wyparowała bezpowrotnie.

Skręcił za róg i ruszył ulicą Tess. Być może po raz ostatni jest pod jej domem. Być może po raz ostatni zachowuje się jak żaloszny podglądacz.

Tak, pomyślał i zaczął hamować na widok czerwonego światła. Może po raz ostatni ma okazję chodzić na wolności. Może jego życie właśnie się kończy.

Kiedy furgonetka zatrzymała się, zauważył czarne porsche, które wyjechało z bocznej uliczki i zatrzymało się na światłach tuż przed nim, na niemal pustej ulicy. Poczuł, jak żołądek zaciska mu się gwałtownie, kiedy rozpoznał kierowcę. To był ten facet z klubu. Nie ten, który za nim pobiegł, tylko ten drugi, wielki, o ciemnych włosach i niebezpiecznej aurze.

I niech go diabli, jeśli nie rozpoznał siedzącej obok pasażerki.

Tess.

Jezu Chryste. Co ona z nim robi? Czy ją przesłuchiwał w jego sprawie? Może sprawdzał jego znajomych?

Poczuł w gardle panikę, palącą jak kwas. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest niemal trzecia nad ranem, trochę za późno na przesłuchania przez policję czy wydział narkotykowy. Nie, cokolwiek ten facet wstawiał Tess, nie było to nic oficjalnego.

Zaczął niecierpliwie klepać kierownicę, nie spuszczając wzroku z czerwonego światła. Nie bał się, że zgubi porsche. Wiedział dokładnie, dokąd jedzie, ale chciał to sprawdzić na własne oczy. Musiał się przekonać, że to naprawdę jest Tess.

Wreszcie światło zmieniło się i Ben nacisnął pedał gazu. Furgonetka ruszyła ulicą, a porsche zatrzymało się przed domem Tess. Kawalek dalej Ben również zjechał do krawężnika i wyłączył światła. Czekał, obserwując z narastającą furją, jak facet pochyla się w stronę Tess i składa na jej wargach długi pocałunek.

To skurwysyn!

Pocałunek trwał i trwał, zdecydowanie za długo. Ben wrzucił bieg, zawrócił i przejechał powoli koło porsche, nie patrząc, a potem ruszył w swoją stronę.

Dante wracał do kwatery rozproszony do tego stopnia, że źle skręcił, wyjeżdżając z North Endu, i musiał zawracać. Głowę miał pełną zapachu Tess, jej smaku. Czuł ją na skórze, na języku. Wystarczyło, by o niej pomyślał, by dostać gwałtownej erekcji. Niech to diabli.

Nie planował tego. To było co najmniej głupie. Nie żeby żałował sposobu, w jaki spędził kilka ostatnich godzin. Nigdy jeszcze kobieta nie rozpałała go do tego stopnia, a przecież nie brakowało mu materiału do porównań. Zrzucał winę na fakt, że Tess była Dawczynią Życia i że pożywił się jej krwią, choć zdawał sobie sprawę z tego, że prawda była zdecydowanie gorsza.

Ta kobieta coś mu zrobiła. Coś, czego nie potrafił wyjaśnić, czemu nie mógł zaprzeczyć. Kiedy wyzwoliła go z wizji śmierci, chciał tylko zatracić się w jej magii. Tylko że seks z Tess nakręcił go jeszcze bardziej. Teraz chciał dostać więcej.

Przynajmniej wizyta w jej lecznicy okazała się owocna i pod innym względem.

Wjeżdżając na teren kwatery, wyciągnął z kieszeni płaszcza zgniecioną samoprzylepną karteczkę i wyprostował ją na tablicy rozdzielczej. W przyćmionym świetle wskaźników odczytał napisaną ręcznie wiadomość sprzed dwóch dni, którą ukradł z kalendarza Tess, leżącego na biurku.

Dzwonił Ben - wystawa w muzeum jutro o siódmej wieczorem. Nie zapomnij!

Ben. To imię zapadło mu w pamięć. Ben, mężczyzna, z którym poszła na wystawę. Drań, który sprzedawał karmazyn, zapewne pod kierunkiem Szkarłatnych.

Na wiadomości zapisany był też numer, centrala należała do dzielnicy Southie. Dante mógł się założyć, że dzięki tej informacji zlokalizują gościa w ciągu dwóch sekund.

Skierował porsche podjazdem w stronę rezydencji, potem wjechał do wielkiego garażu. Wyłączył światła i silnik, zerwał karteczkę z tablicy rozdzielczej i wyciągnął ze schowka swoje *malebranche*.

Zakrzywione ostrza były zimne i bezwzględne. Wyobraził sobie, jak przecina nimi gardło Bena. Już się nie mógł doczekać następnej nocy, kiedy przedstawi mu się oficjalnie.

Rozdział 18

Tess po raz pierwszy chyba od tygodnia spała dobrze i to pomimo faktu, że głowę miała pełną myśli o Dantem. Przez całą noc o nim śniła, był też jej pierwszą myślą po przebudzeniu. A obudziła się, nim jeszcze zadzwonił budzik na nocnym stoliku. Dante.

Jej skóra nadal nosiła na sobie jego zapach, choć spędziła dwadzieścia minut pod ciepłym prysznicem. Między udami pulsował przyjemny ból, który przywodził na myśl wszystko, co robili wczoraj w nocy.

Nadal czuła, gdzie ją całował i dotykał.

Mogła wyliczyć miejsca, które wziął w posiadanie.

Ubrała się szybko i wyszła z mieszkania, żeby zdążyć na kolejkę o piątej dwadzieścia. Zatrzymała się na chwilę w Starbucksie, żeby kupić kawę.

Przyszła do lecznicy pierwsza. Nora zapewne zjawi się dopiero o siódmej trzydzieści. Weszła do środka tylnym wejściem, zamykając je za sobą na zamek, ponieważ lecznica miała być otwarta dopiero za dwie godziny. Gdy znalazła się w psim szpitaliku i usłyszała wysilony oddech z jednej z klatek, zrozumiała, że ma problem.

Rzuciła na szafkę koło zlewu torebkę, klucze do lecznicy i prawie opróżniony kubek z kawą, po czym podeszła do małego teriera, którego wczoraj przyniósł tu Dante. Harvard czuł się źle. Leżał na boku, jego klatka piersiowa unosiła się powoli, z wysiłkiem. Oczy uciekały mu w głąb czaszki, pysk miał lekko uchylony, wystawał z niego paskudnie szary język.

Rzęził, a ten dźwięk mówił wszystko, nawet bez przeprowadzania badań. Najprawdopodobniej odejdzie z tego świata, nim przyjdą wyniki.

- Biedaku. - Tess otworzyła klatkę i delikatnie pogładziła sierść psa. Wyczuwała jego słabość. Prawie już odszedł, zapewne nie było dla niego ratunku, jeszcze nim Dante go tu przyniósł.

Poczuła nagle wielkie współczucie dla tego zwierzęcia. Mogła mu pomóc. Znała sposób...

Cofnęła rękę i splotła razem dłonie. Dawno temu podjęła decyzję. Obiecała sobie, że nie zrobi tego nigdy więcej.

Ale to było tylko bezradne zwierzę, a nie człowiek. Nie zły człowiek z jej przeszłości, który nie zasługiwał ani na pomoc, ani na współczucie. Czy komuś stanie się krzywda?

Czy będzie tu stać i patrzeć, jak to biedne stworzenie umiera, mając świadomość, że może go uratować?

Nie, nie potrafi.

- Już dobrze - szepnęła i ostrożnie wyjęła Harvarda z klatki. Trzymała go, jakby był niemowlęciem, w zagłębieniu łokcia. Drugą dłoń położyła mu na brzuchu. Skupiła się na jego oddechu, na słabym biciu jego serca. Wyczuwała jego słabość, chorobę, która powoli, od miesięcy, odbierała mu życie.

Palce zaczęły jej mrowić, kiedy przesunęła je po brzuchu psa. Do ust napłynęła jej gorycz, kiedy wyczuła guz. Nie był duży, ale zabójczy. Widziała go w myślach, widziała sieć macek, którymi oplatał żołądek psa. Paskudny siny kształt, którego jedynym celem było odebranie życia.

Poczekwała, aż guz uformuje się w pełni w jej umyśle. Jej dłoń zaczęła wibrować mocą. Skoncentrowała się na guzie, widziała, jak w jego wnętrzu pojawia się światło, jak rozpada się na kawałki. Czuła, jak się rozpuszcza. Cofnęła rękę.

To wróciło tak łatwo, ta jej niewytłumaczalna zdolność.

Moje przekleństwo, pomyślała, choć trudno było myśleć o tym w ten sposób, kiedy mały kłębek sierści w zagłębieniu jej łokcia zaskomlał cicho i polizał ją z wdzięczności po rękę.

Była tak skupiona na tym, co robi, że prawie nie zareagowała na hałas dobiegający z jednego z gabine-tów. Po chwili się powtórzył, jakby brzęczenie metalu o metal.

Uniosła gwałtownie głowę, a włoski na karku uniosły się jej z przerażenia. Usłyszała kolejny dźwięk, kroki na podłodze. Zerknęła na zegar na ścianie. Nadal było za wcześnie jak na Norę.

Właściwie się nie bała, ale kiedy ruszyła w kierunku hałasu, nagle ogarnęły ją wspomnienia. Magazyn, półmrok, krwawiący człowiek na podłodze. Zatrzymała się gwałtownie, ale obraz zaraz zniknął.

- Halo? - zawołała, próbując nie kołysać trzymanym w ramionach psem. - Czy ktoś tu jest?

Z dużego gabinetu koło recepcji usłyszała stłumione przekleństwo.

- Ben? Czy to ty?

Wyszedł z gabinetu z elektrycznym śrubokrętem w dłoni.

- Tess! Chryste, przestraszyłaś mnie śmiertelnie. Co ty tu robisz tak wcześniej?

- Tak się składa, że tu pracuję - stwierdziła, marszcząc brwi. Twarz Bena była zaczerwieniona, pod oczami miał czarne cienie. - A ty co tu robisz?

- Ja... - Machnął ręką ze śrubokrętem w stronę gabinetu. - Zauważyłem, że zacina się podnośnik w stole do badania. Obudziłem się wcześniej, a ponieważ nadal mam klucz do lecznicy, postanowiłem, że przyjadę i to naprawię.

To była prawda, stół wymagał naprawy, ale Ben sprawiał wrażenie dziwnie speszonego, a to się jej nie spodobało. Podeszła bliżej, delikatnie głaszcząc Harvarda, kiedy pies poruszył się w jej ramionach.

- Nie mogłeś z tym poczekać, aż otworzymy? Przesunął ręką po potarganych włosach.

- Już mówiłem, wstałem dziś wcześniej. Chciałem ci tylko pomóc. Jak się nazywa twój nowy przyjaciel?

- Harvard.

- Miły kundelek, ale strasznie zabiedzony. Nowy pacjent?

Kiwnęła głową.

- Trafił do mnie wczoraj wieczorem. Źle z nim było, ale myślę, że wkrótce poczuje się lepiej.

Ben uśmiechnął się, ale był to uśmiech pełen napięcia.

- Pracowałaś wczoraj do późna, doktorko?

- Nie. Niezupełnie.

Odwrócił wzrok, a jego uśmiech zrobił się pełny gorczy.

- Ben... - zaczęła Tess. - Wszystko okej? Próbowałam się do ciebie dodzwonić, żeby przeprosić. Zostawiłam ci wiadomość na sekretarce, ale nie oddzwoniłeś.

- Byłem trochę zajęty.

- Wyglądasz na zmęczonego. Wzruszył ramionami.

- Nie martw się o mnie.

To coś więcej niż zmęczenie, pomyślała Tess. Wygląda, jakby był naćpany i nie spał przynajmniej od dwóch dni.

- Czym się ostatnio zajmujesz? Pracujesz nad kolejną misją ratunkową czy coś?

- Czy coś - odparł, rzucając jej nieodgadnione spojrzenie. - Słuchaj, z chęcią bym pogadał, ale naprawdę muszę już iść.

Schował śrubokręt do kieszeni luźnych džinsów i ruszył ku wyjściu z lecznicy. Tess poszła za nim, wyczuwając dystans, którego wcześniej między nimi nie było.

Ben ją okłamał, i to nie tylko w sprawie pobytu w lecznicy.

- Dzięki za naprawienie stołu - powiedziała do jego pleców.

W drzwiach odwrócił się przez ramię i obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

- Jasne, nie ma sprawy. Trzymaj się, doktorko.

Lodowaty wiatr uderzał w okno pokoju Elizy. Co za ponure, szare popołudnie. Odsunęła firanki w swoim apartamencie na piętrze i popatrzyła na zimną ulicę, na grupy ludzi uwijające się wokoło, próbujące schronić się przed chłodem.

Gdzieś tam był jej osiemnastoletni syn.

Zniknął ponad tydzień temu, należał do zaginionych z okolicznych Mrocznych Przystani. Modliła się, by zdołał się gdzieś skryć przed słońcem, bezpieczny wśród towarzyszy, którzy pocieszą go i udzielą mu wsparcia, póki nie odzyska drogi do domu.

Miała nadzieję, że stanie się to wkrótce.

Dzięki Bogu, że miała Sterlinga, który robił co w jego mocy, by odnaleźć jej syna. Była zdumiona bezinteresownością szwagra, który całkowicie oddał się temu jednemu zadaniu. Żałowała, że Quentin nie widzi, co jego młodszy brat robi dla jego rodziny. Byłby zdumiony. I zawstydzony.

Wolała natomiast nie wyobrażać sobie, co jej zmarły mąż pomyślałby o niej.

Pewnie by ją znienawidził, gdyby się dowiedział, że to ona wypędziła syna. Bo gdyby nie pokłóciła się wtedy z Camdenem, gdyby nie próbowała go kontrolować, nie odszedłby. To była jej wina. Żałowała, że nie może cofnąć tych strasznych chwil.

Patrząc na świat za oknem, czuła w ustach gorzki smak żalu. Była taka bezradna, taka bezużyteczna w tym ciepłym przytulnym domu.

Bezpośrednio pod jej obszernym apartamentem w Mrocznej Przystani w zatoce Back znajdowało się mieszkanie Sterlinga, a jeszcze niżej podziemny schron. Sterling należał do rasy, więc jeżeli świeciło słońce, musiał przebywać pod dachem, jak reszta wampirów. Jak Camden, bo choć w połowie był człowiekiem, miał też w sobie krew ojca. Jego siłę i jego słabości.

Poszukiwania Camdena muszą więc zaczekać do zmierzchu. Dla Elizy to czekanie było wiecznością.

Zacząła spacerować po pokoju, żalując, że nie może pomóc Sterlingowi w odszukaniu Camdena i innych młodzieńców.

Choć była Dawczynią Życia, jedną z niewielu kobiet, które były w stanie rodzić dzieci wampirom, pozostała w stu procentach człowiekiem. Jej skóra bez problemu znosiła promienie słoneczne. Mogła swobodnie poruszać się między ludźmi, choć prawie od stu lat tego nie robiła.

Przebywała w Mrocznych Przystaniach od dzieciństwa, sprowadzono ją tu, kiedy bieda pozbawiła jej rodziców środków do życia. Byli mieszkańcami slumsów XIX-wiecznego Bostonu. Kiedy dorosła, została partnerką Quentina Chase'a, swojego ukochanego. Jakże za nim tęskniła przez tych pięć lat, odkąd odszedł!

A teraz być może straciła również Camdena.

Nie. Nie chciała nawet o tym myśleć. Ból był zbyt wielki, by rozważać taką możliwość.

A może jednak jest w stanie coś zrobić? Zatrzymała się przy mokrej od deszczu szybie. Jej oddech pokrył szkło parą, gdy wyjrzała na zewnątrz, zastanawiając się po raz tysięczny, gdzie może być jej syn.

Nagle podjęła decyzję. Odwróciła się na pięcie i poszła do szafy po płaszcz, który wisiał tam przez kilka ostatnich zim. Długie, granatowe ciepłe palto okryło jej białe wdowie szaty, sięgając aż do kostek. Włożyła jasne skórzane buty i wyszła z mieszkania, nim zdołał dogonić ją strach.

Zbiegła po schodach do drzwi prowadzących na ulicę. Dopiero po kilku nieudanych próbach przypomniała sobie właściwy kod zwalniający zamek. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz opuściła teren Mrocznej Przystani. Świat zewnętrzny przynosił jej tylko ból, ale może tym razem zdoła go znieść?

Dla Camdena zniesie wszystko. Kiedy otworzyła drzwi, poczuła na policzkach lodowaty wiatr. Wzięła się w garść i zeszła po kamiennych stopniach, trzymając się metalowej poręczy. Mijali ją przechodnie, niektórzy szli parami, inni samotnie, ukryci pod parasolami podskakującymi w rytm ich pospiesznych kroków.

Przez chwilę - króciutką chwilę - panowała cisza. Ale zaraz potem dar, który był jej przekleństwem, ten niezwykły dar, inny u każdej Dawczyni Życia, odezwał się w niej z całą siłą.

...powinnam mu była powiedzieć o dziecku...

...przecież nie zauważą braku głupich dwudziestu dolarów...

...powiem tej starej, że zabiję jej psa, jeśli jeszcze raz narobi na podwórku...

...nigdy się nie dowie, co zrobiłam, jeśli wrócę do domu i będę się zachowywać, jakby nic się nie stało...

Eliza zatkała sobie uszy rękami, chcąc się odciąć od brzydkich myśli mijających ją ludzi. Ale nie potrafiła ich uciszyć. Atakowały ją jak rój pszczoł, kłamstwa, zdrady, grzechy wszelkiego rodzaju.

Nie była w stanie postąpić kolejnego kroku. Tkwiła nieruchomo na chodniku, moknąc w lodowatej mżawce. Nie potrafiła się zmusić do ruchu.

Camden był gdzieś tam i musiała go znaleźć. Jednak znowu go zawiodła. Nie stać jej było na nic, prócz cichego płaczu.

Rozdział 19

Tego wieczoru zaczęło się ściemniać wcześniej z powodu zimnego listopadowego deszczu padającego z ciemnych chmur nisko zawieszonych. Flats, część bo-stońskiego Southie, niezbyt urodziwe i za dnia z tymi identycznymi bliźniakami i dwupiętrowymi kamienicami z cegły, zmieniło się w mokry, pozbawiony kolorów slums.

Dante i Chase jakąś godzinę temu podjechali do zaniedbanej kamienicy, gdzie mieszkał Ben Sullivan, zaraz po zachodzie słońca. Nadal czekali przed domem w terenówce z przyciemnianymi szybami. Kosztowny samochód wydawał się tu nie na miejscu, ale otaczała go aura nieprzystępności nie-igraj-ze-mną, która zniechęcała okoliczne gangi do podejścia zbyt blisko. Ci nieliczni, którzy zbliżyli się do okien, żeby zajrzeć do środka, szybko znikali na widok błysku kłów Dantego.

To całe czekanie go bardzo denerwowało. Miał nadzieję, że jakiś ludzki idiota okaże się dość głupi, by z nim zadrzeć, i Dante będzie miał okazję trochę się rozerwać.

- Jesteś pewien, że to właściwy adres? - spytał Chase. Siedział obok niego na miejscu pasażera.

Dante kiwnął głową, bębniąc palcami w kierownicę.

- Tak, jestem pewien. Rozważał możliwość złożenia wizyty ekschłopako-wi Tess samotnie, ale uznał, że lepiej zabrać ze sobą jakieś wsparcie, tak na wszelki wypadek. Wsparcie dla Bena, oczywiście, nie dla siebie. Bo wcale nie był pewien, czy człowiek nadal będzie oddychał, kiedy z nim skończy, jeśli się zjawi tam sam.

I to nie tylko dlatego, że Ben był dilerem narkotyków. Fakt, że ten facet znał Tess i to bez wątpienia znał ją intymnie, wzbudzał w Dantem wściekłość. Ogarnęła go nieopanowana zaborczość, potrzeba chronienia Tess przed draniami takimi jak ten żaloszny Sullivan.

Jasne. Tak jakby on sam był dla niej darem niebios.

- Jak go znalazłeś? - Pytanie Chase'a przerwało jego rozmyślania, każąc mu się skupić na misji. - Przecież widzieliśmy tylko, jak ucieka z klubu. To marna podstawa do ustalenia tożsamości.

Dante nawet nie spojrział na agenta, po prostu wzruszył ramionami, zajęty wspomnianiem godzin spędzonych z Tess.

- Bez znaczenia - powiedział po długiej chwili milczenia. - Wy z Mrocznych Przystani macie swoje metody, my swoje.

Ogarnęła go kolejna fala zniecierpliwienia. Nagle zobaczył swoją zwierzynę. Wyprostował się na siedzeniu i wbił wzrok w ciemność. Człowiek, który wyszedł z za rogu, miał spuszczone głowę, a twarz ukrywał pod kapturem szarego swetra. Ręce trzymał w kieszeniach luźnej ciepłej kamizelki. Poruszał się szybko, rzucając za siebie niespokojne spojrzenia, jakby się spodziewał kłopotów. Ale to był on, Dante był tego pewien.

- Idzie nasz człowiek - syknął, kiedy Ben wbiegł na schody prowadzące do jego mieszkania. - Rusz się, Harvard. Z życiem. Wysiedli z samochodu i weszli do budynku za Sullivanem, nim drzwi zdążyły się za nim zamknąć. Obaj poruszali się z szybkością i zwinnością właściwą dla rasy. Kiedy człowiek otworzył drzwi mieszkania na drugim piętrze, Dante pchnął go prosto w ciemność z taką siłą, że przeleciał przez salon urządzonego po spartańsku.

- Co do... - Sullivan wylądował na jednym kolanie. Zamarł, widzieli jego twarz w przyćmionym świetle, które dawała żarówka na klatce schodowej.

Coś zabłysło w oczach człowieka, coś innego niż strach. On mnie rozpoznał, pomyślał Dante. Zapewne zapamiętał mnie w klubie. Ale w tym spojrzeniu był również gniew. Czysta męska nienawiść. Wyczuwał, jak promieniuje od tego człowieka.

Sullivan powoli podniósł się z podłogi.

- O co chodzi?

- Może ty nam powiesz - odparł Dante, włączając światło. Za jego plecami Chase zamknął drzwi na zamek. - Jestem pewien, że już się domyślasz, że nie jest to wizyta towarzyska.

- Czego chcecie?

- Na początek informacji. Od ciebie zależy, jak je uzyskamy.

- Jakich informacji? - Sullivan niespokojnie przenosił wzrok z Dantego na Chase'a i z powrotem. - Nie mam pojęcia, kim jesteście ani o czym mówicie...

- Widzisz - przerwał mu Dante te wykręty - takie pieprzenie zawsze źle zwiastuje rozmowie. - Uśmiechnął się, widząc, jak człowiek wkłada głębiej rękę do kieszeni kamizelki. - Jak chcesz mnie przekonać, że jesteś idiotą, proszę bardzo, wyciągaj tę broń. Żebyśmy mieli jasność, bardzo chcę, żebyś to zrobił. Twarz Bena Sullivana zrobiła się równie biała, jak ściany jego mieszkania. Wyciągnął rękę z kieszeni, powoli i ostrożnie.

- Jak...?

- Spodziewasz się dziś kogoś prócz nas? - Dante podszedł do niego i wyjął mu z kieszeni zniszczony pistolet. Odwrócił się do Chase'a i podał mu zabezpieczoną broń. - Gówniana broń dla gównianego dilerka, co?

- Mam ją dla ochrony. Nie jestem dilerem, ja...

- Siadaj! - rozkazał Dante i rzucił faceta na fotel obity sztucznym zamsem, jedyny mebel w pokoju, wyjąwszy komputer w kącie i sprzęt stereo pod ścianą. Odwrócił się do Chase'a. - Rozejrzyj się tu, może coś znajdziesz.

- Nie jestem dilerem narkotyków - powtórzył Sullivan, kiedy Chase zaczął przetrząsać mieszkanie. - Nie wiem, co sobie myślicie, ale...

- Powiem ci, co myślę. - Dante pochylił się ku niemu, czując, jak gniew wyostrza mu wzrok i sprawia, że kły zaczynają naciskać lekko na język. - Myślę, że nie będziesz tu siedzieć i głupio zaprzeczać, że trzy dni temu widzieliśmy cię w klubie, jak sprzedajesz karmazyn. Od jak dawna sprzedajesz to gówno? Skąd je bierzesz?

Sullivan spuścił wzrok, obmyślając kłamstwo. Dante chwycił go za podbródek i gwałtownie poderwał mu głowę.

- Przecież nie chcesz umrzeć, prawda gnojku?

- Co mam powiedzieć? Mylicie się. Nie mam pojęcia, o czym mówicie.

- Może ona nam coś powie. - Chase wyszedł z sypialni akurat w chwili, gdy Dante postanowił zmusić człowieka do szczerości. Trzymał w ręku oprawioną fotografię, na której obok Bena stała Tess, o włosach krótszych niż teraz, ale równie piękna. Wyglądali na szczęśliwą parę. Pozowali przed wejściem do lecznicy, nad którym wisiał transparent głoszący: „Wielkie otwarcie”. - Wyglądacie na zaprzyjaźnionych. Założę się, że ta dziewczyna rzuci nam nieco światła na twoje wieczorne zajęcia.

Sullivan popatrzył na Chase'a zmrużonymi oczami.

- Trzymajcie się od niej z daleka albo jak mi Bóg miły...

- Jest w to wmieszana? - spytał Dante, nagle ochrypłym głosem.

Mężczyzna się skrzywił.

- Musisz mnie o to pytać? Przecież nie dalej jak wczoraj wpychałeś jej język do gardła pod jej domem. Tak, byłem tam. Widziałem cię, skurwysynu.

Słowa Bena zaskoczyły Dantego, ale wyjaśniały jego gniew. Dante poczuł na sobie pytający wzrok Chase'a, ale jego uwaga nadal skupiona była na przesłuchiwanym.

- Zaczynam tracić do ciebie cierpliwość - warknął, po czym pokręcił głową. - Nie, już ją straciłem. - Błyskawicznym ruchem wyciągnął z pochwy zakrzywione ostrze i przycisnął do gardła Bena. Uśmiechnął się sucho na widok okrągłych z przerażenia oczu chłopaka. - Tak, moim zdaniem, tak jest lepiej. Więc albo zaraz będziesz miał nowy otwór do oddychania, albo zaczniesz gadać. Koniec z pierdoleniem i dygresjami. Mrugnij raz, jeśli mnie rozumiesz, Benny, złotko.

Sullivan opuścił powieki, po czym znów wpatrzył się w Dantego z przerażeniem.

- Zakazali mi o tym mówić! - wybuchnął.

- Kto?

- Nie wiem. Ci, którzy mi płacą za produkowanie tego gówna.

Dante zmarszczył brwi.

- Sam robisz karmazyn?

Sullivan spróbował kiwnąć głową, ale powstrzymało go ostrze noża przyciśnięte do jego gardła.

- Jestem naukowcem. Przynajmniej byłem. Pracowałem jako chemik w firmie kosmetycznej, ale wylali mnie kilka lat temu.

- Pomiń fazę bezrobocia i opowiedz nam o karma-zynie.

Sullivan przełknął ostrożnie ślinę.

- Stworzyłem go na potrzeby klubów, żeby sobie dorobić. Latem, niedługo po tym jak zacząłem go rozprowadzać, jakiś facet namówił mnie do zwiększenia produkcji. Powiedział, że reprezentuje kogoś, kto jest gotów mnie finansować.

- Ale nie wiesz, kim są twoi partnerzy w interesach?

- Nie. Żadnych pytań, żadnego gadania. Nie obchodziło mnie to, naprawdę. Ktokolwiek to jest, płaci gotówką, i to słono. Zostawiają mi forszę w skrzynce depozytowej w banku.

Dante i Chase wymienili spojrzenia. Wiedzieli coś, o czym ten człowiek najwyraźniej nie miał pojęcia, że współpracował ze Szkarłatnymi i zapewne miał powiązania z przywódcą nowej frakcji. Zapewne szykowali się do rozpętania wojny z rasą. Kilka miesięcy temu Dante i jego towarzysze pokrzyżowali mu plany, wysadzając w powietrze jego kwaterę w opuszczonym zakładzie psychiatrycznym, ale nie wyeliminowali całkowicie niebezpieczeństwa. Dopóki

Szkarłatni będą zwiększać swoje szeregi za pomocą karmazynu, wybuch wojny pozostanie kwestią czasu.

- Zresztą o co wam chodzi? Karmazyn to nie jest twardy narkotyk. Robiłem próby na sobie. To łagodny, nieszkodliwy stymulant, taki jak X czy GHB.

Chase parsknął.

- Nieszkodliwy, rzeczywiście. Gówno prawda. Widziałeś, co się stało w klubie.

Dante przycisnął nóż nieco mocniej.

- Oglądałeś przedstawienie z pierwszego rzędu, nieprawdaż?

Sullivan zacisnął zęby i popatrzył niepewnie na Dantego.

- Nie... nie jestem pewien, co widziałem. Słowo honoru.

Dante zmierzył go ostrym spojrzeniem. Widział, że Ben jest niespokojny, ale czy kłamał? Cholera, szkoda, że nie zabrał ze sobą Tegana. Nikt, ani człowiek, ani wampir, nie mógł ukryć przed nim prawdy. Choć oczywiście Tegan też skróciłby cierpienia tego człowieka za

to, co zrobił rasię.

- Słuchaj. - Sullivan spróbował wstać, ale Dante położył mu dłoń na piersi i pchnął z powrotem na fotelu. - Wysłuchaj mnie, proszę. Nie chciałem nikogo skrzywdzić. Wszystko się... paskudnie popaprało. Mam dość, zamierzam z tym skończyć. Dziś wieczorem. Zadzwoń do gościa i mam się z nim spotkać. Powiem mu, że to koniec. Będą tu za parę minut.

Chase podszedł do okna, włożył palec między aluminiowe żaluzje i wyrzwał na ulicę.

- Parkuje czarny sedan - zaraportował, po czym zerknął na Sullivana. - Wygląda na to, że twoi goście już są.

- Cholera. - Ben skulił się w fotelu, niespokojnie przesuwał rękami po jego oparciach. Spojrzał ostrożnie na Dantego. - Muszę iść. Potrzebuję mojej broni.

- Nigdzie nie idziesz. - Dante schował do pochwy *malebranche* i podszedł do okna. Wyrzwał na zewnątrz. Choć nie widać było z góry, kto siedzi za kierownicą, mógł się założyć, że to Szkarłatny albo sługa. A drugi siedzi obok, na miejscu pasażera. Odwrócił się do Sullivana. - Jeśli wsiądziesz do tego samochodu, w zasadzie jesteś już trupem. Jak się kontaktujesz z tym sponsorem? Masz do niego numer?

- Nie. Dali mi komórkę na kartę. Jest w niej zaprogramowany jeden numer, ale ukryty, więc nie wiem, gdzie dzwonię.

- Pokaż.

Sullivan sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął komórkę i podał ją Dantemu.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał.

- Załatwimy to za ciebie. A ty pójdiesz z nami, żebyśmy mogli kontynuować naszą miłą rozmowę w innym miejscu.

- Co? Wykluczone. - Ben wstał. Rozejrzał się niespokojnie. - Pieprzę to. Wam też nie ufam, więc dzięki, ale nie. Sam się sobą zajmę...

Dante przeszedł przez pokój i chwycił Sullivana za gardło, nim ten zdążył mrugnąć.

- To nie była prośba.

Puścił ekschłopaka Tess i pchnął go w stronę Chase'a.

- Zabierz go stąd. Wyjdźcie tylnymi drzwiami i zawieź go do kwatery. Ja zejdę i przekażę tym dupkom w samochodzie jego wyrazy żalu. Kiedy Chase wziął chłopaka za ramię i wyprowadził z mieszkania, Dante wyszedł na korytarz. W mgnieniu oka znalazł się na zalanej deszczem ulicy i zatrzymał przed sedanem, którego silnik chodził na wolnych obrotach. Zajrzał przez przednią szybę i zobaczył w środku dwie osoby.

Tak jak się spodziewał, byli to niewolnicy wampira z pierwszego pokolenia, który pozbawił ich człowieczeństwa, wysysając im niemal całą krew. Słudzy żyli, ale tylko po to, by wypełniać rozkazy swojego pana.

I można ich było zabić.

Dante uśmiechnął się do nich szeroko, gotów na krwawą rozprawę.

Mężczyzna na miejscu pasażera zamrugał kilka razy, jakby nie był pewien, co widzi. Ten za kierownicą miał szybszy refleks. Kiedy jego towarzysz zaczął kłąć pod nosem, wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu.

Silnik z rykiem obudził się do życia, a sedan skoczył do przodu, ale Dante się tego spodziewał. Oparł dłonie na masce samochodu i przytrzymał go. Wyszczrzył zęby, kiedy opony ślizgały się na mokrej jezdni, piszcząc i dymiąc. Kiedy sługa za kierownicą wrzucił wsteczny, Dante wskoczył na maskę samochodu.

Balansując, jakby był surferem na fali, uniósł stopę i uderzył obcasem buta w przednią szybę. Potłuczone szkło wpadło do środka wraz z

ramą. Odpryski poleciały we wszystkie strony. Dante wskoczył do środka.

- Witajcie chłopcy. Dokąd to wam tak spieszno?

Rzucili się na niego jak oszalali, zaczęli go bić, gryźć, ale to była zwykła przepychanka. Dante wrzucił luz, a samochód zakołysał się gwałtownie. Nagle poczuł, jak coś ostrego tnie go po prawym udzie, potem poczuł metaliczny zapach własnej krwi. Kły gwałtownie wysunęły się z dziąseł, gdy wydawał pełny wściekłości ryk, a jego wzrok się wyostrzył. Chwycił sługę siedzącego na miejscu pasażera za włosy i gwałtownie uderzył jego głową w deskę rozdzielczą. Zabił go. Kierowca próbował jeszcze uciec z samochodu. Pociągnął za klamkę, otworzył drzwi i wypadł na mokry asfalt, a potem rzucił się w wąskie przejście między dwupiętrowymi kamienicami.

Dante pokuśtykał za nim i powalił go na ziemię. Walczył gołymi rękami, ponieważ wiedział, że nie może zabić tego sługi, póki nie uzyska odpowiedzi na pytanie, komu służy i gdzie można znaleźć tego wampira. Po chwili uznał, że wcale nie musi pytać o imię jego pana. Kilka miesięcy temu Zakon dowiedział się, że ich wrogiem jest rodzony brat Lucana, Marek. Nie wiedzieli tylko, dokąd drań uciekł po ich akcji.

- Gdzie on jest? - zapytał, odwracając mężczyznę na wznak i waląc go w szczękę. - Gdzie mogę znaleźć tego, do którego należy twoja żałosna dupa?

- Odwal się - sapnął sługa.

Dante wymierzył mu kolejny cios, po czym wyciągnął nóż i przyłożył go do jego policzka.

- No już, zabij mnie. Nic ci nie powiem.

Pokusa, by go usłuchać, była wielka. Dante opanował się, poderwał sługę z ziemi i cisnął nim w szarą ścianę domu. Uśmiechnął się z zadowoleniem, słysząc trzask, z jakim jego czaszka odbiła się od betonu.

- A może zacznę cię ciąć, kawałek po kawałku? - zasyczał. Jego głos zrobił się niewyraźny z powodu kłów. - Nie obchodzi mnie, czy zaczniesz mówić, ale twój krzyk na pewno przyniesie mi zadowolenie.

Sługa jęknął, gdy Dante przycisnął ostrze do jego policzka. Nagle wykręcił się. Rozległ się trzask bezpiecznika. Nim Dante zdołał wyrwać mu broń, sługa uniósł rękę.

Nie celował w Dantego tylko w siebie. W mgnieniu oka przyłożył sobie lufę do skroni, po czym pociągnął za spust.

- Niech to jasny szlag trafi!

Strzał zamigotał pomarańczowo w ciemnościach, a huk odbił się echem od wysokich budynków. Sługa padł na ziemię, a wokół jego głowy natychmiast rozlała się kałuża krwi.

Dante zbadał własne obrażenia, zadrapania na rękach, głęboką ranę na prawym udzie. Pożywiał się niedawno, więc jego ciało szybko się wyleczy. Dwie godziny, może mniej. Ale musiał sobie znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

W kilku mieszkaniach zapaliły się światła. Ktoś po drugiej stronie ulicy odsłonił zasłonę. Ktoś krzyknął głośno. Za chwilę wezwą gliny, może nawet już to zrobili.

Cholera.

Musi się stąd zabierać, i to migiem. Chase odjechał już SUV-em. Nie mógł wziąć wozu zabitych, bo za bardzo rzucałby się w oczy, więc posypany z bólu, odwrócił się i ruszył pieszo, zostawiając za sobą dwa trupy i otwarty samochód.

Rozdział 20

Tess wytarła ostatni talerz po kolacji i schowała go do szafki koło zlewu. Kiedy zamykała plastikowe wieczko nad resztkami kurczaka po indyjsku, poczuła czyjś badawczy wzrok.

- Żartujesz - westchnęła. Spojrzała przez ramię na popiskującego małego psa. - Harvard, nadal jesteś głodny? Czy zdajesz sobie sprawę, że jesz praktycznie bez przerwy, odkąd wróciliśmy do domu?

Terier postawił uszy i przekręcił uroczo łeppek. Kiedy i to jej nie przekonało, przekręcił głowę w drugą stronę i uniósł prosząco łapkę.

Tess się roześmiała.

- Dobrze, ty bezwstydnym uwodzicielu. Dam ci coś dobrego.

Wzięła miskę, wylizaną do czysta po dokładce puszkowanego Iamsa, a Harvard ruszył za nią. Przez cały dzień nie opuszczał jej ani na krok. Odkąd postanowiła zabrać go do domu, żeby go poobserwować, zachowywał się jak jej cień.

Nigdy wcześniej nie zabrała pacjenta do domu, ale też nigdy wcześniej nie uleczyła zwierzęcia dotykiem. Harvard był wyjątkiem. Bardzo się do niej przywiązał, zupełnie jakby wiedział, że uratowała mu życie. Po podaniu płynów, nakarmieniu i odpchnięciu zmienił się nie do poznania. Nie miała serca zostawić go samego w pustej lecznicy, a on najwyraźniej uznał, że jest jego najlepszą przyjaciółką.

- Proszę bardzo - powiedziała, rozdrabniając kilka kawałków gotowanego kurczaka i wrzucając mu do miski. - Spróbuj tym razem jeść powoli, dobrze?

Kiedy Harvard zajął się miską, Tess schowała resztki kolacji do lodówki, a potem naląła sobie kolejny kieliszek chardonnay. Następnie poszła do bawialni, gdzie zorganizowała sobie kącik rzeźbiarski. Dobrze było znów pracować w glinie, uznała.

Choć nie zaplanowała z góry, co wyrzeźbi, nie poczuła zaskoczenia, kiedy bryła jasnobrazowej masy zaczęła przybierać znajomą formę. Na razie była ona ledwie zaznaczona, tylko zarys twarzy pod grzywą gęstych włosów. Napiała się wina. Jeśli teraz zajmie się rzeźbieniem, spędzi przy tym resztę nocy, nie przestanie, póki nie skończy.

Tak jakby mieli z Harvardem jakieś dużo ważniejsze plany.

Odstawiła kieliszek na stół, sięgnęła po stołek na kółkach i usiadła. Zaczęła pracować nad twarzą. Spod drucianej pętli wyłoniło się lekko spadziste czoło, potem nos i wydatne kości policzkowe. Po chwili jej

palce zaczęły się poruszać automatycznie, umysł przestał nimi kierować, oddając pole podświadomości.

Nie miała pojęcia, jak długo pracuje, ale kiedy usłyszała mocne pukanie do drzwi mieszkania, niemal wyskoczyła ze skóry. Harvard śpiący u jej stóp na dywanie obudził się z warkotem.

- Spodziewasz się kogoś? - spytała cicho, wstając ze stołka. Naprawdę przestała myśleć o tym, co tworzy, ponieważ zrobiła coś dziwnego w okolicach ust. Wargi były cofnięte jakby w gniewnym warknięciu, a zęby...

Pukanie rozległo się ponownie. Towarzyszył mu głęboki głos, który wywołał w niej drżenie.

- Tess? Jesteś tam? Dante.

Otworzyła szeroko oczy, a potem zmrużyła je, krzywiąc się na myśl o tym, jak wygląda. Włosy wymknęły się z prowizorycznego koka na czubku głowy, pod białą koszulką z długimi rękawami nie miała stanika. Wyblakłe czerwone spodnie od dresu pobrudzone były gliną. Niespecjalnie odpowiedni strój na przyjmowanie gości.

- Dante? - zdziwiła się. Chciała zyskać pewność, że uszy jej nie zawodzą. - Czy to ty?

- Tak. Mogę wejść?

- Hm, jasne. Jedną chwilę! - zawołała. Szybko narzuciła na rzeźbę kawałek płótna i przejrzała się w metalowej szpachelce.

Och, cudownie. Miała taki lekko szalony, natchniony wyraz twarzy artysty. Niezwykłe twarzowy. To go nauczy, żeby nie wpadać bez zapowiedzi, pomyślała, idąc do drzwi i otwierając zamek.

- Co robisz w...

Urwała na jego widok. Był przemoczony, włosy przyłgnęły mu do czoła i policzków, deszcz kapał ze skórzanego płaszcza na czarne wojskowe buty i starą wycieraczkę.

Ale ociekał nie tylko deszczem. Z wodą mieszała się krew z niewidocznej rany.

- O mój Boże! Nic ci nie jest?

- Cofnęła się, żeby pozwolić mu wejść, po czym zamknęła za nim drzwi.

-Co się stało?

- Nie zostanę długo. Pewnie w ogóle nie powinienem tu przychodzić, ale tylko ty przyszłaś mi do głó-wy...

- W porządku - odparła. - Wejdz. Przyniosę ci suchy ręcznik.

Pobiegła do bieliźniarki i wyciągnęła dwa ręczniki, jeden, żeby się wytarł z wody, a drugi, by otrzeć ranę. Kiedy wróciła do bawialni, Dante właśnie rozpinał płaszcz. Zauważyła, że knykcie też ma zakrwawione. Krew miał również na twarzy, spływała wraz wodą kapiącą z jego włosów.

- Biłeś się? - Była zaniepokojona jego stanem, a równocześnie rozstrojona myślą, że brał udział w jakiejś ulicznej bójce. Nie widziała żadnych ran na jego rękach i twarzy, więc być może to nie była jego krew. Zresztą bez znaczenia.

Kiedy rozpiął płaszcz, aż jęknęła.

- O Jezu...

Na prawym udzie miał długie rozcięcie, ewidentnie od noża. Rana była świeża, krew zalewała nogawkę spodni.

- To nic takiego - powiedział. - Uwierz mi, przeżyję.

Zdjął płaszcz, a wówczas współczucie Tess zmieniło się w lód.

Był uzbrojony po zęby, jak facet z koszmarnego filmu akcji. Biodra otaczał mu gruby pas, do którego przytroczone były liczne noże, w tym dwa naprawdę wielkie, o zakrzywionych ostrzach. Na pierś miał przeniesiony pas z kaburą umieszczoną pod pachą. Tkwił tam ogromny pistolet. Nie chciała sobie nawet wyobrazić rozmiarów rany, jaką można było nim zadać. Kolejny pistolet miał przytroczony do lewego uda.

- Co ty u licha... - Instynktownie cofnęła się, wyciągając przed siebie ręczniki, jakby to była tarcza.

Na widok jej przerażenia Dante zmarszczył brwi.

- Nie skrzywdzę cię, Tess. To tylko narzędzia mojego fachu.

- Fachu? - Nadal cofała się, choć nie była tego świadoma, aż nie dotknęła łydkami stolika do kawy. -Dante, jesteś uzbrojony jak płatny zabójca!

- Nie bój się mnie, Tess.

Nie bała się. Była oszołomiona, martwiła się o niego, ale wcale się nie bała. Zaczął zdejmować z siebie broń, odczepił kaburę z uda i trzymał ją w rękę, jakby nie wiedział, gdzie ją odłożyć. Tess wskazała mu ręką stolik.

- Mogę dostać jeden ręcznik?

Podawała mu go, a potem przyglądała się, jak ostrożnie odkłada broń na stół, jakby nie chciał zarysować zniszczonego blatu. Nawet uzbrojony po zęby i ociekający krwią okazywał jej szacunek. A nawet

uprzejmość. Prawdziwy dżentelmen, jeśli pominąć tę broń i groźną aurę, jaka promieniowała z jego wielkiego ciała.

Rozejrzał się szybko po jej mieszkaniu, zauważył małego psa, który siedział cicho koło jej nóg.

Zmarszczył brwi.

- To nie może być...?

Tess kiwnęła głową, jej napięcie opadło, kiedy Harvard podszedł nieśmiało do Dantego, machając ogonem na powitanie.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że wzięłam go do domu. Chciałam go poobserwować i pomyślałam...

Usprawiedliwienia zamarty jej na ustach, kiedy Dante pochylił się do zwierzęcia. W jego głosie i dotyku była czułość.

- Hej, mały. - Mężczyzna zaśmiał się, kiedy Harvard polizał go po rękę, a potem przewrócił się na wznak, żeby podrapać go po brzuchu.

- Ktoś się tobą zajął. Tak, wygląda na to, że ktoś ci podarował zupełnie nowe życie.

Rzucił okiem na Tess. W jego wzroku było pytanie, ale nim zdołał je zadać, zabrała mu mokry ręcznik i wskazała głową drzwi do łazienki.

- Chodź, pozwól, że teraz zajmę się tobą.

Po drugiej stronie południowego Bostonu Chase stanął na światłach i z ledwie ukrywaną pogardą spojrzął na pasażera. Osobiście nie uważał, że będą mieć jakiś pożytek z tego diler. Myśl, że ten człowiek zmierzałby właśnie na własny pogrzeb, gdyby wraz z Dantem nie pojawili się u niego, przynosiła mu radość.

To niesprawiedliwe, żeby taka gnida jak Ben Sullivan miała aż tyle szczęścia, kiedy wartościowe młode wampiry, kończyły martwe albo, jeszcze gorzej, zmieniały się w Szkarłatnych pod wpływem nałogu krwi. A wszystko przez karmazyn, który ten dupek im sprzedawał.

Nagle wróciło do niego wspomnienie tej okropnej chwili, kiedy Dante przyłożył nóż do gardła Jonasa Redmonda w zaułku koło klubu. Ten dobry dzieciak nie żyje, ale nie z powodu wojownika, który go zabił, ale przez mężczyznę, który siedział teraz obok niego. Pokusa, by wpakować mu kulę w głowę, zalała go niczym tsunami, czuł wściekłość, do jakiej nie przywykł.

Patrzył przed siebie przez przyciemnianą szybę, czekając, aż wściekłość minie. Zabicie Bena Sullivana niczego nie rozwiąże, a już na pewno nie pomoże sprowadzić Camdena do domu.

A to był przecież jego główny cel.

- On z nią sypia, prawda? Ten twój kumpel. On sypia z Tess? - Głos człowieka wyrwał go z zamyśle-nia, ale Chase nie zareagował. Ben Sullivan przeklął, odwrócił głowę i popatrzył w okno pasażera. - Kiedy ich wczoraj zobaczyłem pod jej domem, drań ją obmacywał. W co on pogrywa? Wykorzystuje ją, żeby się dobrać do mnie?

Chase zachował milczenie. Sam się nad tym zastanawiał, od chwili gdy sprawa wyszła na jaw. Dante mówił wcześniej, że ma własny sposób na odszukanie dilerka karmazynu. Kiedy Chase się zorientował, że wojownik był blisko z kobietą Sullivana, uznał, że to ona zaprowadziła go do celu.

Ale na wzmiankę o niej twarz Dantego przybrała dziwny wyraz, który wskazywał, że nie była tylko środkiem do celu. Czyżby mu na niej zależało?

- To chyba i tak bez znaczenia - mruknął Sullivan. -Gdzie mnie zabierasz?

Chase nie miał ochoty odpowiadać. Kwatera Zakonu znajdowała się zaraz za miastem, kawałek na północny wschód od miejsca, gdzie teraz stali. Za kilka godzin, kiedy mężczyzna zostanie przesłuchany przez Dantego i spółkę, zaśnie w suchym ciepłym łóżku. Będzie więźniem, bezpiecznym za bramą kwatery wojowników, gdy tymczasem kilkunastu młodzieńców z Mrocznych Przystani krąży nadal po ulicach, odczuwając straszliwe efekty zabójczego narkotyku produkcji Sullivana.

To nie było w porządku. Z całą pewnością nie.

Chase zerknął na sygnalizator. Światło zmieniło się na zielone, ale on nie nacisnął gazu. Ktoś za nim zatrąbił niecierpliwie. Nie zwrócił na to uwagi. Bębnił przez chwilę palcami w kierownicę, rozmyślając o Camdenie i Elizie, o swojej obietnicy, że sprowadzi go do domu. Nie miał wielkiego wyboru. A czas uciekał, czuł to wyraźnie.

Kiedy ktoś ponownie zatrąbił, Chase nacisnął pedał gazu i skręcił w lewo. Z ponurym wyrazem twarzy ruszył SUV-em na południe, z powrotem do miasta, a konkretnie do położonej nad rzeką dzielnicy fabrycznej.

Rozdział 21

Dobry Boże - sapnęła Tess. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy przyklękła przed Dantem, żeby obejrzeć jego ranę. Siedział na brzegu białej wanny, ubrany tylko w podarte spodnie. Rozcięcie na jego udzie wyglądało lepiej, niż się spodziewała, ale widok takiej ilości krwi, krwi Dantego, sprawił, że żołądek zaczął jej się buntować, a w głowie nieprzyjemnie wirowało. Musiała chwycić się obrzeża wanny, żeby się nie przewrócić. -Przepraszam. Zwykle tak nie reaguję. Widuję w lecznicy masę paskudnych obrażeń, ale...

- Nie musisz się mną zajmować, Tess. Przywykłem radzić sobie sam.

Rzuciła mu pełne powątpiewania spojrzenie.

- Jesteś tak zakrwawiony, że ta rana musi być głęboka. Wymaga szycia. I jakoś mi się nie wydaje, że zrobisz to samodzielnie. Musisz zdjąć spodnie. Nic nie zrobię, jeżeli tego nie zrobisz.

Kiedy się nie poruszył, zmarszczyła brwi.

- Chyba nie zamierzasz tu siedzieć i wykrwawić się na śmierć?

Przyjrzał się jej, wzruszył lekko ramionami, po czym wstał i rozpiął guzik spodni. Potem zaczął rozpi-nać suwak, odsłaniając więcej tatuaży i ciemną kępkę włosów łonowych. Poczula żar na policzkach. Boże, po wczorajszym powinna pamiętać, że Dante nie należy do facetów noszących bieliznę.

- Masz tu drugi ręcznik. - Podała go szybko, żeby się okrył.

Odwróciła głowę, choć było już pewnie trochę za późno na wstyd, biorąc pod uwagę, co robili wczoraj. Kiedy tak siedział na brzegu wanny, miała wrażenie, że łazienka jest ciasna i panuje w niej straszna duchota.

- Powiesz mi, co się stało? - spytała, nie podnosząc wzroku, zajęta szykowaniem środków opatrunkowych. - Co takiego robiłeś, że tak skończyłeś?

- Nic szczególnego. W normie. Razem z partnerem zatrzymaliśmy dilerę narkotyków i natrafiłem na pewne przeszkody. Musiałem je usunąć.

Usunąć, pomyślała Tess, nagle pojmując, co znaczyło to słowo. Położyła na brzegu umywalki rolkę bandaża. Zimne stwierdzenie Dantego wywołało w niej dreszcz. Nie podobało jej się to, co słyszy, ale zapewniał przecież, że jest po stronie tych dobrych. Może to i szalone, ale ufała mu.

- W porządku - stwierdziła. - Obejrzymy teraz twoją nogę.

- Jak już powiedziałem, przeżyję. - Usłyszała jak jego spodnie opadają na podłogę. - Nie wydaje mi się, żeby to cięcie było bardzo głębokie.

Wreszcie spojrzała, przygotowana psychicznie na widok rozległej otwartej rany. Ale miał rację, wcale nie było tak źle. Poniżej ręcznika, którym owinął sobie biodra, znajdowało się czyste i dość płytkie rozcięcie. Głębokie na jakiś centymetr. Przystawało już krwawić.

- Chwała Bogu - westchnęła zaskoczona, ale i szczęśliwa, że niepotrzebnie się o niego martwiła. Wzruszyła ramionami. - Dobra, oczyszczę to, zabandażuję i będziesz jak nowy.

Odwróciła się znów do umywalki, zmoczyła szmatkę i wycisnęła na nią trochę środka dezynfekcyjnego. Usłyszała nagle, że Dante wstaje i podchodzi do niej. Stał o pół kroku za nią i wyjął spinkę, która przytrzymywała jej włosy na czubku głowy. Uwolnione kosmyki opadły na jej ramiona.

- Tak lepiej - szepnął, a w jego głosie pobrzmiwała mroczna zmysłowość. - Twój odsłonięty kark zaczął mnie rozpraszać. Mogłem myśleć tylko o tym, jak bardzo chcę go całować.

Powietrze utknęło Tess w gardle, przez chwilę nie była pewna, czy powinna stać nieruchomo i czekać, aż się cofnie, czy odwrócić się i poddać kolejnemu szaleństwu, jakie może im się przydarzyć.

Obróciła się powoli w ciasnej przestrzeni pomiędzy umywalką a ciałem Dantego, teraz osłoniętym tylko ręcznikiem. Z tak bliskiej odległości tatuaże na jego nagiej pierwi były jeszcze piękniejsze. Skomplikowane figury geometryczne i łuki wykonane różnymi kolorami, od głębokiej rdzawej czerwieni po złoty, zielony i jaskrawoniebieski.

- Podobają ci się? - spytał cicho, widząc, że przygląda się im z podziwem.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Są niewiarygodnie piękne. Inspirowały je wzory indiańskie?

Wzruszył ramionami.

- Raczej tradycja. Mój ojciec miał podobne, a przed nim jego ojciec. W zasadzie wszyscy mężczyźni w rodzinie.

Jeśli mężczyźni w jego rodzinie byli podobni do niego, musieli łamać kobiece serca. Nagle przypomniała sobie, dokąd sięgają te tatuaże, i poczuła, że się czerwieni.

Uśmiechnął się domyślnie.

Zamknęła oczy i spróbowała uspokoić oddech. Potem spojrzała na niego jeszcze raz i mokrą szmatką otarła krew z jego policzków i czoła. Miał ją również na rękach, więc ujęła jego dłoń i przetrłał palce. Były duże i długie. Przy jego dłoni jej ręka wydawała się taka mała. Objął ją.

- Lubię, jak mnie dotykasz. Marzyłem o tym, odkąd cię ujrzałem.

Zajrzała mu w oczy, w głowie miała pełno wspomnień z poprzedniej nocy. Zafascynował ją kolor jego tęczy, jasnobrazowozłocisty. Jego oczy mówiły jej, że to się zdarzy ponownie, że już wkrótce będą nadzy, złączeni ze sobą. Czuła, że odbędzie się to namiętnie, niemal brutalnie. Jej ciało spięło się na tę myśl, ogarnęło ją pożądanie.

- Zajmę się teraz twoją... nogą...

Sięgnęła ręką tam, gdzie brzegi ręcznika rozchodziły się na prawym biodrze i przesunęła ręką po jego muskularnym udzie. Rana przestała krwawić, więc ostrożnie oczyściła ją, cały czas świadoma piękna śniadej skóry na biodrach. Kiedy sięgnęła szmatką wyżej, poczuła, jak jego członek unosi ręcznik, ocierając się o jej rękę.

Przełknęła z trudem ślinę.

- Teraz zabandażuję.

Rzuciła szmatkę do umywalki i odwróciła się, żeby wziąć bandaż, ale Dante znów złapał ją za rękę. Przytrzymał ją, gładząc kciukiem jej skórę, jakby w milczeniu prosił o zgodę. Kiedy nie cofnęła ręki, tylko znów odwróciła się w jego stronę, jego oczy rozbłysły. Miała wrażenie, że płoną. - Powinienem się trzymać z dala od ciebie. - Jego głos był głęboki i niski. - Powinienem, ale nie potrafię.

Położył na jej karku wielką dłoń i przyciągnął ją do siebie. Ich ciała teraz się dotykały. Pochylił głowę, a Tess westchnęła głęboko, czując na wargach powolny, słodki pocałunek. Jego dłoń wśliznęła się pod bluzkę. Dotknięcie było gorące, miała wrażenie, że przechodzi ją prąd, kiedy przesuwał palcami po jej kręgosłupie.

Pocałował ją mocniej, wsunął język do jej ust. Tess otworzyła się przed nim, jęknęła, czując na brzuchu jego erekcję. Owładnęło ją pożądanie. Mokre pożądanie. Przesunął dłonią po jej klatce piersiowej, objął jej pierś, zacisnął palce na sutku. Dostała gęsiej skórki. Zadrzała, spragniona więcej. Przez długą chwilę w łazience słyhać było tylko ich oddechy, kiedy delikatnie poznawali dotykiem swoje ciała.

Dyszła ciężko, kiedy oderwał usta od jej ust, miała wrażenie, że jest bezwładna, kiedy uniósł ją z podłogi i posadził na brzegu toaletki. Ściągnął jej obcisłą białą koszulkę i rzucił na podłogę. W ślad za nią poszły spodnie od dresu. Teraz miała na sobie tylko majtki. Rozsunęła uda, robiąc mu miejsce. Jego członek okryty ręcznikiem otarł się o wewnętrzną stronę jej ud.

- Zobacz tylko, co mi zrobiłaś. - Wziął jej rękę i położył na penisie.

Nie była w stanie udawać nieśmiałości. Pogładziła ten wielki, twardy członek i ciężką mosznę, badała niespiesznie jego ciało. Ledwie była w stanie objąć go palcami, taki był nabrzmiały. Kiedy zamknęła dłoń na jego główce, pochyliła się, żeby pocałować brzuch Dantego.

Zajęczał, kiedy przesunęła językiem po liniach jego tatuaży. Jego ciało wibrowało pod jej dotykiem. Otoczył ją ramionami, chwycił mocno brzeg toaletki po obu jej stronach, przepięknie zagrały napięte bicepsy. Opuścił głowę na szeroką pierś, ale Tess zdążyła uchwycić jego płonące spojrzenie, nim przymknął powieki. Uśmiechnęła się, uniosła nieco głowę i przesunęła językiem wokół jego pępka. Nie mogła się powstrzymać od skubania zębami jego gładkiej skóry.

Kiedy zacisnęła zęby mocniej, wysyczał przez zęby:

- O Boże... tak. Mocniej - jęknął. - Chcę poczuć jak mnie gryziesz, Tess.

Nie wiedziała, co ją naszło, ale zrobiła, o co prosił. Zacisnęła mocno zęby i zaczęła ssać skórę, która znalazła się w jej ustach. Nie przegryzła jej, ale i tak Dantego przeszedł dreszcz. Pchnął mocno biodrami, zrzucając z nich ręcznik. Jęknął cicho, kiedy przesunęła językiem po miejscu, które właśnie ugryzła.

- Bolało?

- Nie. Nie przestawaj. - Pochylił się nad nią i pocałował ją w nagie ramię. Mięśnie miał napięte, jego członek nabrzmiął w jej dłoni jeszcze bardziej. - Boże, Tess. Jesteś dla mnie prawdziwą niespodzianką. Proszę, nie przestawaj.

Nie zamierzała przestawać. Nie rozumiała, dlaczego czuje się taka związana z tym mężczyzną. Ale jeśli chodzi o Dantego, nie rozumiała masy rzeczy. Dopiero co go poznała, a miała wrażenie, że są ze sobą bardzo długo, jakby los związał ich dawno temu, choć dopiero teraz się spotkali.

Cokolwiek się między nimi działo, nie zamierzała tego kwestionować.

Skubiąc skórę Dantego, przesunęła usta w dół jego brzucha na wąskie biodra, a potem na członek. Delikatnie zacisnęła na nim zęby, nim się wycofała. Zajęczał głucho, jego penis był sztywny. Kiedy wzięła go do ust, czuła, jak żyły pulsują na nim w takt uderzeń serca.

Nagle wyobraziła sobie krew przepływającą szybkim strumieniem w jego naczyniach, purpurową i dziką. Przez jedną zaskakującą, zupełnie szaloną chwilę zapragnęła poznać jej smak.

Oświetlona blaskiem księżycza rzeka wiła się jak czarna wstęga za przyciemnioną szybą okna pasażera. Na pustym, zarośniętym chwastami betonowym placu, który ze dwadzieścia lat temu był parkingiem papierni, panowała cisza. Nie było żadnych innych samochodów. Ben Sullivan uznał, że to doskonale miejsce na morderstwo, a kamienne milczenie uzbrojonego mężczyzny za kierownicą zdecydowanie źle mu wróży.

Kiedy SUV się zatrzymał, Ben był gotów na walkę. Marzył o tym, by dostać z powrotem czterdziestkępiąt-kę, którą odebrali mu w mieszkaniu. Nie sądził jednak, żeby miał wielkie szanse przy tym facecie. W przeciwieństwie do swojego ciemnowłosego partnera, z którego wręcz emanowała groźba, ten był milczący jak głaz. Cały czas zachowywał lodowaty spokój, ale Ben czuł, że za tą nieruchomą fasadą chłodnego faceta czai się gniew. I to go przerażało.

- Co się dzieje? Dlaczego się tu zatrzymujemy? Czekamy na kogoś? - Pytania wręcz się z niego wylewały. Nie obchodziło go, że w jego głosie pobrzmiwa panika. - Twój partner kazał ci mnie zawieźć do kwatery!

Żadnej odpowiedzi.

- A to na pewno nie tutaj - dodał, rozglądając się po opuszczonym parkingu.

Silnik pracował na jałowym biegu. Kierowca z sykiem wypuścił powietrze i rzucił na Bena lodowate spojrzenie. Jego bładoniebieskie oczy były bezlitosne, wypełniała je ledwie powstrzymana furia.

- Musimy porozmawiać.

- A przeżyję tę rozmowę?

Kierowca nie odpowiedział, tylko włożył rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął złożoną kartkę. Zdjęcie, rozpoznał Ben w świetle tablicy rozdzielczej.

- Widziałeś kiedyś tego mężczyznę?

Spojrzał na podobiznę miłego młodego człowieka o potarganych brązowych włosach i szerokim przyjacielskim uśmiechu. Miał na sobie bluzę Harvardu i pokazywał fotografowi kciuk. W drugiej ręce trzymał pismo na papierze firmowym uniwersytetu.

- No więc? Kogoś ci przypomina? Pytanie zabrzmiało jak warknięcie.

Choć Ben był pewien, że widywał tego chłopaka

i sprzedał mu karmazyn kilka razy w tym tygodniu, nie bardzo wiedział, czy taka odpowiedź ocali go, czy przypieczętuje jego śmierć. Powoli pokręcił głową, wzruszając obojętnie ramionami.

Nagle coś ścisnęło mu twarz z taką siłą, że miał wrażenie, iż szczeka zaraz mu pęknie. Boże, ten facet uderzył niczym kobra. Nawet szybciej, Ben nie zarejestrował ruchu jego ręki w wąskiej przestrzeni między fotelami.

- Przyjrzyj się dobrze - zażądał, podtykając mu zdjęcie pod nos.

- Dobra, już dobra - wyjąkał Ben. Poczul w ustach smak krwi; to zęby poraniły mu wewnętrzną stronę policzków. - Dobra, już!

Nacisk zelżał. Ben rozkasłał się, masując obolałą twarz.

- Widziałeś go?

- Tak widziałem. Nazywa się Cameron albo jakoś tak.

- Camden - poprawił go kierowca. Jego głos był pełen napięcia. - Kiedy go widziałeś?

Ben pokręcił głową, starał się sobie przypomnieć.

- Niedawno. W tym tygodniu. Był z jakimiś łebkami w klubie techno na North Endzie. Chyba w La Notte.

- Sprzedawałeś mu karmazyn? - Słowa wypowiedziane były niewyraźnie, jakby pytający miał coś w ustach.

Ben rzucił na niego niepewne spojrzenie. W półmroku panującym w samochodzie oczy faceta zdawały się pałać, jakby źrenice całkiem zatoneły w tych lodo-watobłękitnych tęczęwkach. Poczul dreszcz, instynkt nakazał mięśniom napiąć się w obronie.

Coś tu było nie tak. Bardzo nie tak.

- Czy sprzedałeś mu karmazyn, ty żalosna kupo gówna?

Ben przełknął z trudem. Niepewnie skinął głową.

- Tak. Facet mógł ode mnie kupić kilka razy.

Usłyszał przerażający warkot, zobaczył w ciemności błysk biały zębów, a chwilę potem uderzył głową w okno od strony pasażera, bo facet rzucił się na niego z furją.

Rozdział 22

Umierał.

Każde muśnięcie jej języka, każde zaciśnięcie warg na nabrzmiałym członku pchało Dantego w wir rozkosznej tortury. Ten dręczący nacisk jej zębów na skórze. Kiedyssała jego członek, pochylił się nad nią i chwycił się blatu toaletki. Twarz miał wykrzywioną, oczy zaciśnięte w słodkim cierpieniu.

Jego biodra same zaczęły się poruszać, penis wsunął się głębiej do jej ust, docierając do gardła. Tess nie protestowała, pojękiwała tylko cicho, a wibracje wzbudzone przez ten dźwięk przenikały wrażliwą główkę penisa.

Nie chciał, żeby zobaczyła, jak teraz wygląda, zatracony w pożądaniu, które ledwie kontrolował. Czuł w ustach wysunięte kły, ledwie mógł je ukryć za zaciśniętymi wargami. Zamknął powieki, gdyż jego oczy pałały czerwienią głodu i pożądania.

Wyczuwał jej podniecenie. Jej słodki zapach nappełnił wilgotne powietrze w łazience, ciężki jak afrodyzjak. Wyczuwał w nim też inną potrzebę, ciekawość, która go oszołomiła.

Każde skubnięcie jej zębów stanowiło pytanie, każde ugryzienie wskazywało na głód, którego nie rozumiała, nie potrafiła wyrazić słowami. Czy przegryzie jego skórę i weźmie jego krew?

Sama myśl, że mogłaby to zrobić...

Zaskoczyło go to, jak bardzo pragnie, by zatopiła małe, tępe ludzkie zęby w jego ciele. Wróciła do skubania jego brzucha, a on krzyknął gniewnie. Pragnienie, by wyssała jego krew, niemal przeważyło nad rozsądkiem, który nakazywał mu ją chronić przed złożeniem ślubu Dawczyni Życia, który zwiąże ją z nim do końca ich życia.

- Nie - wykrztusił, głos miał schrypnięty, ledwie mógł mówić z powodu pulsujących kłów.

Położył drżącą rękę na biodrze Tess. Uniósł jej pupę i ściągnął z niej jedwabne majtki, wypełniając przestrzeń między jej udami własnym ciałem. Jego członek błyszczał, zmoczony jej śliną i własnym sokiem, tak obrzmiały, że aż bolało. Nie stać go było na delikatność. Silnym pchnięciem wszedł w nią aż po nasadę.

Słyszał przy uchu jej oddech, jej plecy prężyły się pod jego dłońmi. Wbiła paznokcie w jego ramiona, kiedy zaczął poruszać się między jej nogami, w namiętym, szybkim rytmie, czując, jak u podstawy członka wzbiera wytrysk. Nie ustawał, choć wiedział, że zbliża się jej

orgazm, jak jej pochwa zaciska się wokół niego niczym ciepła wilgotna pięść.

- O Boże... Dante...

Chwilę później szczytowała, poczuł rozkoszne skurcze jej pochwy. Dogonił ją szybko, wystrzelił w nią dzikim żarem. Ale nie przestał się w niej poruszać, nigdy, nigdy nie chciał przestać się w niej poruszać... Otworzył z trudem oczy. Jego ciało trzęsło się po niesamowitym orgazmie. W lustrze nad umywalką zobaczył swoje odbicie. Wizerunek tego, kim był naprawdę. Źrenice miał zwężone w pionowe czarne kreski, zatopione w jaskrawym bursztynie tęczęwek, wyraz twarzy był zwierzęcy. Kły całkowicie wysunięte, długie, białe szable, połyskujące w ustach przy każdym oddechu.

- To było... niesamowite - wymamrotała Tess, obejmując go ramionami, żeby przytulić się mocniej.

Całowała jego wilgotną skórę, gładziła jego ramiona, a potem kark. Dante przyciskał ją do siebie, nadal jeszcze z niej nie wyszedł. Czekał, aż ta głodna, prymitywna część jego natury wreszcie się uspokoi. Znów zerknął w lustro, choć wiedział, że trzeba kilku minut, by przemiana ustąpiła. Dopiero wtedy będzie mógł się pokazać Tess, nie przerażając jej śmiertelnie.

Nie chciał, żeby się go bała. Jeśli teraz go zobaczy, jeśli się dowie, co jej zrobił tamtej nocy, kiedy spotkali się po raz pierwszy, gdy ofiarowała mu pomoc, a on rzucił się jej do gardła, znenawidzi go. I będzie miała do tego święte prawo.

Jakaś jego część domagała się, by opowiedział jej o wszystkim. By postawił sprawę jasno i mogli zacząć od nowa, jeśli jeszcze będą w stanie.

Jasne, rozmowa pójdzie równie gładko jak przechylenie szklanki pełnej szkła. Zresztą nie zacznie się jej zwierzać, będąc w niej cały czas.

Kiedy tak się zastanawiał nad skomplikowanymi relacjami z Tess, od progu dobiegło go warczenie. Ciche, ale niewątpliwie wrogie.

Tess poruszyła się, odwróciła głowę.

- Harvard! Co ci się stało? - Roześmiała się krótko, niepewnie. - Mam wrażenie, że bardzo zdenerwowaliśmy twojego psa.

Wymknęła się z jego ramion i zdjęła ręcznik z haczyka koło drzwi. Owinęła się nim, po czym pochyliła się, żeby wziąć teriera na ręce. Natychmiast oblizwał jej starannie podbródek. Dante obserwował ich

spod potarganych włosów, które opadły mu na czoło. Z ulgą poczuł, że jego wygląd wraca do normy.

- Ten pies naprawdę szybko wyzdrowiał pod twoją opieką. - Zdaniem Dantego był to prawdziwy cud, rzecz nieosiągalna dla normalnej medycyny.

- To wojownik - stwierdziła Tess. - Myślę, że teraz już wszystko będzie dobrze.

Uświadomił sobie nagle, że nie musi się obawiać, że Tess zauważy zmiany w jego wyglądzie. Omijała go wzrokiem, jakby sama miała coś do ukrycia.

- Ale poprawa jest zaskakująca, przyznasz. Nazwałbym to cudem, gdybym wierzył w takie rzeczy. - Obserwował ją uważnie, zaciekawiony i nieco zaskoczony. - Co właściwie zrobiłaś?

To było proste pytanie, na które mogła udzielić wielu różnych odpowiedzi, tymczasem zamarła bez ruchu w progu łazienki. Wyczuł jej nagłą panikę.

- Tess? Czy to takie trudne pytanie?

- Nie - zaprzeczyła szybko, choć miał wrażenie, że dławi się tym słowem. Rzuciła mu ukradkowe, przerażone spojrzenie. - Muszę... Powinnam...

Wzięła psa pod pachę, przycisnęła wolną rękę do ust, po czym odwróciła się na pięcie i bez słowa uciekła z łazienki.

Wpadła do salonu, postawiła psa na kanapie i zaczęła krążyć po pokoju. Czuła się osaczona, brakowało jej powietrza. Na miłość boską, przez chwilę naprawdę miała ochotę mu powiedzieć, jak uratowała Harvardowi życie. Zwierzyć się z tej unikatowej, przeklętej umiejętności... ze wszystkiego. I to ją przeraziło.

- Tess? - Dante przyszedł za nią, biodra miał owinięte ręcznikiem. - Co się stało?

- Nic. - Pokręciła głową, zmusiła się do uśmiechu. - Naprawdę nic. Masz na coś ochotę? Jeśli jesteś głodny, to zrobiłam na kolację kurczaka. Mogę...

- Chcę, żebyś ze mną porozmawiała. - Położył jej ręce na ramionach i ją przytrzymał. - Powiedz mi, co się dzieje.

- Nie. - Pokręciła głową. Tyle lat ukrywała ten sekret i swój wstyd. - Ja tylko... Nie zrozumiałbyś tego. Nie byłbyś w stanie zrozumieć.

- Przekonajmy się.

Chciała uciec przed jego przenikliwym spojrzeniem, ale okazało się, że nie potrafi. Wyciągał do niej rękę. Tak bardzo chciała chwycić się czegoś silnego i trwałego. Czegoś, co mogłoby ją zatrzymać w miejscu.

- Przysięgam, nigdy bym tego znowu nie zrobiła, ale...

O Boże. Nie zamierzała chyba odgrzebywać tego brudnego rozdziału swojego życia i prezentować go akurat Dantemu?

Tak długo utrzymywała to wszystko w tajemnicy, nauczyła się tego bać. Jedyne osoby, które znały prawdę o jej zdolnościach - jej ojczym i jej matka - już nie żyły. Ta rzecz należała do przeszłości, a przeszłość zostawiła daleko za sobą.

Zakopała ją głęboko.

- Tess. - Dante posadził ją na kanapie koło Harvarda, który wszedł jej na kolana, machając radośnie ogonem. Sam usiadł obok niej i pogładził ją po policzku. Jego dotyk był taki ciepły, taki czuły. Poddawała mu się, nie mogła mu się oprzeć. - Możesz mi wszystko wyznać. Jesteś ze mną bezpieczna, słowo honoru.

Chciała mu uwierzyć tak bardzo, że do oczu napłynęły jej gorące łzy.

- Dante, ja...

Cisza trwała przez długie sekundy. Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, więc wreszcie sięgnęła ręką tam, gdzie ręcznik rozchodził się na prawym udzie Dantego, odsłaniając ranę. Nakryła ją dłonią, skupiła na niej wszystkie myśli, całą swoją energię, aż poczuła, że proces uleczenia się rozpoczął.

Rozcięta skóra Dantego zasklepiła się, po ranie nie został żaden ślad.

Po kilku chwilach cofnęła rękę i przycisnęła dłoń do piersi.

- Mój Boże - sapnął Dante. Jego głos był niski, zmarszczył brwi.

Popatrzyła na niego niepewna, jak wyjaśnić, co właśnie zrobiła. Czekala na jego reakcję, nie wiedząc, co powinna sądzić o jego milczeniu.

Przesunął palcem po miejscu, gdzie przed chwilą była rana, a potem na nią popatrzył.

- Czy tak leczysz zwierzęta?

- Nie - zaprzeczyła szybko, gwałtownie kręcąc głową. Niepewność, którą czuła jeszcze chwilę temu, zmieniła się w nagły strach przed tym, co Dante teraz o niej myśli. - Nie, nigdy. To znaczy... zrobiłam wyjątek dla Harvarda, ale wcześniej nigdy.

- A ludzi?

- Nie. Nie, ja...

- Nigdy nie uleczyłaś w ten sposób człowieka? Tess poderwała się z kanapy. Owładnęła nią zimna panika na wspomnienie ostatniego razu, kiedy dotknęła w ten sposób człowieka.

- Moje zdolności to przekleństwo. Chciałabym ich nie mieć.

- To nie jest przekleństwo, Tess, to dar. Niezwykły dar. Kiedy pomyślę, co mogłabyś zrobić...

- Nie! - krzyknęła, nim zdołała się opanować. Odeszła od kanapy, z której właśnie podnosił się Dante. Popatrzył na nią z niepokojem i zdumieniem. - Nigdy nie powinnam była tego robić. Nie powinnam była ci tego pokazać.

- Ale pokazałaś i teraz musisz mi zaufać. Dlaczego tak się tego boisz, Tess? Boisz się mnie czy tego daru?

- Przestań nazywać to darem! - Skrzyżowała ramiona, zalały ją wspomnienia. - Nie nazwałbyś tego darem, gdybyś wiedział, co zrobiłam!

Dante podszedł do niej powoli. W małym salonie jego wielkie ciało wydawało się jeszcze większe. Pomyślała, że powinna uciec, ukryć się, tak jak przez ostatnich dziewięć lat, ale jakiś silniejszy impuls nakazywał jej paść mu w ramiona i wyznać wszystko, oczyścić się z tych brudów.

Odetchnęła głęboko zażenowana szlochem, jaki wyrwał się z jej gardła.

- Już dobrze - szepnął Dante. Jego łagodny ton i czułość z jaką ją objął, sprawiły, że omal się nie zała-mała. - No już. Wszystko w porządku.

Przyłgnęła do niego, balansując na skraju przepaści, którą wyczuwała, ale w którą nie śmiała spojrzeć. Wiedziała, że upadek będzie długi i bolesny, jeśli zacznie mówić, czeka na nią tyle ostrych skał. Dante nie nalegał, po prostu trzymał ją w objęciach, pozwalając jej czerpać pociechę ze swojej siły.

Wreszcie odnalazła właściwe słowa. Ich ciężar był zbyt wielki, ich smak zbyt paskudny, by je w sobie zamykać, dała więc im upust. Kiedy miałam czternaście lat, mój ojciec zginął w wypadku samochodowym w Chicago. Rok później moja matka wyszła ponownie za mąż, za mężczyznę, którego poznała w kościele. Był biznesmenem, powiodło mu się i miał wielki dom nad jeziorem. Był

hojny i przyjacielski. Wszyscy go lubili, nawet ja, choć bardzo tęskniłam za ojcem.

Moja matka ostro piła, właściwie odkąd tylko pamiętam. Mam wrażenie, że zaczęła dochodzić do siebie, kiedy przeniosłyśmy się do domu ojczyma, ale wkrótce znów wróciła do picia. A jego nie obchodziło, że jest alkoholiczką. Zawsze, nawet po jej najgorszym pijaństwie, pilnował, żeby barek był dobrze zaopatrzony. Stopniowo zaczęło do mnie docierać, że woli, kiedy jest pijana do nieprzytomności i nie ma pojęcia, co on robi.

Ciało Dantego zeszywniało. Jego mięśnie wibrowały od napięcia. Miała wrażenie, że to tarcza, która ją osłania.

- Czy on cię... dotykał?

Przełknęła z trudem, kiwnęła głową, nie odrywając jej od jego nagiej piersi.

- Początkowo, przez niemal rok był ostrożny. Przytulał mnie i patrzył na mnie w sposób, który mnie peszył. Próbował mnie zjednać prezentami. Urządzał przyjęcia dla moich przyjaciół, ale ja nie lubiłam siedzieć w domu, więc kiedy skończyłam szesnaście lat, prawie tam nie bywałam. Nocowałam u przyjaciółek, latem jeździłam na obóz, wszystko, byle być jak najdalej. Ale w końcu musiałam tam wracać. Gorzej zrobiło się przed moimi siedemnastymi urodzinami. Zaczął być agresywny wobec matki i mnie, zaczął nas bić, wymyślać nam. A potem, pewnej nocy...

Zawiodła ją odwaga, głowę miała pełną bluźnierstw i histerycznych krzyków, odgłosów zataczających się kroków, dźwięku tłukącego się szkła. Nadal słyszała ciche skrzypienie drzwi sypialni tej nocy, kiedy ojczym obudził ją z niespokojnego snu. Jego oddech śmierdział alkoholem i papierosami.

Ręka, którą zatkał jej usta, żeby nie mogła krzyczeć, była obrzydliwie spocona.

- To były moje urodziny - wyszeptała głosem bez wyrazu. - Przyszedł do mojego pokoju około północy. Powiedział, że żadne urodziny nie mogą się obyć bez pocałunku.

- Co za obrzydliwy skurwysyn. - Głos Dantego zmienił się w groźny pomruk. Delikatnie pogładził ją po włosach. - Tess... Wtedy nad rzeką, kiedy próbowałam zrobić to samo...

- Nie, to nie było to samo. Przypomniało mi o tym, ale to wcale nie było to samo.

- Przykro mi z powodu tego, co przeszłaś.

- Nie mów tak - poprosiła. Nie chciała, żeby jej współczuł, nim pozna całą prawdę. - Mój ojczym... on się położył do mojego łóżka. Walczyłam, kopałam go, biłam, ale był ode mnie dużo silniejszy i przygniótł mnie swoim ciężarem. Nagle zaczął się dusić. Krztusił się, jakby go coś zablokowało. Przestał mnie przytrzymywać i udało mi się go z siebie zrzucić. Okazało się, że dostał ataku serca. Zrobił się czerwony na twarzy, potem siny... Umierał na podłodze mojej sypialni.

Dante nie przerwał długiej ciszy, jaka nastąpiła po tych słowach. Może wiedział, do czego prowadzi jej spowiedź. Nie mogła jej teraz przerwać. Odetchnęła głęboko, minęła już punktu bez powrotu.

- Właśnie wtedy do pokoju weszła moja matka. Jak zwykle pijana. Zobaczyła go i wpadła w histerię. Była wściekła na mnie. Krzyczała, żebym mu pomogła, żebym nie pozwoliła mu umrzeć.

- Wiedziała, że możesz to zrobić dotykiem? - spytał Dante cicho, pomagając jej przez to przejść.

- Wiedziała. Leczyłam w ten sposób jej siniaki i połamane kości. Była na mnie taka wściekła... Winiała mnie za ten jego atak serca. Mam wrażenie, że winiała mnie za wszystko.

- Nie miała do tego prawa, Tess - wymruczał Dante. - Wiesz o tym, prawda?

- Teraz tak. Ale wtedy tak bardzo się bałam. Nie chciałam, żeby była nieszczęśliwa, więc zrobiłam, co mi kazała. Uruchomiłam jego serce i usunęłam blokadę z arterii. Nie miał pojęcia, co mu się stało, a my mu nic nie powiedziałyśmy. Dopiero trzy dni później odkryłam, jak wielki to był błąd.

Zamknęła oczy i cofnęła się w czasie. Weszła do szopy ojczyma w poszukiwaniu szpachelki, którą potrzebowała do rzeźbienia. Wspięła się na drabinkę i zaczęła szukać na górnych półkach. Nie zauważyła małego drewnianego pudełka, póki nie strąciła go łokciem na podłogę. Wypadły z niego zdjęcia, dziesiątki zdjęć. Polaroidowe zdjęcia dzieci w różnym wieku, częściowo ro-zebranych. Niektóre fotograf obmacywał podczas robienia zdjęć. Wszędzie widziała te okropne ręce.

Zadrżała w ramionach Dantego, zmrożona do szpiku kości.

- Mój ojczym dobierał się nie tylko do mnie. Odkryłam, że od lat molestował dzieci. To był potwór, a ja zwróciłam mu życie, żeby mógł krzywdzić je dalej.

- Jezu - syknął Dante. Oderwał ją od swojej piersi i zajął w jej pełną złości i obrzydzenia twarz. - To nie była twoja wina. Skąd miałaś wiedzieć?

- Ale skoro się dowiedziałam, musiałam naprawić swój błąd - oświadczyła. Na widok wyrazu twarzy Dantego zaśmiała się gorzko. - Musiałam mu odebrać to, co mu dałam.

- Odebrać? Kiwnęła głową.

- Jeszcze tego wieczoru zostawiłam otwarte drzwi do sypialni i czekałam na niego. Wiedziałam, że przyjdzie, ponieważ go zaprosiłam. Zakradł się do mnie, kiedy moja matka zasnęła. Poprosiłam, żeby się przy mnie położył. Trudno było udawać, że tego chcę. Kiedy to zrobił, kazałam mu zamknąć oczy. Powiedziałam, że chcę mu podziękować za ten pocałunek sprzed kilku dni. Zabroniłam mu podglądać, a on posłuchał, taki był napalony. Usiadłam na nim i położyłam mu ręce na piersi i posłałam cały swój gniew prosto do jego ciała. Otworzył oczy. Wiedział. Miał w oczach takie przerażenie, że musiał wiedzieć, co zamierzam zrobić. Ale nie mógł już zareagować. Zaczął się trząść, jego serce stanęło. Przytrzymałam go z całych sił. Czułam, jak uchodzi z niego życie. Trwałam tak chyba przez dwadzieścia minut, trzymałam go nawet wtedy, kiedy już odszedł. Chciałam mieć pewność.

Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki Dante nie otarł jej łez. Pokręciła głową, słowa więzły jej w gardle.

- Tej nocy opuściłam dom. Przyjechałam tutaj, do Nowej Anglii, mieszkałam u przyjaciół aż do czasu ukończenia szkoły, zaczęłam od nowa.

- A twoja matka? Wzruszyła ramionami.

- Nigdy więcej z nią nie rozmawiałam. Jej to i tak nie obchodziło. Nie próbowała mnie odszukać, a ja byłam z tego zadowolona, jeśli chcesz znać prawdę. Umarła kilka lat temu, z tego, co wiem, na wątrobę. Po tamtej nocy chciałam o wszystkim zapomnieć.

Dante przyciągnął ją znów do siebie, a ona nie protestowała. Grzała się w ciepłe jego ciało, czuła się pusta w środku. Opowiadanie o tym było trudne, ale kiedy już to zrobiła, była wyzwolona.

Była taka wyczerpana. Nagle przytłoczyły ją wszystkie te lata ucieczek i ukrywania się.

- Przysięgłam sobie, że nigdy więcej nie wykorzystam tego daru na żywej istocie. To przekleństwo, tak jak ci mówiłam. Może teraz to zrozumiesz.

Oczy szczypały ją od niewypłakanych łez, więc pozwoliła im popłynąć pewna, że przynajmniej chwi-łowo dotarła do bezpiecznej przystani. Silne ramiona Dantego obejmowały ją czule. Jego ciche słowa przynosiły pocieszenie. Potrzebowała go bardziej, niż sądziła.

- Nie zrobiłaś nic złego, Tess. Ten bydlak nie miał prawa żyć. Wymierzyłaś sprawiedliwość. Nigdy nie wolno ci w to zwątpić.

- Myślisz, że jestem... że jestem potworem? Że nie jestem lepsza od niego, skoro zabiłam go z zimną krwią?

- Nie! - Dante uniósł jej podbródek. - Uważam, że jesteś odważna. Że jesteś aniołem zemsty.

- Jestem wariatką.

- Nieprawda Tess. - Pocałował ją czule. - Jesteś niesamowita.

- Jestem tchórzem. Tak jak powiedziałaś, wiecznie uciekam. To prawda. Uciekam od tego tak długo, że już nie wiem, czy potrafię się zatrzymać.

- Więc uciekaj do mnie. - Oczy Dantego miały dziki wyraz. - Znam wszystkie twoje lęki, ponieważ prześladują również mnie. Pamiętasz ten atak, którego dostałem w lecznicy? To nie miało nic wspólnego ze zdrowiem.

- Więc co to było?

- Śmierć - odparł. - Odkąd pamiętam, mam takie ataki. Właściwie to są wizje. Wizje ostatnich chwil mojego życia. To potworne, nie jesteś sobie w stanie wyobrazić jak bardzo potworne. Widzę, co się stanie, czuję, jak to się dzieje. Znam swoje przeznaczenie.

- Nie rozumiem. Skąd możesz mieć pewność? Uśmiechnął się z goryczą.

- Moja matka miała podobne wizje, przepowiedziała śmierć swoją i ojca. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak mówiła. Nie mogła nic zmienić ani odwrócić. Więc usiłuję uciec przed własnym przeznaczeniem. Od zawsze przed nim uciekam. Izoluję się od wszystkiego, co mogłoby sprawić, że zechciałbym zwolnić i żyć normalnie. Nigdy nie pozwoliłem sobie na prawdziwe uczucia.

- Uczucia są niebezpieczne - wymamrotała Tess. Choć nie potrafiła sobie wyobrazić bólu, jaki nosił w sobie Dante, ale to ich łączyło. Oboje byli samotni, oboje wykluczeni ze swoich światów. - Nie chcę niczego do ciebie czuć, Dante.

- Tess, ja też nie chcę niczego czuć do ciebie. Wytrzymał jej spojrzenie i powoli przycisnął usta do jej ust. Jego pocałunek był słodki i czuły, niemal pełny czci. Pokruszył wszystkie mury, rozbił w proch przeszłość i ból. Stała przed nim całkiem naga, nie mogła się ukryć. Oddała pocałunek, marząc o czymś więcej. Była przemarznięta do szpiku kości. Potrzebowała jego ciepła.

- Zabierz mnie do łóżka - wyszeptała, nie odrywając ust od jego warg.

- Proszę, Dante...

Rozdział 23

Chase wszedł do Mrocznej Przystani tylnym wejściem. Uznał, że lepiej nie stawiać na nogi całej wampirzej społeczności, wchodząc od frontu w tym stanie. Wyglądał jak okrwawiona bestia. Eliza nie spała. Słyszał jej cichy głos w salonie na piętrze. Przyjmowała widać u siebie kilka Dawczyń Życia.

I czuł jej zapach. Jego zmysły wyostrzyła furia i przemoc, jakiej się dopuścił. Zapach kobiety, której pożądał ponad wszystko, zadziałał na niego jak narkotyk.

Z dzikim warkotem skręcił w przeciwną stronę, byle dalej od mieszkania szwagierki, i ruszył do swoich pokoi. Kopniakiem zamknął za sobą drzwi, z furią rozpinając suwak kurtki pokrytej ludzką krwią. Zerwał ją z siebie i rzucił na podłogę. Tak samo postąpił z koszulą.

Wyglądał strasznie, dłonie miał pokryte krwawiącymi zadrapaniami, knykcie rozbite. Pobił Bena Sullivana niemal na śmierć, poddając się gorączkowemu, dzikiemu pragnieniu, by coś zniszczyć. Nawet teraz, mimo upływu czasu, to pragnienie jeszcze go nie opuściło. Wiedział, że to głupota, napadać w ten sposób na dilerka karmazynu, ale potrzeba zemsty przeważała nad wszystkim. Poddał się więc dzikiemu instynktowi, choć rzadko do czegoś takiego dopuszczał. Chyba jeszcze nigdy nie dopuścił się do czegoś takiego. Zawsze był dumny ze swojej sztywnej, poprawnej postawy. Nie pozwalał, by uczucia górowały nad logiką.

A teraz, w jednej chwili, wszystko spieprzył.

Choć nie zabił dilerka, rzucił się na niego z takim zamiarem. Wyszczерzył kły i wbił je w gardło człowieka. I zupełnie go nie obchodziło, że czyniąc to, zdradza, że jest wampirem. Zaatakował dziko, ale w końcu zdołał opanować furie i puścił ofiarę. Być może powinien był wyczyścić mu pamięć, żeby ochronić rasę, ale chciał, żeby Ben Sullivan pamiętał dokładnie, co go czeka, jeśli nie dotrzyma ich układu.

Wiedział, że zawiódł zaufanie Dantego i pozostałych wojowników, ale uważał, że nie miał wyboru. Potrzebował Bena Sullivana na ulicy, a nie ukrytego bezpiecznie w kwaterze Zakonu. Choć sama myśl o tym była obrzydliwa, potrzebował dilerka, by odszukać Camdena. To był układ, który wymusił na Sullivanie. Ten facet nie był idiotą.

Zakosztowawszy wampirzej furii, sam zaczął błagać Chase'a, by pozwolił sobie pomóc.

Chase rozumiał, że jest teraz sam i że za to, co zrobił, będzie musiał drogo zapłacić, ale trudno. Za daleko zaszedł w swojej prywatnej krucjacie, by martwić się o konsekwencje. Już stracił posadę w agencji, choć tak ciężko pracował na swoją karierę. Dziś poświęcił swój honor. Poświęci wszystko, by wypełnić tę misję.

Zapalił światło w łazience i nagle ujrzał w lustrze swoje odbicie. Był pokrwawiony i spocony, oczy mu pałały, a źrenice skurczyły się w pionowe kreski. Dermaglify na jego nagiej piersi i ramionach pulsowały jasnym szkarłatem i bladym złotem, wskazując, że powinien się pożywić. Ta odrobina krwi, jaką wypił, kiedy ugryzł Bena Sullivana, nie pomogła. Pozostał mu po niej gorzki, miedziany smak w ustach, sprawiając, że pożądał czegoś słodsze.

Czegoś delikatnego, na przykład wrzosu i róż. Zapach tej krwi czuł coraz wyraźniej, patrząc na dzikie stworzenie, które przyglądało mu się z lustra.

Pełne wahania pukanie do drzwi zabrzmiało w jego uszach jak wystrzał armatni.

- Sterling? Wróciłeś?

Nie odpowiedział. Nie mógł. Język miał jakby przyrośnięty do podniebienia, szczęki zaciśnięte mocno, na bladych wargach bolesny grymas. Musiał się z całych sił powstrzymać od otwarcia drzwi siłą woli.

Jeśli ją wpuści, kiedy jest takim stanie, nie zdoła się powstrzymać od chwycenia jej w ramiona i zaspokojenia podwójnego głodu, który w nim szalał. W mgnieniu oka przyssałby się do jej szyi. Chwilę później wszedłby w nią, skazując się na potępienie.

Udowodniłby, jak nisko można upaść w ciągu jednej nocy.

Więc opanował swoje zdolności kinestetyczne i wykorzystał je do zgaszenia światła w łazience. Trwał nieruchomo przez niekończącą się wieczność. Jego oczy pałały niczym rozżarzone węgle, kły wysuwały się z dziąseł, czuł dokuczliwy ból własnego podniecenia.

- Sterling... jesteś w domu? - zawołała znowu. Jego zmysły były tak wyczulone na jej obecność, że usłyszał nawet jej ciche westchnienie, choć od ciężkich drzwi dzieliła go cała długość mieszkania. Znał ją tak dobrze, że mógł sobie wyobrazić to lekkie zmarszczenie brwi,

kiedy nasłuchiwała na korytarzu. Wreszcie uznała, że nie ma go w domu.

Stał nieruchomo, w milczeniu, czekając, aż odgłosy jej kroków ucichną na korytarzu. Dopiero kiedy odeszła, kiedy jej zapach zaczął znikać, odważył się odetchnąć. Wydech zmienił się w głęboki, pełen rozpaczy jęk, który wprawił w vibracje ukryte w mroku lustro.

Chase poddał się, skoncentrował cały swój ból i wysłał go w tę drgającą tafłę szkła. Rozpadła się na tysiące ostrych jak brzytwa kawałków.

Dante przesunął palcem po gładkiej skórze ramienia śpiącej Tess. Leżał obok niej w łóżku, przytulając się nagim ciałem do jej pleców i po prostu słuchał jej oddechu. Pokój był ciemny i cichy, spokojny jak po burzy.

Ten spokój był taki dziwny. Nigdy wcześniej nie czuł niczego podobnego. To było... miłe.

Jego członek uniósł się z zainteresowaniem, kiedy tulił do siebie Tess, ale nie zamierzał przerywać jej snu. Kiedy położył ją do łóżka, kochali się czule, w tempie, które ona narzucała. Pozwolił jej wziąć to, czego od niego potrzebowała. Ale teraz, choć nadal był podniecony, pragnął tylko, żeby jej było dobrze. Pragnął po prostu z nią być, tak długo jak potrwa noc.

Szokujące odkrycie dla faceta nieprzywykłego do odmawiania sobie przyjemności.

No ale jeśli chodzi o ten wieczór, więcej było takich szokujących odkryć.

Dawczynie Życia z reguły miały co najmniej jeden niezwykły dar i zwykle przekazywały go swoim dzieciom. Genetyczna anomalia, która pozwalała im zachodzić w ciążę z wampirami i zatrzymywała proces starzenia się, jeśli regularnie spożywały ich krew. Sprawiała również, że były czymś znacznie więcej niż tylko ludzkimi kobietami.

U matki Dantego tym talentem była zdolność widzenia przyszłości. Partnerka Gideona, Savannah, miała zdolności psychometryczne. Potrafiła odczytywać historię z przedmiotów, a właściwie historię ich właścicieli. Gabrielle, Dawczynie Życia, która mieszkała w kwaterze od niedawna i była partnerką Lucana, instynktownie wyszukiwała kryjówek wampirów, i opierała się kontroli umysłu, nawet najpotężniejszych przedstawicieli rasy.

A u Tess była to zaskakująca zdolność leczenia dotykiem. Fakt, że była w stanie uleczyć jego ranę, oznaczał, że jej dar dotyczy również wampirów. Byłaby takim cennym nabytkiem dla rasy. Kiedy pomyślał o dobru, które mogłaby czynić...

Odrzucił ten pomysł, nim umysł zdążył nadać mu kształt. To, co tu zaszło, nie zmieniało faktu, że on żyje na krawędzi i ma obowiązki przede wszystkim wobec rasy. Chciał ochronić Tess przed bólem, ale nie miał prawa prosić jej, by porzuciła życie, które sobie zbudowała. Tym bardziej że związał ją ze sobą tej pierwszej nocy, biorąc jej krew. A jednak, kiedy leżał obok niej, kiedy gładził jej skórę, wdychając jej słodkokorzenny zapach, niczego bardziej nie pragnął, jak wziąć ją na ręce i zabrać ze sobą do kwatery, gdzie byłaby bezpieczna przed złem, które mogło ją spotkać na górze.

Takim jak jej ojczym, który zadał jej tyle cierpienia. Tess martwiła się, że zabicie tego drania czyni ją równie złą jak on, ale Dante darzył ją za to wielkim szacunkiem. Zabiła potwora, ocaliła siebie i Bóg jeden wie jak wiele innych dzieci.

Jego zdaniem już we wczesnym wieku dowiodła, że jest wojowniczką. Miał ochotę wykrzyczeć całemu śpiącemu miastu, że ta szlachetna i sprawiedliwa kobieta należy tylko do niego.

Moja, pomyślał gwałtownie, samolubnie.

Kiedy pochylił się i pocałował ją w łopatkę, w kuchni zaczął dzwonić telefon. Uciszył go siłą myśli, nim zdążył zadzwonić po raz drugi i obudzić Tess. Poruszyła się, jęknęła cicho i wymamrotała jego imię.

- Jestem tutaj - szepnął. - Śpij aniele. Nadal tu jestem.

Kiedy znów zasnęła, przyłgnąwszy do niego mocniej, zaczął się zastanawiać, ile zostało czasu do świ-tu. Niedużo, uznał, zaskoczony własnymi uczuciami. Wiedział, że nie wynikają one tylko z więzów krwi, które przypadkowo narzucił im obojgu.

Nie, to, co zaczął czuć do Tess, sięgało o wiele głębiej. Sięgało jego serca.

- Do diabła, Tess, odbierz! - Głos Bena Sullivana był wysoki, trząsł się, podobnie jak całe jego ciało, z powodu szoku i strachu, tak silnego że miał wrażenie, iż traci zmysły.

- No już! Odbieraj!

Stał w brudnej budce telefonicznej w jednej z najgorszych dzielnic miasta, ściskając w zakrwawionej dłoni zniszczoną, zardzewiałą słuchawkę. Wolną rękę przyciskał do szyi, tamując krew, która leciała

z paskudnej rany po ugryzieniu. Twarz miał spuchniętą po strasliwym biciu, tył głowy pulsował bólem. W miejscu, którym uderzył o szybę SUV-a, wyrósł mu guz wielki jak jajko.

Z trudem mógł uwierzyć, że żyje. W zasadzie był pewien, że facet go zabije, i poczuł zaskoczenie, kiedy napastnik polecił mu wysiąść z samochodu, Czy to w ogóle był człowiek? Na odchodnym wepchnął mu do ręki fotografię chłopaka, którego szukał, i zapowiedział, że jeśli ten Cameron, Camden czy jak mu tam zginie, to będzie wyłącznie jego wina.

Ben miał mu pomóc go odszukać, dopilnować, żeby chłopak wrócił do domu w jednym kawałku. Zależało od tego jego życie, a choć marzył o tym, żeby zmyć się z miasta i zapomnieć, że kiedykolwiek słyszał słowo „karmazyn”, wiedział, że wariat, który go dziś zaatakował, i tak go w końcu dopadnie. Facet obiecał, że to zrobi, a Ben wierzył mu bez zastrzeżeń.

- Jasna cholera! - krzyknął, kiedy telefon w mieszkaniu Tess przełączył się na automatyczną sekretarkę.

Choć tkwił w bagnie po uszy, czuł się w obowiązku ostrzec Tess przed facetem, z którym ostatnio zaczęła kręcić. Skoro jego kumpel okazał się wariatem i wybrykiem natury, nie wątpił, że nadskakujący Tess gość jest równie groźny.

Boże, Tess.

Kiedy nagranie zakończyło się przeciągłym sygnałem, opowiedział pospiesznie wydarzenia wieczoru, zaczynając od zasadzki, którą na niego zastawili, a kończąc na ataku tego dziwaczego gościa. Wykrzyczał, że widział ją z jednym z napastników i że martwi się, że jest w niebezpieczeństwie.

Słyszał, jak słowa wylewają się z niego. Słyszał, że głos ma dziwnie piskliwy, jakby balansował na skraju hysterii. Kiedy wykrzyczał wszystko i odwiesił z trzaskiem słuchawkę, ledwie mógł oddychać.

Oparł się

o zabazgraną ścianę budki i się pochylił. Zamknął oczy i próbował się uspokoić.

Opadły go gwałtowne uczucia: panika, poczucie winy, bezradność, niewiarygodne przerażenie. Chciał to wszystko cofnąć. Tych kilka ostatnich miesięcy, wszystko co się zdarzyło, wszystko co zrobił. Gdyby tylko mógł to wymazać, naprawić! Czy Tess nadal by z nim

była? Nie wiedział. I nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ niczego nie mógł cofnąć.

Teraz powinien się raczej modlić, żeby ujść z życiem.

Odetchnął głęboko i wyprostował się z wysiłkiem. Otworzył drzwi budki i ruszył ciemną ulicą. Wyglądał strasznie. Jakiś bezdomny cofnął się na jego widok, kiedy Ben przeszedł przez jezdnię, kierując się ku głównej ulicy. Nie zatrzymując się, wyciągnął z kieszeni zdjęcie dzieciaka, którego miał odszukać.

Popatrzył na pochłapaną krwią podobiznę, usiłując się skupić. Nie usłyszał zbliżającego się samochodu, dopóki ten nie zatrzymał się tuż przy nim z piskiem hamulców. Drzwi otworzyły się i wysiadło z niego trzech obcych zbirów.

- Wybiera się pan dokądś, panie Sullivan?

Ben rzucił się do ucieczki, ale zdołał postąpić zaledwie dwa kroki. Faceci złapali go za ręce i nogi, a fotografia wylądowała na mokrym asfalcie. Któryś nadepnął na nią wielkim butem, kiedy nieśli go do czekającego samochodu.

- Tak się cieszymy, że w końcu pana znaleźliśmy - powiedział głos, który sprawiał wrażenie ludzkiego, ale w jakiś sposób ludzki nie był. - Kiedy nie przybył pan na spotkanie, nasz szef był bardzo zmartwiony. Ucieszy się, słysząc, że jest pan już w drodze.

Ben próbował się wyrwać, ale bezskutecznie. Wrzucili go do bagażnika i zatrzasnęli klapę, zamykając go w ciemnościach.

Rozdział 24

Kolory świtu wydawały się Tess jaśniejsze, a listopadowe powietrze bardziej rześkie i ożywcze, kiedy wracała do mieszkania z krótkiego spaceru z Harvardem. Gdy wbiegali po schodach, czuła się silniejsza, lżejsza. Nie była już przytłoczona okropną tajemnicą, którą nosiła w sobie przez tyle lat.

Zawdzięczała to Dantemu.

Tyle mu zawdzięczała! Na tę myśl serce zaczęło jej bić szybciej. Nadal czuła słodki ból po uprawianiu miłości.

Była okropnie rozczarowana, kiedy obudziła się i okazało się, że wyszedł, ale wiadomość, którą zostawił jej na nocnym stoliku, zaraz ją uspokoiła. Wyjęła ją teraz z kieszeni wełnianych spodni, otwierając drzwi do mieszkania i spuszcżając Harvarda ze smyczy.

Weszła do kuchni, żeby zrobić sobie kawę, po drodze odczytując po raz dziesiąty litery skreślone stanowczym charakterem pisma, a szeroki uśmiech nie schodził z jej twarzy. „Musiałem wyjść, a nie chciałem Cię budzić. Zjesz ze mną kolację? Chcę Ci pokazać, jak mieszkam. Zadzwońię do Ciebie. Śpij dobrze, aniele. Twój D”.

Twój. Tak się podpisał. Jej.

Na tę myśl poczuła osobliwą falę zaborczości. Powtarzała sobie, że to nic nie znaczy, że jest głupia, doszukując się czegoś w słowach Dantego albo wyobrażając sobie, że on też jest z nią tak silnie związany. Niemniej była wręcz upojona, kiedy kładła wiadomość na blacie w kuchni.

Popatrzyła na małego psa, który podskakiwał u jej stóp, czekając na śniadanie.

- Jak myślisz, za dużo się w tym doszukuję? Zakochuję się w nim, prawda?

Boże... zakochiwała się w nim.

Tydzień temu nie miała nawet pojęcia o jego istnieniu, więc skąd mogła wiedzieć, że potrafi się aż tak zaangażować uczuciowo w tak krótkim czasie? Ale stało się. Zakochiwała się w Dantem, a być może już go kochała, sądząc z tego, jak bije jej serce na samą myśl o nim.

Zniecierpliwione szczekanie Harvarda wyrwało ją z zamyślenia.

- Jasne. - Patrzyła na jego kosmaty pyszczek. Nutra

1 kawa, niekoniecznie w tej kolejności. Zgadżam się z tobą w zupełności.

Nasypała do ekspresu kawę ze Starbucksa, naląła wodę z kranu i włączyła urządzenie, po czym poszła do spiżarni po miskę i suchą karmę dla psa. Kiedy mijiała aparat telefoniczny, zauważyła, że mruga lampka automatycznej sekretarki.

- Proszę bardzo, kochany. - Nasypała karmę do miski i postawiła ją na podłodze. - ***Bon appétit.***

Z wielką nadzieją, że wiadomość nagrał Dante podczas jej spaceru z psem, nacisnęła przycisk odtwarzania. Czekwała niecierpliwie, aż sekretarka poinformuje ją, że ma nagraną jedną wiadomość i poda czas nagrania. Wczoraj późno w nocy.

„Tess! Jezu Chryste, dlaczego nie odbierasz tego pierdolonego telefonu?”

To Ben, uświadomiła sobie. Jej rozczarowanie szybko przeszło w przerażenie, tak zmieniony miał głos. Nigdy nie słyszała, żeby był taki spanikowany, taki wściekły. Oddychał ciężko, słowa same się z niego wylewały. To nie był zwykły strach, Ben był przerażony. Stopniowo to uczucie zaczęło ogarniać również ją.

„...muszę cię ostrzec. Ten facet, z którym się widujesz, jest inny, niż myślisz. Dziś wieczorem wpadli do mojego mieszkania, on i jeszcze jeden gość. Myślałem, że mnie zabiją! Boję się o ciebie. Musisz się trzymać od niego z daleka, tkwi po uszy w jakimś gównie... Wiem, że to szaleństwo, ale facet, z którym do mnie przyszedł... Nie sądzę... Och, Boże, muszę to powiedzieć... Nie sądzę, żeby to był człowiek. Może żaden z nich nie jest człowiekiem. Ten drugi zabrał mnie SUV-em... Powinienem był zapamiętać numery, ale wszystko działało się tak szybko. Zawiózł mnie nad rzekę i rzucił się na mnie, Tess. Ten skurwiel miał ogromne zęby, właściwie kły, przysięgam na Boga, a oczy mu płonęły, dosłownie płonęły! To nie był człowiek. Tess, oni nie są ludźmi!”

Cofnęła się od blatu. Ton głosu Bena zmroził ją równie mocno, jak rzeczy, które mówił.

„Ugryzł mnie. Walnął moją głową w szybę samochodu, pobił mnie prawie do nieprzytomności, a potem... potem mnie ugryzł! O Chryste, szyja mi nadal krwawi. Muszę chyba iść do szpitala czy gdzieś...”

Tess wycofała się do salonu, jakby w ten sposób mogła się jakoś odseparować od tego, co usłyszała. Nie wiedziała, co ma o tym sądzić.

Jakim cudem Dante mógł być wmieszany, choćby trochę, w napad na Bena? Zaraz, kiedy wczoraj do niej przyszedł, uzbrojony po zęby i zakrwawiony, powiedział, że ścigał dilerów narkotyków. Mógł mówić o Benie. Bo musiała przyznać ze smutkiem, że nie było znowu tak trudno wyobrazić sobie, że Ben wrócił do dawnej działalności.

Ale teraz mówił kompletne nonsensy. Ludzie, którzy zmieniają się w zębate bestie? Atak rodem z hor-roru? Na takie rzeczy nie ma miejsca w prawdziwym życiu, nawet w najgorszym życiu. To po prostu nie jest możliwe.

Czyżby?

Stała przed niedokończoną rzeźbą, nad którą pracowała wczoraj wieczorem. To była głowa Dantego. Schrzanila ją, zrobiła coś nie tak z ustami. Nadała im taki dziwaczny grymas...

Palce zaczęły jej mrowić, kiedy sięgnęła po kawałek płótna, którym przykryła rzeźbę. Była zmieszana, czuła dziwny, niedający się określić lęk, który ciążył jej na żołądku jak kamień, kiedy ściągała zasłonę z gliny. Oddech uwiązł jej w gardle, kiedy zobaczyła swoje dzieło. Błąd, który popełniła, nadał Dantemu dziki, niemal zwierzęcy wygląd... Ostre kły zmieniły jego uśmiech w dziki grymas.

Dlaczego wymodelowała mu kły?

„Naprawdę się boję, Tess - dobiegł ją głos Bena z głośnika telefonu. - Po prostu... bez względu na to, co zdecydujesz, trzymaj się jak najdalej od tych gości”.

Dante chwycił swoje *malebranche*, po jednym w każdą dłoń. Stał załśniła we fluorescencyjnym świetle sali treningowej kwatery. Odwrócił się z niewiarygodną szybkością i ciął manekina treningowego, zadając mu dwie równoległe rany. Z rykiem odwrócił się i ciął jeszcze raz.

Potrzebował jakiegoś substytutu walki, bo gdyby usiadł spokojnie choć na chwilę, zapewne kogoś by zamordował. Na szczycie listy kandydatów znajdował się obecnie agent Mrocznych Przystani Sterling Chase. Na drugim miejscu plasował się Ben Sullivan. Najlepiej gdyby dorwał ich obu razem.

Wściekał się od chwili, kiedy wrócił do kwatery i dowiedział się, że agent nie przywiózł tam dilerów karmazynu. Lucan i pozostali wojownicy chcieli dać Chase'owi przynajmniej szansę na wyjaśnienie sprawy, ale Dante wiedział, że Harvard z nieznanых powodów postanowił oszukać Zakon.

Zamierzał odkryć, co się stało, ale telefony, wezwania na pager i e-maile wysyłane do mieszkania agenta pozostawały bez odpowiedzi. Niestety, z osobistym przesłuchaniem trzeba było poczekać do zachodu słońca.

Czyli jeszcze dziesięć godzin. Na tę myśl Dante zadał manekinowi kolejne śmiertelne cięcie.

Czekanie było nie do zniesienia, ponieważ nie mógł się dodzwonić również do Tess. Z samego rana zadzwonił do niej do domu, ale najwyraźniej już wyszła do pracy. Miał nadzieję, że jest bezpieczna. Jeśli Chase nie zabił Bena Sullivana, facet mógł biegać wolno po ulicach i spotkać się z Tess. Dante nie sądził, żeby były chłopak stanowił dla niej jakieś zagrożenie, ale naprawdę nie miał ochoty ryzykować.

Musiał sprowadzić ją tutaj, wyjaśnić jej, co się dzieje, powiedzieć jej, kim, czym, jest w istocie. Wyznać jej, że wciągnął ją w sam środek wojny ze Szkarłatnymi.

Zamierzał zrobić to dziś w nocy. Już poczynił pewne kroki, zostawił jej wiadomość przy łóżku, ale teraz miał wrażenie, że czas go goni. Chciał to mieć już za sobą, denerwował się, że aż do zmierzchu nie będzie mógł być przy niej.

Z rykiem ponownie rzucił się na manekina, jego ręce poruszały się tak szybko, że sam ledwie rejestrował ich ruch. Usłyszał, jak otwierają się przeszklone drzwi, ale zbyt zatracił się w furii, by zważać na publiczność. Ciął dalej, masakrując cel, póki nie zaczął dyszeć ciężko, a czoła i nagiej piersi nie pokrył mu pot. Wreszcie przerwał, zaskoczony głębią swojej wściekłości. Manekin był pocięty na kawałki, które walały się wokół jego stóp.

- Dobra robota - stwierdził Lucan z przeciwległej strony sali. - Masz coś osobiście przeciwko plastikowi czy to rozgrzewka przed nocą?

Dante zaklął pod nosem i wcisnął ostrza do pochew na biodrach. Odwrócił się w stronę przywódcy Zakonu, który opierał się o szafkę z bronią, a wyraz twarzy miał bardzo poważny.

- Mamy wieści - powiedział Lucan. - Gideon właśnie włamał się do bazy danych agencji Mrocznych Przystani. Okazuje się, że agent Sterling Chase już dla nich nie pracuje. Zwolnili go w zeszłym miesiącu po nienagannej dwudziestopięcioletniej służbie.

- Został wylany? Lucan kiwnął głową.

- Za niesubordynację i rażące naruszenie zasad agencji. Tak wynika z jego akt.

Dante zaśmiał się ponuro i otarł pot ręcznikiem.

- Czyli nie jest taki idealny, co? Cholera, wiedziałem od początku, że coś jest z tym gościem nie tak. Przez cały czas robił nas w pióro? Dlaczego? O co mu chodzi?

Lucan wzruszył ramionami.

- Może chciał z naszą pomocą odnaleźć tego dilerę? Bo dlaczego go wczoraj nie przywiózł? Najwyraźniej ma coś do gościa prywatnie.

- Może. Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć. - Dante odchrząknął, nagle poczuł się niezręcznie w obecności starszego wampira, który od tak dawna był jego towarzyszem broni. - Słuchaj, ja ostatnio też nie pogrywałem czysto. Coś się stało tej nocy, kiedy mało mnie nie załatwili Szkarłatni i skończyłem w rzece. Cholera... Schowałem się na tyłach lecznicy weterynaryjnej. Była tam kobieta, pracowała do późna. Potrzebowałem krwi i to bardzo, a tylko ona była pod ręką.

Lucan zmarszczył ciemne brwi.

- Zabiłeś ją?

- Nie. Nie panowałem nad sobą, ale nie aż do tego stopnia. Chociaż może trochę. Nie zorientowałem się, co robię, zanim nie było za późno. Kiedy zobaczyłem na jej dłoni znamię...

- O rany, Dante. - Przyjaciel popatrzył na niego przenikliwymi szarymi oczami. - Wziąłeś krew Dawczyni Życia?

- Tak. Ma na imię Tess.

- Czy ona wie? Co jej powiedziałaś? Dante pokręcił głową.

- Nic jeszcze nie wie. Tamtej nocy wyczyściłem jej pamięć, ale od tamtej pory... spędzam z nią czas. Masę czasu. Muszę jej powiedzieć, co zrobiłem. Zasługuje na prawdę. Nawet jeśli mnie za to znienawidzi.

Lucan zmrużył oczy.

- Zależy ci na niej.

- Tak. - Jego odpowiedź zabrzmiała dziwnie ostro. - Nie spodziewałem się tego. I jeśli mam być szczery, nie wiem, co zrobić. Nie jestem najlepszym kandydatem na partnera.

- A uważasz, że ja jestem? - spytał Lucan sucho. Zaledwie kilka miesięcy temu Lucan toczył ze sobą

podobną walkę, zakochawszy się w kobiecie noszącej znamię Dawczyni Życia. Dante nie znał szczegółów, ale zazdrościł im tego długiego związku, jaki mieli przed sobą. On sam miał w perspektywie śmierć, przed którą uciekał już od dwóch wieków.

Na samą myśl, że Tess mogłaby być przy nim w takiej chwili, krew stygła mu w żyłach.

- Nie wiem, jak to się ułoży, ale muszę jej wszystko powiedzieć. Chcę ją tu dziś przyprowadzić, może dzięki temu wszystko nabierze dla niej jakiegoś sensu. -Przesunął dłonią po wilgotnych włosach. - Cholera... Chcę wiedzieć, czy - omal nie powiedział „rodzina” -Zakon wesprze mnie w tej sprawie.

Lucan uśmiechnął się, powoli skinął głową.

- Zawsze cię wspiera. - Poklepał Dantego po ramieniu. - Nie mogę się już doczekać spotkania z kobie-tą, która potrafi śmiertelnie wystraszyć jednego z moich najtwardszych wojowników.

Dante się roześmiał.

- Jest świetna. Jest po prostu świetna.

- O zachodzie słońca weź ze sobą Tegana i jedź po Chase'a. Przywieź go tu w jednym kawałku, jasne? Potem możesz się zająć swoją Dawczynią Życia.

- Z Chase'em sobie poradzę - zapewnił Dante. -Natomiast co do tego drugiego... Możesz mi coś poradzić?

- Jasne. - Wampir chrząknął i uśmiechnął się rozbawiony. - Spraw sobie watowane spodnie, bo nim ta noc dobiegnie końca, z pewnością rozbolą cię kolana.

Rozdział 25

Tess przez cały dzień miała pacjentów. Była z tego zadowolona, ponieważ mogła przynajmniej nie myśleć o niepokojącej wiadomości od Bena. Jednak cały czas o niej pamiętała. Wpadł w poważne kłopoty, a na dodatek był ranny.

Na domiar złego zniknął.

Dzwoniła kilka razy do jego mieszkania i na komórkę, a także do okolicznych szpitali, ale nigdzie nie było po nim śladu. Zadzwoiłaby do jego rodziców, gdyby wiedziała, jak się z nimi skontaktować. Choć szanse, że Ben do nich pojechał, były niewielkie. Pozostawało jej zatem tylko jedno: iść po pracy do jego mieszkania i zobaczyć, co tam się dzieje. Nie wiązała z tą wizytą wielkich nadziei, ale co innego mogła jeszcze zrobić?

- Noro, potrzebuję badań krwi i moczu pacjenta z dwójki - powiedziała, wychodząc z gabinetu. - Możesz się tym zająć? Ja obejrzę rentgen tego owczarka collie z zapaleniem stawów.

- Jasne.

- Dzięki.

Kiedy wzięła zdjęcie, w kieszeni fartucha rozdzwoniła się jej komórka. Czują na udzie wibracje. Wyciągnęła telefon i spojrzała na wyświetlacz. Może to Ben? Ale numer był ukryty. O nie.

Wiedziała, kto dzwoni. Przez cały ranek czuła się zawieszona pomiędzy wyczekiwaniem a przerażeniem, że Dante się odezwie. Zadzwoił do niej do domu, kiedy wychodziła do pracy, ale skierowała połączenie na automatyczną sekretarkę. Nie była wtedy gotowa na rozmowę. I teraz chyba też nie.

Poszła korytarzem do swojego biura i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się plecami o ich chłodny metal. Telefon wibrował w jej dłoni. Dzwonek odezwał się po raz piąty i zapewne ostatni. Zamknęła oczy i przyjęła połączenie.

- Halo?

- Cześć, aniele.

Niski, cudowny głos Dantego przeszył ją niczym prąd. Zadrżała. Nie chciała czuć tego ciepła, które ogarnęło jej ciało, ale ono i tak przyszło.

- Wszystko w porządku? - spytał, kiedy się nie odezwała, a w jego tonie pojawił się lekki niepokój. - Jesteś tam czy już cię straciłem?

Westchnęła, niepewna, co ma odpowiedzieć.

- Tess? Co się stało?

Przez kilka długich sekund mogła jedynie oddychać. Nie miała pojęcia, od czego zacząć. Przerażeniem napawała ją ta rozmowa. Miała tysiące pytań, tysiące wątpliwości po tej dziwacznej wiadomości od Bena.

Ta racjonalna Tess, która wiedziała, że po ulicach Bostonu nie biegają potwory, powątpiewała w jego rewelacje. Ale jakaś część jej umysłu wierzyła w rzeczy niewyjaśnione, które opierały się logice nauki.

- Tess? - przerwał ciszę Dante. - Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać.

- Wiem - powtórzyła, wreszcie udało jej się wydusić z siebie słowo. - Nie jestem pewna, co teraz wiem, Dante. Nie jestem pewna, co mam myśleć... o tym wszystkim.

Zaklął cicho po włosku.

- Co się stało? Jesteś ranna? Jeśli on cię tknął... Tess się skrzywiła.

- Cóż, przynajmniej mam teraz jasność pod jednym względem. Mówimy o Benie, prawda? To on był tym handlarzem narkotyków, którego wczoraj ścigałeś?

Lekkie wahanie.

- Widziałas go dziś, Tess? Widziałas go po naszym rozstaniu?

- Nie - powiedziała. - Nie widziałam go.

- Ale rozmawiałaś z nim. Kiedy?

- Zadzwoił i nagrał mi wiadomość wczoraj w nocy, kiedy my... - Pokręciła głową, nie chciała teraz wspominać tych cudownych chwil w ramionach Dantego, tego, jak bezpieczna i spokojna się przy nim czuła. Obecnie było w niej miejsce jedynie na chłód. - Czy to dlatego pieprzyłeś się ze mną? Ponieważ chciałeś go dopaść?

- Chryste, nie. To bardziej skomplikowane...

- Jak bardzo? Pogrywałeś ze mną przez cały ten czas? Od tego wieczoru, kiedy przyszedłeś tu z psem i... O Boże, teraz rozumiem. Harvard nie jest twoim psem, prawda? Wzięłeś z ulicy jakieś zabłąkane zwierzę, żeby się do mnie zbliżyć?

- Tess, proszę. Chcę ci wyjaśnić...

- Wyjaśnij. Słucham.

- Nie w ten sposób - warknął. - Nie przez telefon. - Wyczuwała jego rosnące napięcie, niemal widziała, jak chodzi, przyciskając telefon do ucha, jak marszczy nad nosem ciemne brwi i przeczesuje ręką włosy. - Posłuchaj, musisz się trzymać jak najdalej od Bena Sullivana. Jest

wplątany w coś bardzo niebezpiecznego. Nie chcę, żebyś się do niego zbliżała, jasne?

- To zabawne, Ben mnie przestrzegał przed tobą. I masę innych rzeczy. Szalonych. Na przykład, że twój partner zaatakował go wczoraj.

- Co?

- Został pogryziony. Możesz mi to wyjaśnić? Ten facet, z którym włamałeś się do jego mieszkania, za-brał go gdzieś samochodem, a potem brutalnie pobił. Podobno ugryzł go w szyję.

- A to skurwysyn.

- Czy to może być prawda? - spytała przerażona, że nawet nie próbował zaprzeczać jej rewelacjom. - Czy wiesz, gdzie jest Ben? Nie odzywał się od czasu tego nagrania. Czy coś mu zrobiliście? Muszę się z nim zobaczyć.

- Nie! Nie wiem, gdzie on jest, Tess, ale musisz mi obiecać, że będziesz się trzymać od niego z daleka.

Tess czuła się bardzo nieszczęśliwa, przerażona, zagubiona.

- Co się dzieje, Dante? W co ty jesteś wplątany?

- Tess, posłuchaj. Musisz ukryć się w jakimś bezpiecznym miejscu. Teraz, zaraz. W hotelu, gdziekolwiek, byle w miejscu publicznym. Po prostu idź tam i poczekaj do wieczora. Przyjadę po ciebie.

Roześmiała się, ale w tym dźwięku nie było wesołości.

- Ja pracuję, Dante. A nawet gdybym nie pracowała, i tak bym cię nie posłuchała. Przynajmniej dopóki nie zrozumiem, o co tu chodzi.

- Wyjaśnię ci wszystko, obiecuję. I tak planowałem ci dziś wszystko powiedzieć.

- Dobra. Świetnie. Mam trochę napięty plan dnia, ale mogę się wyrwać na lunch za jakieś dwie godziny. Jeśli chcesz ze mną porozmawiać, będziesz musiał tu przyjść.

- Cholera, teraz nie mogę. Po prostu... nie mogę. To musi być wieczorem. Musisz mi zaufać.

- Zaufać ci - szepnęła, zamykając oczy i opierając głowę o drzwi. - Obawiam się, że nie stać mnie na to w tej chwili. Muszę już kończyć, Dante. Do widzenia.

Zamknęła komórkę i wyłączyła dzwonek. Nie miała ochoty rozmawiać. Z nikim.

Kiedy podeszła do biurka, żeby odłożyć telefon, zobaczyła rzecz, którą znalazła dziś rano. Pendrive, mały i wąski przenośny dysk do

komputera. Tkwił pod blatem stołu do badania w jednym z gabinetów, tym, który reperował Ben...

Już wcześniej podejrzewała, że nie powiedział jej prawdy i to nie tylko o tym, a teraz miała pewność. Pozostawało tylko pytanie dlaczego?

Dante spojrział z furią na komórkę i samą siłą umysłu cisnął nią w przeciwległą ścianę swojego mieszkania. Rozpadła się na kawałki. To go uspokoiło, ale na krótko. Nie zmniejszyło natomiast jego złości na samego siebie.

Zaczął znów krążyć po pokoju, tak jak to robił podczas rozmowy z Tess. Musiał być w ruchu. Musiał coś robić, musiał się na czymś skupić.

Wspaniale, wszystko spartolił. Choć nigdy nie żałował, że urodził się wampirem, teraz był wściekły, że będzie tkwił w kwaterze uwięziony, aż nie zrobi się ciemno. Że nie może załatwić spraw z Tess przed zachodem słońca.

Pomyślał, że do tego czasu z pewnością oszaleje.

I niemal oszalał.

Kiedy tuż przed zachodem słońca odszukał Tegana w sali treningowej, był rozpalony i miał wrażenie, że skóra nagle zrobiła się za ciasna. Nie mógł ustać w miejscu, tęsknił za walką. Szumiało mu w uszach, zupełnie jakby siedział w ulu pełnym pszczoł. Wiedział, że to szumi jego krew.

- Gotowy?

Śniady wampir z pierwszego pokolenia podniósł wzrok znad beretty, którą właśnie łądował, a na jego ustach pojawił się zimny uśmiech.

- Idziemy.

Razem ruszyli krętym korytarzem do windy, która miała ich zabrać do garażu.

Kiedy drzwi windy zamknęły się za nimi, Dante poczuł w nosie kwaśny zapach dymu. Spojrzął na Tegana, ale ten najwyraźniej nic nie zauważył, bo patrzył przed siebie, jak zwykle spokojny. Niemał nie mrugał.

Winda ruszyła cicho w górę. Dante czuł, jak ogarnia go żar płomieni, czuł, że ogień czyha tylko na moment, kiedy Dante odrobinę zwolni. Wiedział, oczywiście, co się dzieje. Przez cały dzień balansował na granicy wizji śmierci, ale udawało mu się jej uniknąć. Nie chciał się poddać tej torturze, musiał mieć dziś jasny umysł.

Ale kiedy winda dotarła do garażu, wizja runęła na niego z siłą lawiny. Padł na jedno kolano, uginając się pod jej presją.

- Cholera! - Tegan pochylił się nad Dantem. Próbował podtrzymać kolegę za ramię, żeby ten nie upadł na podłogę windy. - Co się dzieje? Dante nie mógł odpowiedzieć. Przed oczami miał czarny dym i jaskrawe płomienie. Ponad trzeszczeniem i sykiem ognia słyszał jakiś głos, cichy i niewyraźny. Ktoś z niego drwił. To było coś nowego, kolejny szczegół koszmaru, który znał tak dobrze.

Zamrugał, próbował wrócić do rzeczywistości. Zachować przytomność. Zobaczył przed sobą twarz Tegana. Cholera, musi wyglądać okropnie, bo Tegan, zwykle obojętny jak gład, cofnął się gwałtownie, zdejmując rękę z jego ramienia. Skrzywił się, a w jego ustach mignęły białe czubki kłów. Jego jasne brwi zsunęły się nad zielonymi oczami.

- Nie mogę... oddychać - wysapał Dante. Przy każdym oddechu jego płuca napełniały się niewidocznym dymem. Dławił się nim. - Umieram...

Oczy Tegana wwiercały się w niego. To spojrzenie było pozbawione współczucia, ale pełne siły, na którą Dante mógł liczyć w potrzebie.

- Trzymaj się - nakazał Tegan. - To jest wizja, nie rzeczywistość. W każdym razie jeszcze nie. Zostań tam, daj się jej ponieść. Zagłęb się w nią i zapamiętaj jak najwięcej szczegółów.

Dante wiedział, że Tegan ma rację. Pozwolił, by owładnęły nim obrazy. Musi otworzyć umysł na ból i strach, żeby spojrzeć głębiej i dostrzec prawdę.

Dyszał, czuł, jak jego skóra płonie wśród szalejących płomieni. Skupił się na otoczeniu. Siłą woli zatrzymał wizję, a potem zaczął ją przeglądać jeszcze raz, od końca do początku. Płomienie zaczęły się kurczyć. Dym rozwiął się, nie był już czarną chmurą, ale lekką szarą smużką, która krążyła pod sufitem. Mógł oddychać, ale gardło nadal zaciskał mu strach spowodowany wiedzą, że to ostatnie chwile jego życia.

Ktoś był z nim w tym pomieszczeniu. Sądząc po zapachu, mężczyzna. Dante leżał rozciągnięty na jakiejś śliskiej i lodowatozimnej powierzchni, a jego napastnik wykręcał mu ręce i wiązał je kablem. Powinien bez trudu rozerwać te więzy, ale jakoś nie mógł. Opuściły go siły. Napastnik związał mu też stopy, a potem przewiązał go również w pasie.

Słyszał jakieś trzaski dobiegające spoza pomieszczenia. Słyszał upiorne wycie, czuł miedziany zapach śmierci gdzieś w pobliżu.

A potem usłyszał przy uchu niski głos.

- Wiesz co? Myślałem, że zabicie cię będzie trudne. Ale okazuje się, że to łatwe. Przez ciebie.

Słowa rozplynęły się w upiornym chichocie, napastnik zbliżył się do głowy Dantego. Najpierw zobaczył odziane w dżinsy nogi, a potem tors swojego przyszłego zabójcy. Mężczyzna złapał go brutalnie za włosy i uniósł jego głowę. W tej samej chwili wizja zaczęła się rozplýwać równie szybko, jak się pojawiła.

O cholera!

- Ben Sullivan. - Dante wypluł te słowa. Wyrwawszy się z objęć wizji, usiadł na podłodze i otarł pot z czoła. Tegan patrzył na niego ponurym wzrokiem. - To ten diler karmazynu, Ben Sullivan! Nie wierzę. To on mnie zabije.

Tegan pokręcił głową.

- Nie, jeśli dopadniemy go pierwsi. Dante podniósł się i oparł się o betonową ścianę koło windy. Starał się uspokoić oddech. Pomimo wyczerpania czuł wściekłość na Bena Sullivana i na agenta Sterlinga Chase'a, który najwyraźniej wypuścił tego dupka.

- Zabierajmy się stąd - zawarczał, ruszając przez wielki garaż. Zaczął się bawić jednym ze swoich *malebranche*.

Rozdział 26

Porywacze Bena kazali mu przez całą wieczność siedzieć w nieoświetlonym, pozbawionym okien i zamkniętym na klucz pomieszczeniu. Czekał na tego, którego nazywali Panem - bezimiennego, pozbawionego twarzy człowieka, który potajemnie finansował jego prace nad karmazynem. Czas włókł się niemiłosiernie, być może minęła już doba, odkąd został schwytany i sprowadzony tutaj, a nikt jeszcze po niego nie przyszedł. Ale przyjdą, tego był pewien. W głębi duszy był przekonany, że kiedy to się stanie, nie wyjdzie z tej konfrontacji żywy.

Wstał z betonowej podłogi i ruszył ku zamkniętym stalowym drzwiom po drugiej stronie pomieszczenia. Głowa pękała mu z bólu. Złamany nos i rana na szyi pokryte były zaschniętą krwią i bolały jak diabli. Przyłożył ucho do zimnego metalu drzwi i usłyszał ciężkie kroki. Co najmniej dwie osoby, a krokiem towarzyszył brzęk łańcuchów i broni.

Cofnął się jak najdalej w ciemność swojej celi. Usłyszał zgrzyt klucza w zamku, po czym drzwi otwo-rzyły się szeroko i do środka weszli dwaj faceci, którzy go tu przywieźli.

- Czeka na ciebie - syknął jeden z nich. Wzięli Bena pod ramiona, wykręcili mu boleśnie ręce i wypchnęli go na mroczny korytarz. Ben sądził, na podstawie wyglądu celi, że trzymają go w jakimś magazynie. Okazało się, że się mylił. Napastnicy poprowadzili go na piętro i znalazł się w bogatej XIX-wiecznej rezydencji. W przyćmionym świetle połyskiwało lakierowane drewno. Pod zabłoconymi butami miał miękki perski dywan, purpurowo-czerwono-złoty. Nad głową zobaczył duży kryształowy żyrandol na świece.

Na moment jego strach zelżał. Może jednak wszystko będzie dobrze? Ostatnio wpadł w niezłe tarapaty, ale to nie jest izba tortur, jakiej się spodziewał.

Przed sobą zobaczył otwarte podwójne drzwi, które prowadziły do wielkiej i bogato urządzonej sali. Mężczyźni wepchnęli go bezceremonialnie do środka. Meble, dywany, obrazy olejne na ścianach. Wszystko to pachniało wielkimi pieniędzmi. Starą fortuną, taką, która wymaga kilkuset lat starań.

Wśród tego bogactwa rozparty niczym król za wielkim mahoniowym biurkiem siedział mężczyzna w drogim czarnym garniturze i ciemnych okularach.

Kiedy tylko Ben na niego spojrział, poczuł, że poca mu się dłonie. Mężczyzna był ogromny, jego szerokie ramiona wypychały nienagannie skrojoną marynarkę. Wyprasowana starannie biała koszula była rozpięta pod szyją, ale Ben uznał, że nie jest to oznaka swobody a jedynie zniecierpliwienia. W powietrzu niczym gęsta chmura zawisła niewypowiedziana groźba. Wszelka nadzieja z miejsca opuściła Sullivana.

Odchrząknął.

- Ja... cieszę się, że wreszcie mamy okazję się poznać. - Głos mu się trząsał. - Musimy porozmawiać... o karmazynie.

- Istotnie, musimy. - Głęboki, ciężki ton mężczyzny sprawił, że Ben umilkł. Choć nieznajomy mówił spokojnie, Ben wiedział, że za tymi ciemnymi okularami czai się furia. - Mam wrażenie, że ostatnio nie tylko mnie pan zdenerwował. Ma pan na szyi paskudną ranę.

- Ktoś mnie napadł. Próbował mi rozszarpać gardło. Jego tajemniczy pracodawca nie wykazał zainteresowania.

- I kto to mógł być? - spytał obojętnie.

- Wampir - odpowiedział Ben, czując, jak idiotycznie to brzmi. Ale to, co mu się przydarzyło nad rzeką, było tylko czubkiem góry lodowej. - O tym właśnie chciałem z panem porozmawiać. Jak już mówiłem przez telefon, coś jest nie tak z karmazynem. Ludzie... dziwnie się po nim zachowują. Naprawdę dziwnie. Zmieniają się w szaleńców żądnych krwi.

- Oczywiście, panie Sullivan. Właśnie tak karma-zyn miał działać.

- Co? - Żołądek Bena boleśnie się skurczył. - O czym pan mówi? To ja go przygotowałem i wiem, jak powinien działać. To łagodny stymulant...

- Dla ludzi istotnie. - Ciemnowłosy mężczyzna wstał powoli i obszedł wielkie biurko. - Dla innych, jak odkrył pan to niedawno, jest to coś zupełnie innego.

Mówiąc to, przeniósł wzrok na otwarte drzwi pokoju. W progu stała para uzbrojonych strażników. Włosy mieli potargane i brudne, ich dzikie oczy zdawały się płonąć jak węgle pod grubymi brwiami. W przyćmionym świetle świec Ben miał wrażenie, że zauważył błysk kłów w ich ustach. Nerwowo rzucił okiem na swojego pracodawcę.

- Niestety, ja również odkryłem coś niepokojącego, panie Sullivan. Po pańskim telefonie kilku moich współpracowników odwiedziło

laboratorium. Przeszukali zapiski i komputer, ale ku mojemu zdumieniu nie znaleźli formuły karmazynu. Jak pan to wyjaśni?

Ben wytrzymał spojrzenie ukrytych za ciemnymi szklami oczu, choć mężczyzna stał niebezpiecznie blisko.

- Nigdy nie trzymam prawdziwej formuły w laboratorium. Uznałem, że będzie bezpieczniej nosić ją przy sobie.

- Proszę mi ją dać. - W tych słowach nie było nacisku, ciało pracodawcy pozostało nieruchome niczym skała. - Teraz, panie Sullivan.

- Nie mam jej. Przysięgam na Boga.

- Gdzie zatem jest?

Ben ugryzł się w język. Potrzebował karty przetargowej, a formuła to było wszystko, co miał. Ponadto nie zamierzał wystawiać tym draniom Tess, informując, że ukrył formułę w jej lecznicy. Zamierzał wkrótce zabrać przepis. Najpierw jednak musiał uporządkować bałagan. Za późno, żeby się wycofać. Wprawdzie teraz priorytetem stawało się ratowanie własnego tyłka, niemniej nie chciał mieszać w to Tess.

- Przyniosę ją panu, ale musi mnie pan puścić - zapewnił. - Załatwmy tę sprawę po dżentelmeńsku, a potem zerwiemy wszelkie kontakty i każdy z nas pójdzie swoją drogą. Zapomnimy, że się znaliśmy.

Na ustach mężczyzny pojawił się wymuszony uśmiech.

- Proszę nie próbować ze mną negocjować. Stoisz niżej ode mnie... człowieku.

Ben z trudem przełknął ślinę. Chciał wierzyć, że ten facet to jakiś wariat, który myśli, że jest wampirem. Ale przecież widział na własne oczy, co karmazyn zrobił z tamtym dzieciakiem w klubie. Ta straszliwa przemiana nastąpiła naprawdę, choć trudno było ją pojąć. Była równie prawdziwa jak szarpana rana na jego szyi. Ogarnęła go panika.

- Proszę posłuchać, nie wiem, co się tu dzieje, i prawdę powiedziawszy nie chcę wiedzieć. Chcę tylko wyjść stąd w jednym kawałku.

- Świetnie. W takim razie unikniemy wielu problemów. Proszę mi dać formułę.

- Powiedziałem już, nie mam jej przy sobie.

- W takim razie odtworzy ją pan dla mnie. - Skinął głową na strażników. - Pozwoliłem sobie przenieść pańskie laboratorium tutaj.

Przygotowaliśmy panu wszystko, łącznie z królikiem doświadczalnym. Moi współpracownicy pokażą panu drogę.

- Chwileczkę - Ben obejrzał się przez ramię, kiedy strażnicy zaczęli wywlekać go z pokoju. - Nie rozumie, pan. Formuła jest skomplikowana, nie znam jej na pamięć! Jej odtworzenie zajmie mi kilka dni...

- Ma pan nie więcej niż dwie godziny, panie Sullivan.

Strażnicy popchnęli go ku schodom prowadzącym w dół, w ciemność czarną jak bezkresna noc.

Chase włożył do kabury pistolet i sprawdził po raz ostatni zapas amunicji. Jeden pistolet miał naładowany normalnymi nabojami, drugi tymi tytanowymi, które dostał od wojowników. Miał szczerą nadzieję, że nie będzie musiał ich użyć, ale jeśli przyjdzie mu się przebijać przez tuzin oszalałych wampirów, żeby dotrzeć do bratanka, z pewnością się nie zawaha.

Zerwał wełniany płaszcz z wieszaka i wyszedł ze swojego mieszkania. Na korytarzu stała Eliza. Omal na nią nie wpadł.

- Sterling... witaj. Unikasz mnie? Chciałam z tobą porozmawiać.

- Jej lawendowe oczy obrzuciły go szybkim spojrzeniem. Zmarszczyła brwi na widok pistoletów i noży, które miał przytroczone do paska i na piersi. Wyczuł jej niechęć, w jej delikatnym zapachu pojawiła się gorzka nuta strachu. - Tyle broni. Czy tam jest aż tak niebezpiecznie?

- Nie martw się o to - próbował ją uspokoić. - Módl się, żeby Camden wrócił szybko do domu, a ja zajmę się resztą.

Uniosła koniec wdowiej szarfy i bezmyślnie zaczęła wygładzać materiał.

- O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać, Sterling. Rozmawiałam z innymi kobietami. Chcemy coś zrobić dla naszych zaginionych synów. W ilości jest siła, więc pomyślałyśmy, że jeśli zbierzemy się razem... Chciałybyśmy szukać ich za dnia, nad rzeką albo w starych tunelach metra. Tam, gdzie mogli się schronić przed słońcem...

- Wykluczone.

Nie chciał jej uciszyć tak brutalnie, ale sam pomyślał, że miałyby za dnia opuścić bezpieczną Mroczną Przystań, krążąc po najgorszych dzielnicach miasta, sprawiając, że krew przestała krążyć mu w żyłach. Nie będzie mógł jej chronić, póki słońce nie zajdzie, a choć w dzień

Szkarłatni nie będą jej zagrażać, zawsze pozostawali jeszcze ich słudzy.

- Przepraszam, ale to nie wchodzi w grę.

Jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Potem szybko spuściła wzrok i skinęła mu grzecznie głową. Widział, że pod tą uległą postawą czai się gniew, ale był jej najbliższym krewnym, choć tylko powinowatym, i zgodnie z kodeksem rasy miał prawo zabronić jej wychodzenia w dzień. Była to stara zasada, która obowiązywała od czasów powstania pierwszych Mrocznych Przystani, niemal tysiąc lat temu. Chase nigdy dotąd jej nie stosował, a choć czuł się jak dupek, powołując się na nią teraz, nie mógł dopuścić, by Eliza ryzykowała życie, kiedy on będzie mógł tylko stać i patrzeć.

- Sądzisz, że mój brat zgodziłby się na to, co chcesz zrobić? - spytał. Quentin za nic by na to nie przystał, nawet żeby ocalić syna. - Najbardziej pomożesz Camdenowi, zostając tutaj, gdzie jesteś bezpieczna.

Eliza podniosła głowę, w jej lawendowych oczach pojawił się błysk determinacji, której nigdy wcześniej u niej nie widział.

- Camden to niejedyne zaginione dziecko. Możesz ocalić ich wszystkich, Sterling? Czy wojownicy Zakonu mogą ich wszystkich ocalić? - westchnęła cicho. - Nikt nie ocalił Jonasa Redmonda. Nie żyje, wiedziałeś o tym? Jego matka czuje, że odszedł. Coraz więcej naszych synów znika, umierają co noc, ale my mamy siedzieć i czekać na złe wieści?

Chase poczuł, jak sztywnieją mu usta.

- Muszę iść, Elizo. Udzieliłem ci już odpowiedzi. Przykro mi.

Minął ją, wkładając po drodze płaszcz. Wiedział, że za nim idzie, słyszał szelest jej białych szat, ale nie obejrzał się, nie zatrzymał. Wyciągnął z kieszeni klucze i otworzył główne wejście do Mrocznej Przystani. Nacisnął przycisk pilota, który wyłączał alarm w jego terenowym lexusie i otwierał centralny zamek. Samochód zaparkowany przed Mroczną Przystanią wydał cichy dźwięk i zamrugał światłami. Równocześnie okazało się, że Chase w najbliższym czasie nigdzie się nim nie wybierze. Podjazd blokował czarny range rover, stojący na jałowym biegu. Szyby były przyciemnione bardziej niż dopuszczały przepisy, ale Chase bez trudu odgadł, kto siedzi w środku. Wyczuwał wściekłość Dantego nawet przez metal i szkło.

Wojownik nie przybył sam. Wysiadł z samochodu wraz z towarzyszem, tym lodowatozimnym o imieniu Tegan, i obaj ruszyli w jego stronę. Twarze mieli przeraźliwie spokojnie, ale z ich ciał promieniowała mroczna groźba.

Chase usłyszał za sobą westchnienie Elizy.

- Sterling...

- Wracaj do środka - nakazał. Nie spuszczał wzroku z wojowników. - Już, Elizo. Wszystko będzie dobrze.

- Co się dzieje, Sterling? Po co oni tu przyszli?

- Rób co mówię, do diabła! Wracaj do domu. Wszystko będzie dobrze.

- Och, nie byłbym tego taki pewien - rzucił Dante, a zakrzywione ostrza połyskiwały w pochwach u jego pasa. - Powiedziałbym raczej, że wszystko się skomplikowało. Dzięki tobie. Zgubiłeś się wczoraj czy jak? Może nie zrozumiałeś, co kazałem ci zrobić z tym handlarzem? Miałeś go dostarczyć do kwatery, a ty go wypuściłeś!

- Nie. Zrozumiałem dobrze.

- Czegoś nie kapuję? - Dante wyciągnął z pochwy nóż, a stal zadźwięczała cicho w powietrzu. Kiedy mówił, Chase widział czubki jego kłów. Bursztynowe oczy wwierały się w niego. - Zaczynaj mi to szybko tłumaczyć, ponieważ nie będę miał żadnych skrupułów, żeby wykroić z ciebie prawdę tutaj i teraz, przy tej kobiecie.

- Sterling! - krzyknęła Eliza. - Zostawcie go! Chase obejrzał się w samą porę. Zobaczył, jak zbiega po schodach na chodnik przed Mroczną Przystanią. Daleko nie pobiegła. Tegan poruszał się jak duch, człowiek nie miał szans wobec zwinności tego wampira. Chwytał ją w pasie i przytrzymał. Zaczęła się wrywać.

Chase poczuł gwałtowną wściekłość. Kły wysunęły mu się z dziąseł, a wzrok wyostrzył się na skutek przemiany. Ryknął głośno, gotów zaatakować obu wojowników za to, że obrazili Elizę dotykaniem.

- Puśćcie ją - zawarczał. - Do cholery, to jej nie dotyczy!

Pchnął Dantego, ale ten pozostał w miejscu.

- Przynajmniej udało nam się przyciągnąć twoją uwagę - skomentował, po czym napał na Chase'a. Chase poczuł, że jego stopy odrywają się od ziemi. Upadek powstrzymała ceglana ściana budynku. Boleśnie się z nią zderzył.

Ogromne kły Dantego znalazły się tuż przy twarzy Chase'a, a jego oczy wwierały się w jego czaszkę.

- Gdzie jest Ben Sullivan? Co się z tobą dzieje? Chase zerknął na Elizę, wściekły, że jest świadkiem

przemocy panującej w ich świecie. Chciał, żeby dla niej to się już skończyło. Widział łzy płynące po jej policzkach, strach w jej oczach. Tegan nadal przyciskał ją do siebie beznamiętnie. Zaklął paskudnie.

- Musiałem go puścić. Nie miałem wyboru.

- Zła odpowiedź - uciął Dante. Przysunął nieszczęśnikowi nóż do gardła.

- Nie miałbym żadnego pożytku z tego dilerka, gdyby siedział zamknięty w kwaterze. Potrzebowałem go na ulicy, żeby mi pomógł kogoś odszukać. Mojego bratanka. Puściłem go, bo chciałem, żeby znalazł Camdena, syna mojego brata.

Dante skrzywił się, ale odsunął nieco nóż.

- A inni, którzy zaginęli? Te dzieciaki, którym Ben Sullivan sprzedawał to świństwo?

- Obchodzi mnie tylko odnalezienie Camdena. Od początku taki był mój cel.

- Ty skurwielu, okłamałeś nas - zasyczał wojownik. Chase wytrzymał jego oskarżycielskie spojrzenie.

- A czy Zakon zająłby się tą sprawą, gdybym przyszedł w sprawie jednego zaginionego chłopaka?

Dante przeklął z furją.

- Nigdy się tego nie dowiesz.

Teraz się nad tym zastanawiał. Zrozumiał przynajmniej część zasad kodeksu, którym się kierowali wojownicy. Zresztą przekonał się na własne oczy, że pomimo stosowania brutalnych metod, które czyniły z nich zabójców, posiadali również honor. Kiedy sytuacja tego wymagała, byli bezlitośni, ale podejrzewał, że w głębi duszy każdy z nich był lepszy od niego.

Dante puścił go nagle, odwrócił się i ruszył z powrotem do czekającego auta. Tegan uwolnił Elizę i przyglądał jej się przez chwilę z zainteresowaniem. Eliza cofnęła się niespokojnie. Nieświadomie pocierała miejsca, które przed chwilą ścisnęły jego dłonie.

- Wsiadaj - polecił Dante, wskazując otwarte drzwi samochodu. Jego wzrok mówił wyraźnie, że mężczyzna tego pożałuje, jeśli nie posłucha. - Wracamy do kwatery. Może przekonasz Lucana i będziesz żyć.

Rozdział 27

Zimny pot spływał po karku Bena Sullivana. Właśnie kończył pierwszą próbkę nowej partii karmazynu. Nie kłamał, że nie zna na pamięć formuły, choć starał się, jak mógł, odtworzyć narkotyku w tym absurdalnie krótkim czasie, jaki mu dali. Zostało mu ledwie pół godziny, kiedy podawał dawkę czerwonej substancji swojemu królikowi doświadczalnemu. Młody mężczyzna, ubrany w brudne dżinsy i bluzę z Harvardu, przywiązany był do biurowego krzesła na kółkach. Głowę miał spuszczoną, opierał podbródek na piersi.

Kiedy Ben się do niego zbliżył, drzwi do prowizorycznego laboratorium otworzyły się i wszedł jego mroczny pracodawca w towarzystwie dwóch uzbrojonych strażników, którzy przez cały czas nadzorowali pracę Sullivana.

- Nie miałem czasu usunąć wilgoci z próbki - wyjaśnił Ben, pokazując pastę, którą udało mu się wyprodukować. Miał wielką nadzieję, że prawidłowo odtworzył recepturę. - Ten dzieciak nie wygląda za dobrze. A jeśli nie zdoła tego połknąć?

Żadnej odpowiedzi, tylko zabójcza cisza.

Ben odetchnął nerwowo i podszedł do chłopaka. Ukląkł przed krzesłem. Pod grzywą potarganych włosów zobaczył pusty wzrok, ale po chwili nieszczęśnik zamknął powieki. Ben przyjrzał się bladej, choć zapewne kiedyś przystojnej twarzy chłopaka. O cholera.

Znał go. Widywał go w klubach. Ten gość był jego klientem i to jego wizerunek oglądał zeszłej nocy na zdjęciu. Cameron czy Camden czy jak mu tam było. Camden. Dzieciak, którego miał odszukać. Inaczej szaleniec, który napadł na niego, zabije go z zimną krwią. Cóż, będzie musiał ustawić się w kolejce.

- Proszę zaczynać, panie Sullivan.

Ben nabrał na łyżeczkę trochę pasty i uniósł ją do ust chłopaka. Kiedy pasta dotknęła jego warg, Camden ożywił się na chwilę i pochłoniął substancję. Nałogowiec, który dostał kolejną dawkę, uświadomił sobie Ben. Nagle poczuł się winny.

Czekał, aż karmazyn zadziała.

Nic się nie stało.

Dał Camdenowi więcej, potem jeszcze trochę. Nadal nic. Cholera. Spieprzył recepturę.

- Potrzebuję więcej czasu - wymamrotał, kiedy jego królik doświadczalny z jękiem spuścił głowę. - Prawie mi się udało, muszę spróbować jeszcze raz.

Wstał, odwrócił się i z przerażeniem zobaczył, że jego straszliwy pracodawca stoi tuż za nim. Nie sły-szał, jak do niego podchodzi, a przecież tam był, górował nad nim. Ben zauważył własne zabiedzone odbicie w szklach jego ciemnych okularów. Wyglądał jak osaczone zwierzę, drżące przed drapieżnikiem.

- To nas nigdzie nie zaprowadzi. A mnie skończyła się cierpliwość.

- Powiedział pan dwie godziny - przypomniał Ben. - Nadal mam kilka minut...

- Nie bądźmy drobiazgowi. - Okrutny uśmiech zmienił się w grymas, odsłaniając czubki ostrych bia-łych kłów. - Czas się skończył.

- O Jezu! - Ben cofnął się, wpadł na stojące za nim krzesło, które odjechało na metalowych kółkach i przewróciło się wraz z przywiązaną do niego ofiarą. Cofał się niezgrabnie dalej, ale silne palce chwyciły go za ramiona i poderwały z podłogi, jakby nic nie ważył. Został brutalnie rzucony na ścianę. Poczł okropny ból z tyłu głowy i osunął się na podłogę oszołomiony. Dotknął bolącego miejsca. Palce były czerwone od krwi.

A kiedy udało mu się w końcu skupić zamglony wzrok na pozostałych osobach znajdujących się w po-mieszczeniu, serce zamarło mu ze strachu. Dwaj strażnicy patrzyli na niego oczami o źrenicach zwężonych w cienkie, pionowe kreski, a ich tęczówki lśniły bursztynowym blaskiem. Jeden otworzył usta i zasyczał, obnażając ogromne kły.

Nawet Camden się poruszył i otworzył oczy, które pały pod grzywą potarganych włosów. Nagle uniósł wargi i odsłonił długie połyskujące kły.

Ale choć te potworne twarze były przerażające, nie mogły się równać z lodowatym spokojem tego, który ewidentnie rozdawał tu karty. Mężczyzna podszedł powoli do Bena, a jego wypolerowane czarne buty poruszały się bezszelestnie po betonowej posadzce. Uniósł rękę i Ben zaczął się podnosić z podłogi, jakby był zawieszony na sznurkach.

- Proszę... - jęknął. - Cokolwiek pan myśli, nie... proszę, nie. Mogę panu przynieść formułę karmazynu. Przysięgam. Zrobię wszystko, czego pan tylko chce!

- W to nie wątpię.

Poruszał się tak szybko, że Ben nie zarejestrował jego ruchu, poczuł tylko mocne ugryzienie na gardle. Walczył, czując zapach krwi płynącej z rany, słysząc obrzydliwe, mokre cmokanie. Opierał się coraz słabiej, aż wreszcie znieruchomiał, czując, jak opuszcza go przytomność, jak opuszcza go życie. Umierał. Wszystko zaczęło odpływać, tonąc w ciemności.

- Chodź, Harvardzie, czy jak tam się naprawdę nazywasz - powiedziała Tess, przeprowadzając małego teriera na drugą stronę ulicy, kiedy światło zmieniło się na zielone.

Zamknęła lecznicę o szóstej i postanowiła przejść się pod domem Bena, nim złoży na policji doniesienie o zaginięciu. Jeśli wrócił do handlu narkotykami, zapewne trafi do więzienia, ale w głębi duszy naprawdę jej na nim zależało i chciała go przekonać, by poszukał pomocy, nim do tego dojdzie.

Okolica, w której mieszkał Ben, nie była zbyt przyjemna, szczególnie po ciemku, ale Tess się nie bała. Pochodziło stąd wielu jej klientów, a byli dobrzy ludzie, którzy ciężko pracowali. Jak na ironię, jeśli należało się kogoś obawiać, to właśnie dilerów narkotyków z mieszkania 3B w domu, pod którym teraz stała.

W pomieszczeniu na piętrze grał telewizor, rzucając błękitne światło na chodnik. Tess zadarła głowę i popatrzyła w okna Bena, szukając jakiegoś znaku życia. Krzywe białe żaluzje w drzwiach balkonowych i w sypialni były zamknięte. W mieszkaniu panowała ciemność, nie widać było żadnego ruchu.

A może?

Mogłaby przysiąc, że żaluzja zakołysała się, jakby ktoś trącił ją, przechodząc. Czy to był Ben? Jeśli ukrywał się w domu, najwyraźniej nie chciał, żeby ktoś o tym wiedział, nawet ona. Nie oddzwonił, nie odpowiadał na e-maile, więc dlaczego miałby ją wpuścić?

A jeśli to nie on? Może ktoś się włamał? Może to jego znajomi z narkobiznesu czekali na jego powrót? Albo demolowali mieszkanie w poszukiwaniu pendri-ve'a, który miała w kieszeni kurtki?

Odeszła od budynku, czując na plecach dreszcz strachu. Ścisnęła mocno w rękę smycz Harvarda, odciągając go od suchych krzaków rosnących przy chodniku.

I wtedy zobaczyła to znowu, wyraźny ruch żaluzji w mieszkaniu Bena. Drzwi balkonowe zaczęły się otwierać. Ktoś wyszedł na balkon drugiego piętra. Z pewnością nie był to Ben, był za duży.

- O cholera - szepnęła do siebie, pochyliła się i wzięła psa pod pachę gotowa do ucieczki.

Zacząła biec chodnikiem, pozwalając sobie tylko na szybkie spojrzenie przez ramię. Facet stał przy barierce i patrzył w ciemność. Wyczuła dziki żar jego spojrzenia. Jego oczy były niesamowicie jasne... pały.

- O Boże...

Przebiegła przez ulicę. Kiedy znów się obejrzała, mężczyzna wspinał się na barierkę, a na balkon wyszło dwóch innych. Ten pierwszy przełożył nogi na zewnątrz i zeskoczył zwinnie jak kot na trawnik poniżej. Zaczął ją gonić, a poruszał się z niewiarygodną prędkością. Miała wrażenie, że sama biegnie w zwolnionym tempie, jakby brnęła w piasku.

Przyciskała mocno do piersi Harvarda, klucząc między zaparkowanymi samochodami. Ponownie obejrzała się za siebie i zobaczyła, że jej prześladowca zniknął. Na ułamek sekundy obudziła się w niej nadzieja. Ale kiedy znów popatrzyła przed siebie, okazało się, że prześladowca ją wyprzedził i teraz stał mniej więcej pięć kroków od niej. Jakim cudem dotarł tam tak szybko? Nawet nie zauważyła, kiedy ją mijał, nie słyszała tupotu jego butów na chodniku. Przekrzywił dużą głowę i wietrzył w powietrzu jak zwierzę. Zaczął, a raczej zaczęło, ponieważ cokolwiek to było, na pewno nie było człowiekiem, cicho chichotać.

Tess cofnęła się, nie wierząc w to, co widzi. To się nie działo naprawdę. Nie mogło. To jakiś chory dowcip. To było niemożliwe.

- Nie. - Cofała się coraz dalej, kręcąc głową. Wówczas wielki facet ruszył w jej stronę. Serce Tess

zabiło panicznym rytmem, odwróciła się na pięcie i runęła... .

...prosto na kolejnego mężczyznę, który zbliżył się do niej niepostrzeżenie między samochodami.

- Cześć, śliczna - powiedział głosem pełnym ukrytej groźby.

W bladym świetle latarni Tess wbiła wzrok w jego otwarte usta. Jego wargi uniosły się w upiornym grymasie, odsłaniając wielkie kły.

Upuściła psa, a w niebo wystrzelił jej przerażony krzyk.

- Skręć tu, w lewo - nakazał Dante Teganowi z pasażerskiego siedzenia rangę rovera. Chase siedział z tyłu i wyglądał, jakby czekał na egzekucję. Dante zamierzał mu to oczekiwanie jeszcze trochę przedłużyć. -Przejedźmy przez Southie po drodze do kwatery.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Tegan kiwnął głową i skręcił na światłach.

- Myślisz, że diler wrócił do domu?

Dante potarł pierś, która nagle dziwnie zlodowaciała. Pustka zaczęła napierać na jego płuca. Wrażenie było bardziej psychiczne niż fizyczne. Z jakichś przyczyn jego instynkt obudził się i wyostrzył wszystkie zmysły. Nacisnął przycisk i patrzył, jak opuszcza się przyciemniana szyba. Odetchnął powietrzem nocy.

- Wszystko gra? - spytał Tegan. Jego głos dobiegał znad ciemnej tablicy rozdzielczej samochodu. -Będziemy mieli powtórkę z windy?

- Nie. - Dante pokręcił głową, patrząc przez otwarte okno na światła latarni i innych samochodów. Zostawili za sobą centrum i wjechali na stare przedmieście południowego Bostonu. - Nie, to coś... innego.

Cholerny węzeł zimna w piersi sięgał coraz głębiej, zrobił się lodowaty, a dłonie zaczęły mu się pocić. Żołądek zacisnął się boleśnie, a do żył nagle napłynęła adrenalina.

Co się dzieje u diabła?

Nagle zrozumiał, że to strach. Przerażliwy strach. Nie jego własny, kogoś innego. O Jezu.

- Zatrzymaj!

To był strach Tess. Jej przerażenie dotarło do niego za pośrednictwem łączącej ich więzi krwi. Była w niebezpieczeństwie. W śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Tegan, zatrzymaj ten pieprzony samochód! Tegan wdepnął hamulec i skręcił ostro w prawo,

zjeżdżając zwinnie do krawężnika. Znajdowali się niedaleko mieszkania Bena Sullivana, nie dalej niż pięć przecznic od jego kamienicy. O wiele dalej, gdyby musieli dojechać tam labiryntem jednokierunkowych ulic. Dante otworzył drzwi samochodu i wyskoczył na chodnik. Wciągnął powietrze w płuca, modląc się, żeby wyczuć zapach Tess.

Tak, była w pobliżu.

Skoncentrował się na słodkokorzennej nucie wplecionej w tysiące innych zapachów niesionych przez zimny nocny wiatr. Zapach krwi Tess, trop. Ale bardzo silny, za silny.

Krew zakrzepła mu w żyłach.

Gdzieś niedaleko stąd Tess krwawiła.

Tegan pochylił się, przytrzymując się jedną ręką kierownicy, i zmrużył oczy.

- Dante, człowieku, co jest grane?

- Nie ma czasu - sapnął Dante. Odwrócił się i zatrzaskał drzwi samochodu. - Idę na piechotę. Jedźcie do mieszkania Sullivana. To...

- Pamiętam drogę - przerwał mu Chase z tylnego siedzenia. - Idź. Zaraz dojedziemy.

Dante kiwnął głową towarzyszom, po czym odwrócił się i ruszył biegiem przed siebie.

Biegł najszybciej, jak potrafił, przeskakiwał płoty, kluczył wąskimi zaułkami, wykorzystywał szybkość, jaką obdarzyły go geny rasy. Ludziom, których mijał, wydawał się ledwie tchnieniem zimnego listopadowego wiatru na karku. Skupiony był tylko na jednym: Tess.

W połowie bocznej ulicy, która doprowadziłaby go do mieszkania Sullivana, zobaczył małego teriera, którego Tess uzdrowiła dotykiem. Pies błąkał się po chodniku, wlokąc za sobą smycz.

Bardzo zły znak, ale przynajmniej wiedział, że jest już blisko.

Musi być blisko.

- Tess! - krzyknął, modląc się, by mogła go usłyszeć.

Ze nie jest już za późno.

Skręcił za róg, miażdżąc pod nogami zabawki leżące na podwórzu. Tu zapach jej krwi był silniejszy. Poczul gwałtowny przyływ strachu.

- Tess!

Szedł po jej tropie jak ogar, ogarnięty paniką, kiedy nagle usłyszał mlaskania i pochrząkiwania Szkarłatnych, walczących o zdobycz.

O Boże, nie.

Po przeciwnej stronie ulicy leżała na chodniku torebka Tess. Zawartość rozsypała się wokoło. Dante skręcił w prawo, ruszył wydeptaną ścieżką między dwoma budynkami. Na jej końcu znajdowała się szopa, drzwi chwiały się na zawiasach.

Tess była w środku. Dante pojął to z przerażeniem tak wielkim, że na moment nogi go zawiodły i zmylił krok.

Nim zdołał wpaść do szopy i gołymi rękami rozszarpać wszystkich, których tam zastanie, z cienia wynurzył się Szkarłatny i zaatakował. Dante w ostatniej chwili przekręcił się w powietrzu, wyciągnął nóż i ciachnął nim napastnika w twarz, zanim upadł. Szkarłatny wydał straszliwy wrzask i cofnął się gwałtownie. Jego ciało natychmiast zaczęło się rozkładać w wyniku kontaktu z tytanem. Dante poderwał się z ziemi.

Na ulicy zatrzymał się z piskiem opon czarny range rover. Tegan i Chase wyskoczyli ze środka z bronią gotowi do walki. Kolejny Szkarłatny wyszedł z ciemności, ale tylko zerknął na Tegana i zaczął uciekać. Wojownik ruszył w pościg niczym wielki kot.

Chase musiał coś dostrzec w mieszkaniu Bena Sullivana, ponieważ uniósł broń i runął przez ulicę. Jeśli chodzi o Dantego, ledwie był świadomy tego, co się wokół niego działo. Ruszył ku szopie, z której dochodziły przerażające, mokre odgłosy pożywiających się wampirów. Nie były one dla niego nowością, ale myśl, że Szkarłatni krzywdzą Tess, wprawiła go w niewiarygodną wściekłość. Podbiegł do drzwi i szarpnął je z całych sił. Wyrwane z zawiasów skrzydło poleciało na puste podwórze. Nie poświęcił mu żadnej uwagi.

Tess leżała na podłodze, przytrzymywali ją dwaj Szkarłatni. Jeden pożywiał się z jej nadgarstka, drugi przyssał się do jej szyi. Leżała zupełnie nieruchomo, Dantemu z przerażenia zamarło serce. Ale wiedział, że żyje, wyczuł słabe bicie jej pulsu we własnych żyłach. Jeszcze kilka sekund i ją zabiją.

Wydał ryk, który wstrząsnął szopą w posadach, a jego furia wybuchła niczym mroczna nawałnica. Szkarłatny, który pożywiał się z nadgarstka Tess, odskoczył z sykiem. Miał usta i kły poplamione jej krwią. Obrócił się w locie i wylądował w kącie szopy pod sufitem przyczajony jak pająk.

Dante zatrzymał się na moment, wyciągnął z pochwy swoje *malebranche* i cisnął je w powietrze. Obracający się krąg tytanu trafił Szkarłatnego w szyję. Ten z wrzaskiem spadł na ziemię. Dante zwrócił się teraz ku temu większemu, który zamierzał bronić swojej zdobyczy. Szkarłatny przykucnął nad nieruchomym ciałem Tess, szczerząc na Dantego kły. Jego oczy płonęły bursztynowym blaskiem, mimo to widać było, że jest jeszcze młody. Zapewne był to jeden z zaginionych chłopaków z Mrocznych Przystani. Wszystko jedno.

Jedyny dobry Szkarłatny to martwy Szkarłatny, szczególnie jeśli dotykał Tess i zabierał jej życie. Albo nawet już ją zabił.

Czuł w sobie ból Dawczyni Życia i swój własny. W jego żyłach płynęła czysta adrenalina. Obnażył kły i rzucił się z rykiem na Szkarłatnego. Chciał mu zadać brutalną śmierć, chciał rozerwać go na kawałki, a potem wypatroszyć. Ale teraz najważniejsze było dobro Tess.

Chwycił Szkarłatnego za dolną szczękę i szarpnął mocno w dół, łamiąc kości i zrywając ścięgna. Kiedy Szkarłatny wrzasnął, wyciągnął wolną ręką nóż i wbił tytanowe ostrze w pierś przeciwnika. Potem zrzucił z siebie bezwładne ciało i przykląkł przy Tess.

- O Boże. - Słyszał jej cichy, urywany oddech. Był taki płytki, taki słaby. Rana na nadgarstku była paskudna, natomiast ta na szyi potworna. Jej skóra była biała jak śnieg. Zimna, kiedy uniósł jej dłoń do ust i ucałował jej bezwładne palce.

- Tess... trzymaj się, mała. Już jestem. Już cię stąd zabieram. Wziął ją na ręce i wyniósł z szopy.

Rozdział 28

Chase przeszedł nad trupem, który leżał pod drzwiami na pierwszym piętrze. Ze środka mieszkania dobiegał dźwięk włączonego telewizora. Staruszek został poszarpany przez Szkarłatnych. Jeden z nich nadal był w budynku. Chase w całkowitej ciszy wspinał się po schodach do apartamentu Bena Sullivana, cały czas nasłuchując. Na wysokości prawego ramienia trzymał oburącz odbezpieczoną berettę, z lufą skierowaną w sufit. W ułamku sekundy mógł namierzyć przeciwnika i wystrzelić pocisk pokryty tytanem. Śmierć Szkarłatnego, który łąził po mieszkaniu Sullivana, była jedynie kwestią czasu.

Wszedł na ostatni stopień i zatrzymał się opodal otwartych drzwi do mieszkania. Mieszkanie zostało przetrząśnięte, Szkarłatni ewidentnie czegoś tu szukali. I to nie Bena Sullivana, chyba że spodziewali się go znaleźć w szufladach i szafkach na dokumenty. Zauważył jakiś ruch i się cofnął. Szkarłatny wyszedł z kuchni, niosąc wielki nóż i zaczął przecinać poduszki fotela.

Czubkiem buta Chase otworzył szerzej drzwi i bardzo ostrożnie wszedł do środka, celując w plecy Szkarłatnego. Wampir szukał tak zapamiętane, że nie wyczuł zagrożenia, póki Chase nie stanął pół metra od niego, celując w sam środek jego głowy.

Mógł strzelić, zapewne powinien był to zrobić. Całe jego wyszkolenie i logika podpowiadały mu, żeby pociągnął za spust i posłał jedną z tych kul z tytanowym płaszczem prosto w czaszkę Szkarłatnego. Ale instynkt kazał mu się zawahać.

W ułamku sekundy ogarnął spojrzeniem postać Szkarłatnego. Zarejestrował wysoką, atletyczną syl-wetkę, ubranie... jakiś cień młodzieńczej niewinności tkwiący pod brudną bluzą, dzinsami i potarganymi tłustymi włosami. Patrzył na ćpuna, co do tego nie miał wątpliwości. Wampir śmierdział skwaśniałą krwią i potem. Znak rozpoznawczy osobnika, który był pod wpływem nałogu krwi.

Ale to nie był ktoś obcy.

- Jezu - szepnął cicho. - Camden?

Szkarłatny zamarł na dźwięk głosu Chase'a. Uniósł ramiona, jego głowa była przekrzywiona pod dziwnym kątem. Chrząknął przez wyszczerzone zęby, zaczął wietrzyć. Chase nie widział wyraźnie jego oczu, ale na pewno płonęły bursztynem.

- Cam, to ja. Twój stryj. Odłóż ten nóż, synu.

Jeśli nawet Camden zrozumiał jego słowa, nijak tego nie okazał. Nie puścił również wielkiego ostrza, który ścisnął w rękę. Zaczął powoli się odwracać jak zwierzę, które nagle uświadomiło sobie, że jest osaczone.

- Już po wszystkim - zapewnił go Chase. - Jesteś bezpieczny. Pomogą ci.

Ale wypowiadając te słowa, zastanawiał się, czy to prawda. Opuścił pistolet, jednak nie zabezpieczył go. Mięśnie ramion miał napięte, palec nadal spoczywał na spuście. Czuł na kręgosłupie dreszcz obawy równie zimny, jak nocny wiatr wpadający do mieszkania przez otwarte drzwi balkonowe. On również czuł się osaczony, niepewny reakcji bratanka i własnych.

- Camden, twoja matka bardzo się o ciebie martwi. Chce, żebyś wrócił do domu. Czy możesz to dla niej zrobić?

Zapadło milczenie. Chase obserwował jedyne syna swojego brata, który wreszcie odwrócił się do niego. Nie był przygotowany na to, co zobaczył. Próbował zapanować nad wyrazem twarzy, ale poczuł gulę w gardle na widok obdartego chłopaka, zbroszonego krwią, który zaledwie kilka tygodni temu żartował i śmiał się z przyjaciółmi.

Nie mógł dopatrzeć się ani śladu rozumu w tym dzikim stworzeniu, pochłapanym krwią staruszka, który leżał piętro niżej. Camden ścisnął w rękę nóż, a jego źrenice były zwężone, ledwie kreski czerni w środku pustych bursztynowych oczu.

- Camden, proszę... daj mi znać, że tu jesteś. Chase czuł, że pocał mu się dłonie. Prawa ręka, w której ścisnął broń, zaczęła się podnosić. Szkarłatny chrząknął, przykucnął. Rzucił dzikie spojrzenia na boki, oceniał, podejmował decyzję. Chase nie miał pojęcia, czy instynkt nakazuje bratankowi walczyć, czy uciekać. Wampir unosił pistolet coraz wyżej, palec drżał mu na spuście.

- Och, cholera... niedobrze. Bardzo niedobrze.

Z ponurym westchnieniem poderwał lufę pistoletu i strzelił w sufit. Pokój wypełnił huk wystrzału, a Camden rzucił się do ucieczki. Minął Chase'a, kierując się ku drzwiom balkonowym. Nie oglądając się za siebie, wyskoczył przez barierkę i zniknął stryjowi z oczu. Chase zachwiał się równocześnie pełny ulgi i żalu. Znalazł bratanka, ale tak naprawdę to pozwolił jedynie Szkarłatnemu wrócić na ulicę.

Kiedy wreszcie podniósł głowę i spojrzał w otwarte drzwi mieszkania, zobaczył, że stoi w nich Tegan i przygląda mu się uważnym, wszystkowiedzącym spojrzeniem. Być może nie zauważył, jak wypuszcza Szkarłatnego, ale na pewno to wiedział.

- Nie mogłem tego zrobić - wymamrotał Chase, kręcąc głową i patrząc na pistolet. - To moja krew. Po prostu... nie mogłem.

Tegan przez długą chwilę nic nie mówił, w milczeniu mierząc go wzrokiem.

- Musimy iść - powiedział wreszcie bez wyrazu. -Kobieta jest w złym stanie. Dante czeka z nią w samochodzie.

Chase kiwnął głową, po czym wyszedł za Teganem z budynku.

Dante czuł strach i wściekłość, kiedy układał Tess na tylnym siedzeniu rangę rovera, opierając o siebie jej ramiona i ręce. Przykrył ją kurtką, a potem zdjął koszulę i pocałował ją na paski, żeby owinąć rany na jej nadgarstku i szyi.

Leżała tak nieruchomo, tak niewiele ważyła. Patrzył na jej twarz, wdzięczny, że Szkarłatni tym razem zrezygnowali z tortur i bicia. Nie zgwałcili jej i to też była wielka ulga. Ale wypili jej krew, bardzo wiele krwi. Gdyby jej nie odszukał, wyssaliby całą.

Zadrżał zmrożony do szpiku kości na samą myśl o takiej ewentualności. Patrząc na zamknięte oczy Tess i jej bladą twarz, zdawał sobie sprawę, że może jej pomóc tylko w jeden sposób. Musiała dostać krew, która zastąpi tę, którą straciła. Ale nie ludzką, w formie transfuzji, tylko krew wampira.

Tamtej nocy, kiedy z niej pił, narzucił jej połowę więzów krwi, żeby ocalić siebie. Czy miał się okazać taki bezduszny, żeby przykuć ją do siebie na zawsze i bez pytania jej o zdanie dopełnić przeznaczenia? Ale jaki miał wybór? Jeśli tego nie zrobi, będzie mógł tylko patrzeć, jak umiera w jego ramionach.

A jeśli Tess znienawidzi go za to, że obdarował ją takim życiem, że połączył ich na zawsze. Zasługiwała na więcej, niż on mógł jej ofiarować.

- Cholera Tess, przepraszam. Nie ma innego sposobu.

Uniósł nadgarstek do ust i przeciął skórę ostrymi jak brzytwa kłami. Krew zaczęła ściekać po jego nagim przedramieniu. Ledwie był świadom szybkich kroków zbliżających się do samochodu. Uniósł głowę Tess, żeby ją nakarmić.

Drzwi z przodu otworzyły się i do samochodu wsiedli Tegan i Chase. Tegan obejrzał się. Jego oczy zabłysły na widok ręki Tess. Bezwładnej prawej ręki, która wysunęła się spod kurtki Dantego. Widniało na niej znamię w kształcie kropli krwi i półksiężyca. Tegan zmrużył oczy, po czym spojrzał pytająco na Dantego.

- To Dawczyni Życia - stwierdził.

- Wiem - odparł Dante. Nie próbował ukrywać troski. - Jedź. Zawieź nas jak najszybciej do kwatery.

Kiedy Tegan wrzucił bieg i wcisnął gaz, Dante przyłożył nadgarstek do nieruchomych warg Tess i przyglądał się, jak krew ścieka do jej ust.

Rozdział 29

Miała wrażenie, że umiera. Czuła się lekka, a równocześnie straszliwie ciężka, unosila się w nicości pomiędzy bólem jednego świata a wielką niewiadomą drugiego. To nieznanne miejsce wabiło ją. Wcale się nie bała. Ogarnęło ją ciepło, jakby okryły ją skrzydła anioła, chroniąc przed falą, która obmywała jej ciało.

Zatopiła się w tym ciepłym uścisku. Potrzebowała tej siły.

Słyszała wokół siebie głosy, niskie i pełne napięcia, ale nie rozumiała słów. Jej ciało wibrowało lekko, zmysły reagowały leniwie. Gdzieś jechała? Była zbyt wyczerpana, by się zastanawiać, zbyt zadowolona, mogąc po prostu trwać w ciepłe, które ją spowijało.

Chciała spać. Odplłynąć i zasnąć na zawsze.

Kropla czegoś ciepłego spadła na jej wargi. Była jak jedwab, czuła w nozdrzach jej zapach. Kolejna kropla, ciepła i mokra, uderzająca do głowy jak wino. Spróbowała jej językiem.

Kiedy tylko otworzyła usta, zalała je ciepła ciecz. Jęknęła niepewna, co pije. Czuła, że potrzebuje więcej. Pierwszy łyk wywołał w jej ciele silny wstrząs. Było tego więcej, czuła to na języku i w ustach, miała wrażenie, że umiera z pragnienia. Wiedziała tylko, że tego chce, że tego potrzebuje, więcej.

Jakiś niski głos szeptał cicho jej imię, kiedy spijała ten dziwny eliksir. Znała ten głos. Znała zapach, który ją otaczał, który napływał do jej ust.

Wiedziała, że on ją ocali, ten mroczny anioł, którego ramiona chroniły ją teraz.

Dante.

Dante był z nią w tej dziwnej próżni. Czuła to każdą cząstką swojej istoty.

Nadal dryfowała na falach nieznanego morza. Powoli ciemne wody uniosły się wyżej, pochłaniając ją, ciepłe jak kąpiel. Dante ją przytrzymał, mocno i delikatnie zarazem. Poddała się tej fali, piła, a płyn przenikał do jej mięśni, kości, komórek.

Ogarnął ją spokój. Jej świadomość zapadła się w ten inny świat, który miał kolor szkarłatu, karmazynu i wina.

Podróż do kwatery zabrała całą wieczność, choć Tegan ustanowił zapewne kilka rekordów szybkości, przedzierając się przez zatłoczone, kręte ulice Bostonu. Gdy tylko range rover zatrzymał się

w garażu, Dante otworzył drzwi i ostrożnie wyniósł Tess z samochodu.

Co chwila na zmianę traciła przytomność i ją odzyskiwała, była bardzo osłabiona z powodu utraty krwi i szoku, ale zaczynała mieć nadzieję, że przeżyje. Wypiła dotąd tylko odrobinę jego krwi. Teraz, w kwaterze, dopilnuje, żeby dostała jej tyle, ile trzeba.

Wykrwawi się na śmierć, jeśli będzie musiał ją ratować.

I nie żartował. Dokładnie tak uważał. Naprawdę zamierzał to zrobić. Zależało mu na uratowaniu Tess do tego stopnia, że gotów był dla niej umrzeć. To było coś więcej niż opiekuńczość wywołana przez więzi ich dopełnionego związku krwi. Sięgało głębiej, niż był w stanie przyznać. Kochał ją.

Ogrom tego uczucia dotarł do niego nagle, kiedy niósł Tess do windy, a za nim szli Tegan i Chase. Ktoś nacisnął guzik i zaczęli zjeżdżać pod ziemię, tam gdzie kryła się kwatera Zakonu odcięta od zewnętrznego świata.

Kiedy drzwi windy otworzyły się, na korytarzu czekał na nich Lucan. Obok stał Gideon. Obaj byli uzbrojeni i mieli poważny wrzask. Bez wątplenia Lucana zaniepokoił ich pośpiech, kiedy range rover pojawił się w kamerach nadzoru.

Lucan rzucił jedno spojrzenie na Dantego i nieprzytomną kobietę w jego ramionach i zaklął pod nosem.

- Co się stało?

- Przepuść mnie - powiedział Dante, mijając towarzyszy. Starał się nie potrząsać Tess. - Muszę ją położyć w jakimś ciepłym miejscu. Straciła masę krwi...

- Widzę. Co tam się, do diabła, stało?

- Szkarłatni - włączył się Chase, biorąc na siebie wyjaśnienia, żeby Dante mógł się skupić na Tess. - Grupa Szkarłatnych przeszukiwała mieszkanie handlarza kar-mazynu. Nie mam pojęcia, czego szukali, ale kobieta musiała ich chyba nakryć. Nie wiem, może weszła im w drogę? Ugryźli ją w rękę i szyję. Co najmniej dwóch.

Dante potwierdził kiwnięciem głowy wdzięczny, że Harvard zdjął z niego obowiązek złożenia raportu. Nie bardzo był w stanie mówić, tak wyschło mu w gardle.

- Jezu. - Lucan rzucił Dantemu współczujące spojrzenie. - To ta Dawczyni Życia, o której mówiłeś? To jest Tess?

- Tak. - Spojrzał na nią, taką nieruchomą i bladą w jego ramionach, i poczuł lodowaty dreszcz. - Jeszcze kilka sekund i byłoby za późno.

- Niech ich szlag - zasyczał Gideon, przeczesując ręką włosy. - Przygotuję jej miejsce w ambulatorium.

- Nie. - Głos Dantego zabrzmiał ostrzej, niż zamierzał. Pokazał swój przegryziony nadgarstek, nadal wilgotny po karmieniu Tess. - Jest moja. Zostanie ze mną.

Zaskoczony Gideon otworzył szeroko oczy, ale nic nie powiedział. Dante wyminął ich i ruszył labiryntem korytarzy do swojej prywatnej kwatery. Kiedy znalazł się na miejscu, zaniósł Tess do sypialni i delikatnie położył na wielkim łożu. Przygasił światła, przemawiał do niej cicho, starał się ułożyć ją wygodnie.

Siłą umysłu odkręcił ciepłą wodę nad umywalką w łazience. Ostrożnie zdjął prowizoryczne bandaże z szyi i ręki Tess. Na szczęście przestała krwawić. Jej rany były wielkie i otwarte, ale najgorsze minęło.

Na widok paskudnych szram, jakie zostawili jej Szkarłatni, pożałował, że nie posiada jej zdolności uleczenia dotykem. Chciał usunąć te rany, nim je zobaczy, ale nie potrafił sprawić takiego cudu. Jego krew uleczy ją od środka, odżywi jej ciało i da jej życie, jakiego dotąd nie znała. Jeśli będzie ją regularnie spożywać, pozostanie wiecznie młoda. W swoim czasie nawet blizny znikną. Ale nie dość szybko. Żałował, że nie może zabić jej napastników jeszcze raz, torturować ich powoli, zamiast zadać im szybką śmierć.

Potrzeba przemocy, zemsty na Szkarłatnych, którzy skrzywdzili Tess, gotowała się w nim jak kwas. Stłumił ją z trudem i zajął się opatrywaniem rannej. Zdjął z niej pokrwawioną kurtkę: najpierw zsunął rękawy, a potem uniósł Tess, żeby wyjąć spod niej materiał. Golf, który miała pod spodem, też był do niczego, jasnozielona wełna nasiąknęła jaskrawą czerwienią przy szyi i na brzegu długiego rękawa. Będzie musiał rozciąć ten golf, bo nie uda mu się go zdjąć, nie urażając rany na szyi. Wyciągnął z pochwy nóż i przeciął sweter na przodzie. Miękką wełną rozeszła się na boki, odsłaniając białe ciało Tess i brzoskwiniowy stanik.

Na widok jej gładkiej skóry i słodkich kobiecych kształtów poczuł podniecenie. Było to równie automatyczne jak oddychanie. Za każdym razem, kiedy ją widział, czuł głód, ale rany, jakie zadali jej Szkarłatni, wymusiły na nim opanowanie.

Była teraz bezpieczna, a tylko na tym mu zależało.

Odłożył nóż na nocną szafkę, po czym zdjął z Tess pocięty sweter i rzucił na podłogę. Choć w pokoju było ciepło, jej ciało nadal było lodowate. Przykrył ją kołdrą obleczonej na czarno, po czym poszedł do łazienki po ręczniki i gąbkę. Kiedy wrócił do sypialni, usłyszał ciche pukanie do drzwi apartamentu, zbyt delikatne, by był to któryś z wojowników.

- Dante? - Aksamitny głos Savannah był jeszcze cichszy niż pukanie. Przyniosła ze sobą leki, a jej ciemne łagodne oczy pełne były współczucia. Przyszła z nią partnerka Lucana, rudowłosa Gabrielle. Na ramieniu niosła gruby szlafrok. - Słyszałyśmy, co się stało, i przyniosłyśmy kilka rzeczy.

- Dziękuję.

Siedział na brzegu łóżka i patrzył obojętnie na kobiety. Całą jego uwagę pochłaniała Tess. Uniósł rękę i ostrożnie obmył gąbką pokrwawiony nadgarstek, tak delikatnie, jak tylko potrafił tymi swoimi wielkimi, niezgrabnymi łapami bardziej odpowiednimi do trzymania pistoletu czy noża.

- Jak ona się czuje? - spytała Gabrielle. - Lucan mówił, że dałeś jej swoją krew, żeby ją ocalić.

Dante kiwnął głową, ale nie czuł dumy z tego powodu.

- Znienawidzi mnie za to, kiedy o wszystkim się dowie. Nie wie, że jest Dawczynią Życia. Nie wie, kim... ja jestem.

Zaskoczony poczuł na ramieniu dotyk małej dłoni.

- Więc powinieneś jej powiedzieć. Nie odkładaj tego. Zaufaj jej. Zrozumie. Oczywiście początkowo będzie się opierać.

Był wdzięczny Gabrielle za ten gest i za rozsądną radę. W końcu mówiła z własnego doświadczenia. Zaledwie kilka miesięcy temu przeżyła to samo z Lucanem. Choć byli od tamtej pory nierozłączni, początki ich wspólnej podróży nie były łatwe. Żaden z wojowników nie znał szczegółów, ale Dante podejrzewał, że rezerwa i wyniosłość Lucana nie ułatwiły tej sprawy.

Savannah stanęła u jego boku.

- Kiedy oczyścisz rany, posmaruj je tym środkiem. Przyspieszy gojenie i zmniejszy blizny.

- Dobra. - Dante wziął lekarstwo domowej roboty i postawił na nocnej szafce. - Dziękuję wam obu.

Kobiety uśmiechnęły się do niego, po czym Savannah nachyliła się i podniosła z podłogi brudną kurtkę i pocięty golf Tess.

- Chyba jej się to już nie przyda. - Gdy tylko dotknęła ubrań, skrzywiła się boleśnie. Zamknęła oczy, wstrzymała powietrze, po czym wypuściła je z drzeniem. - Mój Boże, biedaczka. Ten atak był taki... brutalny. Wiesz, że zabrali jej prawie całą krew? Dante pochylił głowę.

- Wiem.

- Była już prawie martwa, kiedy... No cóż, ocaliłeś jej życie i tylko to się liczy. - Savannah starała się ukryć przerażenie, jakim nappełnił ją atak na Tess. - Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zawołaj nas. Zrobimy co w naszej mocy, żeby ci pomóc.

Kiwnął głową i wrócił do przemywania ran Tess. Kobiety wyszły. W pokoju zaległa cisza ciężka od jego myśli. Nie wiedział, jak długo tak siedział. Równie dobrze mogło minąć kilka godzin. Obmył Tess i wytarł, a potem położył się przy niej i patrzył, jak śpi, modląc się, by wkrótce otworzyła swoje piękne oczy.

Kiedy tak leżał, głowę wypełniały mu tysiące myśli, tysiące obietnic, które chciał jej złożyć. Pragnął, żeby była bezpieczna, szczęśliwa. Pragnął, żeby żyła wiecznie. Z nim, jeśli go przyjmie, albo bez niego, jeśli tylko w ten sposób będzie to możliwe. Będzie o nią dbał do końca życia, a jeśli, czy właściwie kiedy, śmierć go wreszcie dopadnie, dopilnuje, by dla Tess zawsze było miejsce w Mrocznej Przystani.

Czyżby myślał o przyszłości?

Planował ją?

To było takie dziwne. Zawsze żył tak, jakby jutra miało nie być, a wystarczyła jedna kobieta, by szlag trafił cały jego fatalizm. Nadal uważał, że śmierć czai się w pobliżu. Widział ją równie jasno, jak jego matka przepowiedziała własny koniec i śmierć jego ojca, ale jedna niezwykła kobieta sprawiła, że zaczął żywić nadzieję.

To przez Tess zapragnął mieć jeszcze trochę czasu. Żeby z nią spędzić każdą pozostałą mu sekundę.

Musi się niedługo obudzić. Musi wydobrzcć, ponieważ należą jej się wyjaśnienia. Musi się dowiedzieć, jak on się czuje i ile ona dla niego znaczy. Oraz o tym, co jej uczynił, narzucając jej więzy krwi.

Ile czasu trzeba, żeby jej organizm przyswoił sobie jego krew i zaczął się regenerować? Ile jego krwi potrzeba? Podczas drogi do kwatery wypła jej niewiele, zaledwie kilka kropel. Może potrzebuje więcej?

Wziął nóż z nocnej szafki i przeciął sobie nadgarstek, a potem przycisnął krwawiącą ranę do jej ust, czekając na reakcję. Kiedy jej usta się nie poruszyły, a krew spłynęła po jej podbródku, miał ochotę kląć jak opętany.

- No już, aniele. Napij się. - Pogładził jej chłodny policzek, odgarnął jej z czoła jasne włosy. - Proszę, Tess, żyj... Napij się i żyj.

Usłyszał od progu chrząknięcie.

- Przepraszam. Drzwi były... hm... otwarte. Chase. Po prostu świetnie. Ostatnia osoba na tym

świecie, jaką miał ochotę oglądać. Był zbyt zajęty tym, co robił, tym, co czuł, żeby zajmować się czymkolwiek innym, a już szczególnie agentem Mrocznych Przystani. Miał nadzieję, że dupek poszedł już sobie z kwatery, tam gdzie jego miejsce. Najlepiej z odciskiem wielkiego buciora Lucana. No ale może Lucan zarezerwował ten przywilej dla niego

- Spadaj - zawarczał.

- Czy ona w ogóle pije? Dante zaklął pod nosem.

- Rozumiesz, co to znaczy „spadaj”? Nie potrzebuję teraz publiczności ani twoich gównianych rad!

Znów przycisnął nadgarstek do ust Tess, rozsunął jej wargi palcami wolnej ręki w nadziei, że może uda się w ten sposób zmusić ją do picia. Ale nie udało się. Zapięły go oczy, a potem poczuł wilgoć na policzkach i słony smak w kąciku ust.

- Cholera - wymamrotał, ocierając twarz ramieniem, równocześnie oszołomiony i zrozpaczony.

Usłyszał kroki zbliżające się do łóżka. Poczul ruch powietrza, kiedy agent wyciągnął rękę.

- Spróbuj przechylić jej głowę...

- Nie dotykaj jej! - Dante ledwie rozpoznał głos, którym wypowiedział te słowa. Odwrócił gwałtownie głowę i zajrzał w oczy agenta. Wzrok mu się wyostrzył, kły wysunęły się z dziąseł.

Zawładnęła nim dzika, zabójcza potrzeba chronienia Tess. Chase ewidentnie to zrozumiał, bo wycofał się, unosząc przed sobą dłonie.

- Przepraszam, nie chciałem zrobić nic złego. Chcę tylko pomóc. I przeprosić.

- Obejdzie się. - Dante odwrócił się z powrotem do Tess. Marzył o tym, żeby zostać z nią sam na sam. - Niczego od ciebie nie potrzebuję. Tylko żebyś już zniknęła.

Odpowiedziała mu długa cisza. Przez moment miał wrażenie, że agent spełnił jego życzenie i zniknął, ale nie miał tyle szczęścia.

- Rozumiem, jak się czujesz.

- Czyżby?

- Tak sędzę. Zrozumiałem ostatnio wiele rzeczy.

- Świetnie. Po prostu cudownie, były agencie Chasie. Napisz to w jednym z tych swoich bezsensownych raportów, a może kumple z Mrocznej Przystani dadzą ci za to medal. Harvard wreszcie coś rozumiał!

Agent zachichotał drwiąco, ale bez urazy.

- Wiem, że wszystko spieprzyłem. Nakłamałem i naraziłem waszą misję. Źle zrobiłem. Chcę, żebyście wiedzieli, szczególnie ty, Dante, że bardzo mi z tego powodu przykro. Serce Dantego biło szybko ze złości, ale nie rzucił się na Chase'a, choć domagał się tego instynkt. Usłyszał skruchę w głosie agenta. I pokorę, czyli coś czego jemu samemu brakowało. Dotąd. Do Tess.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Szczerze? Ponieważ widzę, jak bardzo ci zależy na tej kobiecie. Przeraza cię to. Boisz się, że ją stracisz, i zrobisz wszystko, żeby ją uratować.

- Zrobiłem to dla niej - powiedział Dante cicho. -Umrę dla niej, jeśli będzie trzeba.

- Tak. Wiem, że to zrobisz. Więc może zrozumiesz, jak łatwo jest kłamać, oszukiwać czy się poświęcić. Zrobić wszystko, zaryzykować wszystko, jeśli dzięki temu oszczędzisz jej nieco bólu.

Dante zmarszczył brwi. Nagle zrozumiał. Jakoś nie mógł już pogardzać agentem. Spojrzał na Chase'a.

- Powiedziałeś, że nie masz kobiety, że nie masz żadnych zobowiązań, prócz wdowy po bracie...

Chase uśmiechnął się żałośnie. Tęsknota i cierpienie malujące się w jego oczach mówiły wszystko.

- Nazywa się Eliza. Była przy tym, jak zabieraliście mnie we dwóch z Teganem.

Powinien był się domyślić. I chyba się domyślił, na pewnym poziomie. Reakcja Chase'a, kiedy kobie-ta wyszła z Mrocznej Przystani, była niewspółmiernie gwałtowna. Gdy zobaczył, że może się jej stać krzywda, stracił swój zwykły spokój. Wyglądał, jakby był gotów urwać Teganowi głowę tylko za to, że dotknął jego szwagierki.

Taka zaborczość wykraczała daleko poza zwykłe uczucia do członka rodziny.

Sądząc z wyrazu twarzy Chase'a, jego miłość nie była odwzajemniona.

- Chciałem tylko, żebyś wiedział... że przepraszam za wszystko - powiedział agent gwałtownie. - Chcę ci pomóc, tobie i Zakonowi, jeśli tylko zdołam, więc gdybyś czegoś potrzebował, wiesz, jak mnie znaleźć.

- Chase - odezwał się Dante, kiedy wampir odwrócił się, by wyjść. - Przyjmuję przeprosiny. Ja też przepraszam. Nie byłem wobec ciebie sprawiedliwy. Wiedz, że cię szanuję, mimo wszystko. Agencja straciła dobrego człowieka w dniu, kiedy cię zwolnili.

Chase uśmiechnął się krzywo i podziękował za komplement krótkim skinieniem głowy. Dante odchrząknął.

- A jeśli chodzi o pomoc...

- Powiedz tylko słowo.

- Tess spacerowała z psem, kiedy zaatakowali ją Szkarłatni. Paskudnym małym kundlem, zupełnie beznadziejnym, ale jest do niego przywiązana. To był prezent ode mnie, przynajmniej w pewnym sensie. W każdym razie ten pies biegał wolno z przypiętą smyczą. Widziałem go jakąś przecnicę od mieszkania Sullivana.

- Chcesz, żebym go złapał i tu przywiózł?

- Powiedziałeś, że mogę prosić o wszystko.

- Rzeczywiście. - Chase zachichotał. - W porządku, poszukam go.

Dante wyciągnął z kieszeni kluczyki do porsche i rzucił je agentowi.

Kiedy Chase znów się odwrócił do wyjścia, dodał:

- Ta mała bestia reaguje na imię Harvard.

- Harvard - powtórzył Chase, kręcąc głową i rzucając Dantemu zagadkowe spojrzenie. - Nie przypuszczam, żeby to był przypadek.

Dante wzruszył ramionami.

- Nawet twoje wykształcenie do czegoś się przydaje.

- Od początku miałeś ochotę mnie skopać, no nie?

- Hej, w zasadzie byłem dla ciebie grzeczny. Zrób sobie tę przysługę i nie przyglądaj się zbyt uważnie celom, do których strzela Niko.

- Dupki - mruknął Chase, ale w jego głosie pobrzmiwało rozbawienie. - Przywiozę ci tego kundla. Masz coś do mnie jeszcze, żebyśmy mogli od razu to załatwić?

- Może i mam - odparł Dante. Nagle podjął decyzję co do Tess i jej przyszłości. - Porozmawiamy o tym, jak wrócisz, dobra?
Chase kiwnął głową.
- Jasne.

Rozdział 30

Kiedy Chase wyszedł z kwatery Dantego, na korytarzu czekał na niego Gideon.

- Jak im idzie?

- Nie odzyskała przytomności, ale jest w dobrych rękach. Dante postanowił, że będzie żyła, a jak raz wbije coś sobie do głowy, nic nie zdoła go powstrzymać.

- Racja. - Gideon zachichotał. Trzymał w ręku przenośną kamerę wideo, którą teraz włączył. - Słuchaj, namierzyłem dziś w nocy przez satelitę paru Szkarłatnych. Mam wrażenie, że kilku z nich to obywatele Mrocznych Przystani. Masz chwilę, żeby popatrzeć i pomóc nam ich zidentyfikować?

- Jasne.

Chase spojrzał na mały ekran kamery. Gideon przełączył ją w tryb odtwarzania i przewinął obraz. Na ekranie ukazał się opuszczony budynek w przemysłowej dzielnicy miasta. Tylnymi drzwiami wychodziło czterech mężczyzn. Na podstawie wzrostu i sposobu chodzenia Chase mógł stwierdzić, że to wampiry. Ale człowiek, którego tropili, nie miał o tym pojęcia.

Patrzył z obrzydzeniem, jak czterech młodzieńców z Mrocznej Przystani dopada ofiarę. Zaatakowali szybko i dziko, jak drapieżniki pod wpływem nałogiem krwi. Takie gangsterskie ataki na ludzi były nie do pomyślenia wśród rasy. Tylko Szkarłatni polowali i zabijali w ten sposób.

- Możesz pokazać zbliżenie? - spytał Gideona. Choć wcale nie chciał oglądać tej jatki, nie mógł od niej oderwać wzroku.

- Rozpoznajesz któregoś?

- Tak - odparł Chase. Żołądek mu się wywrócił na widok oszalałej twarzy Camdena. Widział go już po raz drugi w ciągu kilku godzin i coraz mocniej podejrzewał, że nie uda się go już ocalić. - Wszyscy pochodzą z bostońskiej Mrocznej Przystani. Mogę ci podać ich nazwiska, jeśli chcesz. Ten nazywa się Camden. To mój bratanek.

- Cholera - szepnął Gideon. - Jeden z tych Szkarłatnych to twój bratanek?

- Zaczął brać karmazyn i zaginał jakieś dwa tygodnie temu. To z jego powodu zwróciłem się o pomoc do Zakonu. Chciałem go namierzyć i sprowadzić do domu, nim to się stanie.

Twarz Gideona była poważna.

- Wiesz, że wszystkie wampiry tutaj to Szkarłatni. On jest teraz nałogowcem, Chase. To stracona sprawa.

- Wiem. Widziałem Camdena dziś w nocy, kiedy poszliśmy do mieszkania Sullivana. Kiedy spojrzałem mu w oczy, zrozumiałem, że się przemienił. Ten film tylko to potwierdza.

Gideon milczał przez chwilę. Wyłączył kamerę.

- Nasza polityka wobec Szkarłatnych jest prosta. Przykro mi, Chase, ale jeśli wpadniemy na niego podczas patrolu, możemy zrobić tylko jedno.

Chase kiwnął głową, Wiedział, że jeśli chodzi o Szkarłatnych, stanowisko Zakonu nie podlega negocjacom, a tych kilka patroli z Dantem przekonało go, że to słuszna postawa. Camden odszedł i było już tylko kwestią czasu, kiedy ta skorupa, która po nim pozostała, skończy gwałtowną śmiercią.

- Muszę wracać na górę i załatwić coś dla Dantego, ale wrócę za jakąś godzinę i podam ci wszystkie informacje, które pomogą usunąć tych Szkarłatnych z ulicy - powiedział.

- Dzięki. - Gideon poklepał go po ramieniu. - Słuchaj, naprawdę mi przykro. Żałuję, że nie ułożyło się inaczej. Wszyscy straciliśmy bliskich w tej cholernej wojnie.

- Jasne. Widzimy się później - odparł Chase i ruszył w stronę windy.

Kiedy jechał na górę, myślał o Elizie. Poinformował Dantego i resztę wojowników o Camdenie, ale ukrywał prawdę przed nią. Musiała ją poznać. Musiała pojąć, co się stało z jej synem, i zrozumieć, co to znaczy. Chase nie sprowadzi Camdena do domu. Nikt nie mógł tego dokonać. Ta prawda zabije Elizę, ale nie ma innego wyjścia.

Wysiadł z windy i sięgnął do kieszeni płaszcza po komórkę. Kiedy szedł w stronę porsche Dantego, wybrał numer do domu. Eliza podniosła słuchawkę po drugim sygnale. Głos miała niespokojny i pełny nadziei.

- Halo? Sterling, nic ci nie jest? Znalazłeś go? Chase zatrzymał się, klnąc w duchu. Przez długą chwilę nie mógł mówić.

- Ja... hm. Elizo, dziś w nocy widziano Camdena.

- O mój Boże. - Zatkła w słuchawkę, a potem zamilkła na chwilę. - Sterling, czy on... Proszę, powiedz mi, że żyje.

Nie spodziewał się, że będzie musiał odbyć tę rozmowę przez telefon. Zamierzał tylko powiedzieć, że przyjedzie później i wszystko jej

wyjaśni, ale jej matczyna troska nie zgadzała się na czekanie. Żądała odpowiedzi i nie mógł dłużej taić przed nią prawdy.

- Och, do diabła, Elizo. To nie są dobre wieści. -Cisza zaległa po obu stronach linii. - Cama widziano dziś w nocy z grupą Szkarłatnych. Ja również go widziałem, w mieszkaniu człowieka, który sprzedaje karmazyn. Jest w złym stanie, Elizo. Jest... Nie da się tego powiedzieć łagodnie. On się przemienił, Elizo. Jest już za późno. Camden stał się Szkarłatnym.

- Nie - zaprzeczyła po długiej chwili milczenia. -Nie, nie wierzę ci. Pomyliłeś się.

- To nie pomyłka. Chciałbym, żeby to była pomyłka, ale widziałem go na własne oczy, a potem na filmie, który zdobyli wojownicy. On i grupa innych młodzieńców z Mrocznej Przystani, wszyscy są teraz Szkarłatnymi. Zostali sfilmowani, jak w miejscu publicznym napadają na człowieka.

- Muszę to zobaczyć.

- Nie, zaufaj mi, nie chcesz...

- Sterling, posłuchaj. Camden jest moim synem. Tylko on mi został. Jeśli zrobił, to co mówisz, jeśli zmienił się w zwierzę, a ty masz na to dowody, mam prawo zobaczyć je na własne oczy.

Chase zabębnił palcami w dach czarnego porsche, wiedząc, że żaden z wojowników nie będzie zadowolony, jeśli sprowadzi do ich kwatery cywila.

- Sterling, jesteś tam?

- Tak. Jestem.

- Jeśli masz jakiegokolwiek względy dla mnie czy dla pamięci swego brata, proszę, pozwól mi zobaczyć syna.

- Dobrze - ustąpił wreszcie. Pomyślał, że jeśli spełni jej prośbę, przynajmniej będzie w pobliżu, żeby ją podtrzymać, gdy zemdleje. - Muszę teraz coś załatwić, ale za jakąś godzinę wpadnę po ciebie do Mrocznej Przystani.

- Będę czekać.

Ciepło wróciło. Tess nadal unosiła się na mrocznej fali. Sięgnęła zmysłami ku źródłu tego ciepła, ku cudownemu zapachowi i smakowi płynnego ognia, którym ją karmiono. Myśli tańczyły poza jej zasięgiem, ale ciało zaczęło się stopniowo ożywiać, komórka po komórce, jakby wynurzała się z długiego zimnego snu.

- Pij - zachęcał ją niski głos. Posłuchała.

Piła łapczywie, przetykała żarłocznie. Nagle coś się zaczęło w niej budzić, najpierw w palcach u rąk i nóg, potem wyżej... Miała wrażenie, że przepływa przez nią prąd.

- Właśnie tak, Tess. Dalej, aniele.

Nie mogłaby przestać, nawet gdyby chciała. Miała wrażenie, że każdy łyk wzmacnia pragnienie, podsyca w niej płomień. Czuła się jak niemowlę przy piersi matki, bezbronnie i nieświadomie, ufne bez zastrzeżeń, ograniczone tylko do podstawowych instynktów.

Dostawała życie. Pojmowała to jakąś prymitywną część swojego umysłu. Była bliska śmierci, może tak bliska, że mogła jej dotknąć, ale to ciepło, ten mroczny eliksir, przywracało ją do życia.

- Więcej - wychrypiała. Przynajmniej wydawało jej się, że powiedziała to na głos. Głos, który usłyszała, był słaby i dobiegał z daleka. Taki rozpaczliwy. - Więcej...

Wzdrygnęła się, kiedy po jej słowach ciepło zniknęło. Nie, pomyślała, czując narastającą panikę. Została sama. Jej anioł obrońca odszedł wraz z ciepłem, które dawało jej życie. Zajęczała cicho, zmuszając do ruchu bezwładne ręce.

- Dante...

- Jestem tutaj. Nigdzie nie idę.

Chłód zniknął, poczuła, że koło niej kładzie się jakiś ciężar. Kiedy ją przytulił, poczuła żar jego ciała. Silne palce na jej karku przyciągnęły ją. Poczuła, że dotyka ustami jego szyi. Ciepła, mokra skóra pod wargami.

- Chodź do mnie Tess. Pij ze mnie. Bierz tyle, ile potrzebujesz.

Pić z niego? Jakaś część jej świadomości wzdrygnęła się na ten nonsens, ale inna, ta, która nadal unosiła się na falach, szukając stałego ładu, kazała jej przyjąć to, co jej oferuje.

Rozchyliła wargi i zaczęła z całej siły ssać, napelniając usta darem Dantego.

Cholera.

Kiedy Tess przyssała się do jego szyi, całe ciało Dantego napięło się niczym cięciwa łuku. Jej głód, je-dwabista pieśczość jej języka, kiedy ssała jego krew, sprawiły, że członek mu zeszywniał. Nigdy w życiu nie miał równie twardej erekcji.

Nie miał pojęcia, że poczuje coś takiego, jeśli pozwoli jej z siebie pić. Po raz pierwszy w życiu dawał komuś krew. Zawsze dotąd tylko ją

brał, z konieczności albo dla przyjemności, ale nigdy od Dawczyni Życia.

Nigdy od kobiety, która poruszała go tak jak Tess.

To przeżycie stawało się jeszcze bardziej erotyczne, ponieważ Tess brała jego krew całkowicie instynktownie, bez udziału woli. Członek mu pulsował, domagając się, żądając. Chciał go zignorować, ale nie mógł.

Miał wrażenie, jakby ssała jego penisa, każdy jej łyk niemal doprowadzał go do orgazmu. Z jękiem zacisnął ręce na jedwabnych prześcieradłach, starając się opanować. Jej dłonie zaczęły się poruszać, ugniatała jego ramiona w nieświadomym rytmie. Nie przestawała ssać. Dante czuł, jak z każdą minutą wracają jej siły. Oddychała teraz głębiej, już nie tak płytko i szybko.

Jej ożywienie był najsilniejszym afrodyzjakiem, jaki kiedykolwiek przyjął. Nadludzką siłą powstrzymał się od zaspokożenia własnej żądz.

- Pij dalej - mruknął, czując w ustach nacisk wysuniętych kłów. Język miał spuchnięty z pragnienia. - Nie przestawaj Tess. To wszystko dla ciebie. Tylko dla ciebie.

Przysunęła się bliżej, przycisnęła piersi do jego torsu, a jej biodra... Jej biodra ocierały się o jego miednicę w instynktownym, szybkim rytmie. Przekręcił się na wznak i leżał całkiem nieruchomo. Zamknął oczy, zatopił się w rozkosznej torturze, serce mu waliło.

Nie przywykł do narzucania sobie ograniczeń, ale dla Tess był gotów znieść wszystko, jeśli będzie trzeba. Rozkoszował się nią, miał wrażenie, że pożądanie zaraz rozerwie go na kawałki. Leżał skupiony na ruchu jej ciała, na jej cichym popiskiwanii i jękach.

Może wytrzymałby dłużej, gdyby Tess nie wpełzła na niego, ani na chwilę nie odrywając ust od jego szyi, a jej włosy nie opadły mu na pierś. Jego plecy same wygięły się w łuk, podrywając się z łóżka. Ssała teraz mocniej, jej skóra zrobiła się gorąca, poruszała się na nim powoli, bez chwili przerwy.

Nagle dosiadła go, objęła udami jego biodra i zaczęła pocierać sromem o jego członek, jakby byli nadzy. Przez ubranie wyczuwał jej żar. Majtki miała wilgotne z pożądania. Oszołomił go słodki zapach jej podniecenia.

- Jezu - wyjęczał, a kiedy zaczęła poruszać się coraz szybciej, złapał się za wezłowie łóżka.

Kołysała się na nim coraz gwałtowniej i mocniej, jej tępe ludzkie zęby wbijały się w jego szyję. Nie przestawała ssać. Czuł jak zbliża się jej orgazm, jak wybuch. Jego własny też zbliżał się nieubłaganie, jego członek pulsował, gotów wystrzelić. Kiedy Tess doszła, poddał się tej potrzebie. Orgazm ogarnął go potężną falą, wycisnął go zupełnie, obezwładnił. Zatracił się w nim, nie mógł opanować dzikiego pulsowania, które trwało bez końca.

Tess zasnęła nagle na jego piersi.

Po długiej chwili puścił wezglowie łóżka i delikatnie dotknął jej bezwładnego ciała. Chciał w nią wejść, potrzebował tego równie mocno, jak powietrza, ale była w tej chwili taka bezbronna, że nie mógł jej wykorzystać. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, będą inne takie okazje, lepsze okazje.

Musiały być.

Rozdział 31

Tess budziła się powoli. Miała wrażenie, że jej twarz wynurza się na powierzchnię mrocznej fali, na której unosiło się jej ciało. Dotarła do bezpiecznego wybrzeża. Odetchnęła głęboko i poczuła, jak jej płuca wypełnia chłodne, świeże powietrze. Zamrugła raz, drugi. Powieki miała ciężkie, jakby spała wiele dni.

- Cześć, aniele - powiedział głęboki, znajomy głos gdzieś bardzo blisko jej twarzy.

Uniosła powieki i wtedy go zobaczyła. Patrzył na nią z góry, jego oczy były poważne, ale na ustach miał uśmiech. Pogładził jej czoło, odsuwając z twarzy kosmyki włosów.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. - Czowała się lepiej niż dobrze. Jej ciało spoczywało na miękkim materacu, otulone w czarne, jedwabne prześcieradła. Dante zamykał ją w objęciach.

- Gdzie jesteśmy?

- W bezpiecznym miejscu. Tutaj mieszkam. Tu nikt cię nie skrzywdzi. Poczuła zmieszanie, obudziło się w niej coś mrocznego i zimnego, co trwało tuż na skraju świadomości. Strach. Nie czuła go teraz, nie w jego obecności, ale zalegał w niej jak lodowata mgła. Niedawno się bała. Była śmiertelnie przerażona.

Uniosła rękę do szyi. Palce natrafiły na wrażliwą, gorącą skórę. Nagły przebłysk pamięci przeszył jej umysł: straszliwa twarz o oczach jasnych jak płonące węgle, usta otwarte w okropnym syku, odsłonięte wielkie zęby.

- Ktoś mnie napadł - wypowiedziała te słowa, nim wspomnienie uformowało się do końca. - Na ulicy... zaatakowali mnie. Dwóch, zaciągnęli mnie gdzieś i...

- Wiem - powiedział Dante, delikatnie odrywając jej rękę od szyi. - Ale już wszystko dobrze, Tess. Już po wszystkim, nie musisz się bać.

Jej umysł wypełniły wydarzenia wieczoru. Przeżywała ponownie wszystko, od spaceru pod domem Bena i odkrycia, że w jego mieszkaniu jest ktoś obcy, do szokującego widoku ludzi, o ile to byli ludzie, skaczących z balkonu na ulicę. Widziała ich okropne twarze, czuła na sobie ich ręce, kiedy ją pochwycili i wciągnęli w ciemność, gdzie czekał ból.

Nadal była przerażona. Kiedy leżała bezbronna na ziemi, jeden napastnik trzymał ją za ramiona, a drugi przyciskał ją ciężarem

swojego wielkiego, umięśnionego ciała. Myślała, że ją zgwałcą, brutalnie pobiją, ale ich zamiary były tylko odrobinę mniej przerażające.

Ugryźli ją.

Te dwa potwory przytrzymały ją niczym zdobycz na podłodze rozwalającej się szopy. Ugryźli ją w szyję i nadgarstek i zaczęli pić jej krew.

Była pewna, że tam umrze, ale potem przydarzył się cud. Pojawił się Dante. Zabił ich obu, a Tess nie tyle to widziała, ile wyczuwała. Leżąc na twardej podłodze w zapachu własnej krwi, wyczuwała obecność Dantego. Wściekł się, wypełniał swoją obecnością całą przestrzeń. Ty... ty też tam byłeś. - Usiadła. Jej ciało było zadziwiająco silne, nie czuła żadnego bólu pomimo takich przejść. W głowie zaczęło jej się rozjaśniać, stała się pełna energii i wypoczęta, jakby się właśnie obudziła z głębokiego smacznego snu. - Znalazłeś mnie tam. Uratowałeś mnie.

Jego uśmiech był niepewny, jakby nie wiedział, czy powinien się z nią zgodzić, jakby był zażenowany jej wdzięcznością. Ale objął ją i pocałował czule w usta.

- Żyjesz i tylko to się liczy.

Tess również go objęła, miała dziwne wrażenie, że jest jego częścią. Jej serce biło w rytmie jego serca, czuła, jak przenika ją jego ciepło i rozgrzewa od środka. Wiedziała, że jest z nim związana, a to uczucie było tak niezwykle, tak silne, że aż nie mogła go ogarnąć.

- A skoro się już obudziłaś - wymruczał Dante prosto w jej ucho - to w drugim pokoju czeka ktoś, kto chce się przywitać.

Nim zdążyła odpowiedzieć, wstał z wielkiego łóżka i poszedł do sąsiedniej bawialni. Patrząc na jego plecy, Tess napawała się widokiem jego mięśni i seksownych kolorowych tatuaży, które zdawały się tańczyć przy każdym ruchu. Zniknął w drugim pokoju. Usłyszała skowyt, który natychmiast rozpoznała.

- Harvard! - zawołała, kiedy Dante wrócił do sypialni, niosąc wiercącego się małego teriera. - Jego też uratowałeś?

Dante pokręcił głową.

- Nim cię znalazłem, zobaczyłem, że biega luzem. Kiedy byłaś już bezpieczna, posłałem kogoś po niego. Postawił psa na łóżku, a futrzasta kulka natychmiast rzuciła się na swoją panią. Tess wzięła psa

w ramiona, a Harvard lizał ją po rękach i twarzy. Cieszyła się, że nie zgubił się na ulicach Bostonu.

- Dziękuję - powiedziała, uśmiechając się przez łyżki, które wywołało to niespodziewane spotkanie. - Muszę przyznać, że się w nim zakochałam.

- Szczęściarz z tego psa - stwierdził Dante. Usiadł na brzegu łóżka, patrząc, jak Harvard liże Tess po brodzie. Wyraz twarzy wampira był dziwnie sztuczny a oczy zbyt poważne. - Słuchaj, są... sprawy, o których musimy porozmawiać. Miałem nadzieję, że cię w to nie wciągnę, ale stało się. Po tym co dziś zaszło, musisz się wszystkiego dowiedzieć.

W milczeniu kiwnęła głową, puściła Harvarda i zajrzała w smutne oczy Dantego. Miała wrażenie, że wie, dokąd zaprowadzi ich ta rozmowa. Na nieznane terytorium, to pewne, ale po wydarzeniach dzisiejszej nocy, nic już nie będzie takie jak kiedyś.

- Kim oni byli, Dante? Ci, co na mnie napadli... to nie byli zwyczajni ludzie, prawda?

Pokręcił lekko głową.

- Nie, to nie byli ludzie. To niebezpieczne stworzenia, nałogowcy krwi. Nazywamy ich Szkarłatnymi.

- Nałogowcy krwi - powtórzyła, a żołądek skurczył jej się na samą myśl o czymś takim. Popatrzyła na ranę po ugryzieniu na swoim nadgarstku. - Mój Boże, oni pili moją krew? Nie wierzę. Przecież to jest wampiryzm!

W poważnym wzroku Dantego nie było zaprzeczenia.

- Wampiry nie istnieją - poinformowała go stanowczo. - Mówimy tu o rzeczywistości, nie o fantazji. Nie istnieją.

- Istnieją, Tess. Nie w taki sposób, jak sądzisz, ale istnieją. To nie są żywi umarli czy pozbawione duszy demony, tylko odmienny gatunek. Ci, którzy cię dziś zaatakowali, to najgorszy rodzaj. Nie mają sumienia, nie potrafią się kontrolować ani myśleć logicznie. Zabijają każdego bez różnicy i będą to robić coraz częściej, jeśli ich nie powstrzymamy. Tym się właśnie zajmujemy, tu w kwaterze. Usuwamy Szkarłatnych, żeby nie prześladowali ludzi.

- Och, daj spokój. - Tess zmarszczyła brwi. Nie chciała mu wierzyć, ale odrzucenie jego słów przycho-dziło jej z trudem. Mówił tak szczerze. I tak racjonalnie. - Chcesz mi powiedzieć, że jesteś jakimś postrachem wampirów?

- Jestem wojownikiem, a to jest wojna Tess. Sytuacja znacznie się pogorszyła od czasu, kiedy Szkarłatni odkryli karmazyn.

- Karmazyn? Co to takiego?

- Narkotyk, którym Ben Sullivan handluje od kilku miesięcy na mieście. Wzmaga on pragnienie krwi, redukuje zahamowania. Robi z nich zabójców.

- A co z Benem? Czy on o tym wie? Czy dlatego poszedłeś wczoraj do jego mieszkania?

Dante kiwnął głową.

- Mówi, że ktoś go wynajął do produkcji tego świństwa. W lato, ktoś anonimowy. Podejrzewamy, że kryją się za tym Szkarłatni.

- Gdzie on teraz jest?

- Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

W głosie Dantego pojawił się chłód, kiedy wypowiadał te słowa. Tess poczuła gwałtowny niepokój o Bena.

- Ci ludzie... ci Szkarłatni, którzy mnie zaatakowali, przeszukiwali jego mieszkanie.

- Tak. Nie wiemy, czego szukali.

- Ja chyba wiem. Dante zmarszczył brwi.

- Czego?

- Gdzie moja kurtka? - Tess rozejrzała się po sypialni, ale nie zobaczyła swoich ubrań. Miała na sobie tylko stanik i majtki. - Znalazłam coś w lecznicy. Pendrive do komputera. Ben ukrył go w jednym z moich gabinetów.

- Co na nim było?

- Nie wiem, nie próbowałam go otwierać. Mam go w kurtce...

- Cholera. - Dante poderwał się z łóżka. - Wrócę za chwilę. Mogę cię zostawić samą?

Kiwnęła głową, nadal usiłując ogarnąć umysłem te wszystkie niewiarygodne, niepokojące rzeczy, o których się właśnie dowiedziała.

- Dante?

- Tak?

- Dziękuję, że mnie uratowałeś.

Coś mrocznego pojawiło się na chwilę w jego ja-snobrązowych oczach, ale rysy jego twarzy złagodniały. Podszedł do niej, wsunął palce we włosy, unosząc nieco jej głowę. Jego pocałunek był słodki i jakby pełny czci.

- Poczekaj, aniele, zaraz wrócę.

Eliza oparła się dłonią o gładką ścianę korytarza kwatery i próbowała odzyskać oddech. Drugą rękę przyciskała do brzucha, do czerwonej wdowej szarfy. Było jej strasznie niedobrze, nogi się pod nią uginały i przez chwilę miała wrażenie, że zwymiotuje tam, gdzie stoi.

Uciekła z laboratorium ogarnięta straszliwym wstrętem. Biegła na oślep jednym korytarzem, potem innym i teraz nie miała zielonego pojęcia, gdzie jest. Wiedziała tylko, że musi się stąd wydostać. Choć nie była w stanie uciec dość daleko od tego, co właśnie zobaczyła.

Sterling ostrzegał ją, że materiał, choć czarno-biały, jest naprawdę paskudny. Eliza jednak sądziła, że jest na to przygotowana, ale widok syna wraz z kilkoma Szkarłatnymi rozszarpujących człowieka przekroczył jej najgorsze oczekiwania. To był koszmar, który będzie ją prześladował przez resztę jej dni.

Oparła się plecami o ścianę i powoli osunęła się na podłogę. Nie mogła powstrzymać łez ani gwałtownego szlochu, który wezbrał w jej gardle. Miała ogromne poczucie winy, czuła wielki żal, że nie postępowała z Camdenem ostrożniej. Że przyjęła za pewnik jego dobroć i siłę. Że nie wierzyła, iż może mu się przydarzyć coś takiego. Jej syn nie mógł być tym żadnym krwi potworem, którego zobaczyła na ekranie komputera. Musiał tam być gdzieś w środku, na pewno można do niego jakoś dotrzeć. Można go ocalić. Nadal był Camdenem, jej cudownym jedynym dzieckiem.

- Nic ci nie jest?

Zaskoczył ją ten męski głos. Skuliła się, uniosła pełne łez oczy. Spod potarganej grzywy ciemnoblonde włosów patrzyły na nią oczy zielone jak szmaragdy. To był jeden z tych wojowników, którzy przyszli do Mrocznej Przystani po Sterlinga. Ten zimny, który ją przytrzymał, gdy ruszyła szwagrowi z pomocą.

- Jesteś ranna? - spytał, kiedy patrzyła na niego bez słowa.

Podszedł do niej. Jego twarz była bez wyrazu, nic nie dało się z niej wyczytać. Miał na sobie luźne dżinsy, które zsunęły mu się z bioder nieprzyzwoicie nisko, i białą, rozpiętą koszulę, odsłaniającą muskularną pierś. Jego skórę pokrywały przepiękne dermaglify, od podbrzusza po ramiona, a ich rysunek i kolor wskazywały, że należy do pierwszego pokolenia. Czyli jest jednym z najbardziej agresywnych i potężnych wampirów. Niewielu już takich zostało.

Eliza, choć żyła od dawna w Mrocznej Przystani, nigdy żadnego nie spotkała.

- Jestem Tegan - powiedział i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać. Dotknięcie go wydało jej się czymś nazbyt intymnym. Ledwie kilka godzin temu te wielkie ręce przy-trzymywały ją mocno w talii i za ramiona. Pamiętała żar tego dotyku, który czuła jeszcze długo po tym, jak ją puścił. Miała wrażenie, że jego palce wypaliły ślady na jej skórze.

Bez pomocy wstała z podłogi i otarła gwałtownie mokre policzki.

- Nazywam się Eliza. - Skłoniła grzecznie głowę. - Jestem szwagierką Sterlinga.

- Niedawno owdowiałaś? - Przyglądał się jej uważnie.

Eliza zaczęła się bawić długą czerwoną szarfą.

- Straciłam partnera pięć lat temu.

- Nadal jesteś w żałobie.

- Nadal go kocham.

- Przepraszam. - Jego ton był obojętny, twarz nieodgadniona. - Przykro mi również z powodu twego syna.

Eliza spuściła wzrok, nie była gotowa na współczucie z powodu Camdena. Nadal żywiła nadzieję, że do niej wróci.

- To nie twoja wina. Nie ty go do tego doprowadziłaś. Nie mogłaś go powstrzymać.

- Co? - spytała ze zdumieniem. Skąd Tegan wie o jej poczuciu winy, jej wstydzie? Niektóre wampiry z pierwszego pokolenia potrafiły czytać w myślach, ale nie zauważyła, żeby próbował ją sondować. Tylko w bardzo słabych umysłach można było czytać w otwartej księdze. - Skąd możesz...

Odpowiedź pojawiła się natychmiast. To tłumaczyło dziwne uczucie, które towarzyszyło jego dotknięciu, ten żar. Zajrzał w jej myśli. Obnażył ją wbrew jej woli.

- Przepraszam - powiedział. - Nie mam nad tym kontroli.

Eliza zamrugła zmieszana. Wiedziała, jak to jest. Jej własne zdolności telepatyczne były dla niej przekleństwem, czyniły z niej więźnia Mrocznej Przystani. Nie mogła znieść natłoku negatywnych ludzkich myśli, które zalewały ją za każdym razem, gdy wyszła na ulicę.

Ale fakt, że mieli podobne zdolności, wcale nie sprawił, że poczuła się lepiej w jego obecności. Chciała zostać sama. Zjadał ją niepokój o Camdena, przerażenie, co on tam robi jako Szkarłatny.

- Muszę iść - odparła, bardziej do siebie niż do Tegana. - Muszę... muszę się stąd wydostać. Nie mogę tu teraz być.

- Chcesz jechać do domu?

Wzruszyła ramionami, a potem pokręciła głową niepewna, czego chce.

- Gdziekolwiek - szepnęła. - Po prostu muszę stąd wyjść.

Tegan zbliżył się do niej tak szybko, że powietrze wokół niego nie zdążyło nawet drgnąć.

- Zawiozę cię - zaproponował.

- Och, nie. Nie chciałam...

Zerknęła na korytarz, z którego przyszła. Powinna odszukać Sterlinga. Nie powinna przebywać w towarzystwie tego wojownika, a już na pewno nie powinna nigdzie z nim jechać sama.

- Boisz się, że cię ugryzę, Elizo? - spytał, a jego zmysłowe usta wygięły się w leniwym uśmiechu. Po raz pierwszy okazał, że w ogóle coś czuje.

- Jest późno. - Szukała gwałtownie grzecznej wymówki. - Świt musi już być blisko. Nie chcę, żebyś ryzykował z mojego...

- Więc będę prowadził szybko. - Teraz uśmiechał się naprawdę. Ten uśmiech mówił, że zdaje sobie sprawę, iż próbuje go spławić, ale nie zamierza na to pozwolić. - Chodź. Zabieramy się stąd.

Z jakichś powodów, kiedy wyciągnął do niej rękę, wahała się tylko chwilę, czy ją przyjąć.

Rozdział 32

Dante zniknął na dłużej niż kilka minut, a czekanie wprawilo Tess w niepokój. Miała tyle pytań, tyle musiała przemyśleć. Nie mogła opanować napięcia.

Gorący prysznic w wielkiej łazience Dantego pomógł jej pozbyć się częściowo stresu. Przebrała się w czyste rzeczy, które zostawił dla niej w sypialni. Harvard obserwował ją zwinięty na łóżku, kiedy wkładała jasnobrązowe sztruksy i brązową koszulę, a potem usiadła, żeby włożyć buty.

Małe plamki krwi na noskach przypomniały jej o ataku. Zdaniem Dantego napadły ją istoty, które nie były ludźmi, tylko cierpiały na żądę czy też nałóg krwi.

Wampiry.

Musiało istnieć jakieś inne logiczne wyjaśnienie mające oparcie w faktach, a nie przesądach. Z jednej strony uważała, że to niemożliwe, ale z drugiej - nie mogła zaprzeczyć temu, co się jej przytrafiło. Naprawdę widziała, jak pierwszy napastnik zeskoczył z balkonu Bena na chodnik, płynnie jak kot. Była przytomna, kiedy razem z towarzyszem rzucili się na nią jak wściekłe zwierzęta i zaciągnęli ją do starej szopy. Przegryźli jej skórę wielkimi kłami i pili jej krew niczym potwory z horrorów.

Jak wampiry. Tak twierdził Dante. Powiedział, że tutaj jest bezpieczna. Rozejrzała się po wielkiej sypialni umeblowanej prosto i ze smakiem. Meble były ciemne, o czystych liniach. Jedyńm zbytkiem było łóżko, ogromne, z czterema kolumienkami. Dominowało w sypialni. Zaścielono je błyszczącymi jedwabnymi prześcieradłami w kolorze czerni, miękkimi jak skrzydło kruka.

Podobnie wyrafinowany gust widać było w urządzeniu przyległego salonu. Mieszkanie Dantego było wygodne i proste, jak on sam. A choć było przytulne, nie sprawiało wrażenia domu. Nie było okien, tylko kosztowne współczesne obrazy i oprawione fotografie. Nazwał to miejsce kwaterą. Tess zaczęła się zastanawiać, gdzie właściwie trafiła.

Wyszła z salonu do wyłożonego terakotą przedpokoju. Zaciekawiona otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Wszędzie biały marmur. Spojrzała najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Nikogo tylko kręty tunel z błyszczącego kamienia. Na podłodze intarsje -zachodzące na siebie figury i wiry z czarnego obsydianu, niezwykle i intrygujące.

Niektóre przypominały wzory kolorowych tatuaży na piersiach i ramionach Dantego.

Pochyliła się, żeby przyjrzeć się im bliżej. Nie zauważyła, kiedy Harvard wysunął się za nią, póki jej nie minął i nie pobiegł korytarzem.

- Harvard, wracaj! - zawołała za nim, ale pies wkrótce zniknął za zakrętem.

Cholera.

Wstała, rozejrzała się po pustym korytarzu, po czym ruszyła w pogoń. Biegła za nim jednym korytarzem, potem drugim. Za każdym razem, kiedy zbliżała się do psa, robił unik i odbiegał dalej. Jakby bawili się w berka.

- Harvard, ty mały gówniarzu, wracaj natychmiast! - zawołała ostro. Na próżno.

Zaczęła się niecierpliwic, nie była pewna, czy wolno jej tu wchodzić. Choć nie widziała kamer nadzoru, sądziła, że są ukryte w ciemnych szklanych kulach rozmieszczonych co kilka metrów na suficie i rejestrują każdy jej ruch.

Nie miała pojęcia, gdzie jest ani gdzie prowadzą te korytarze. Miejsce, które Dante nazywał domem, wyglądało jak jakaś agencja rządowa. W jakiś sposób potwierdzało to jego słowa o niewidzialnej wojnie i grasowaniu niebezpiecznych stworzeń nocnych.

Korytarz skręcił ostro w prawo. Znalazła się w innym skrzydle kwatery. Tu wreszcie Harvard musiał się zatrzymać. Drogę zablokowały mu podwójne drzwi. Na wysokości oczu znajdowały się w nich małe okienka z mlecznego szkła.

Tess podeszła ostrożnie, nie chcąc przestraszyć psa i sprowokować do dalszej ucieczki. Nie miała pojęcia, co znajduje się za tymi drzwiami. Panowała cisza, nie było nic, prócz białego marmuru. Czowała lekki zapach środków dezynfekcyjnych. Gdzieś niedaleko słychać było ciche popiskiwanie aparatury medycznej i jakiś inny, rytmiczny szczeł, którego nie potrafiła zidentyfikować.

Czyżby to był szpital? Ale w środku było za cicho, żeby mogli się tam znajdować pacjenci, nie widać było też opiekującego się nimi personelu. W ogóle nikogo nie było.

- Chodź tu, ty mała bestio - szepnęła, schylając się, żeby podnieść Harvarda.

Przytrzymując go mocno przy piersi, lekko pchnęła skrzydło drzwi i zajrzała do środka. Światła były tu przygaszone, panował półmrok. Po obu stronach korytarza widziała rzędy zamkniętych drzwi. Wśliznęła się do środka i zrobiła kilka kroków.

Natychmiast odnalazła źródło popiskiwanego. Na ścianie po lewej znajdował się panel sterujący. Wszystkie kontrolki były zgaszone z wyjątkiem kilku w dolnej części tablicy. Miała wrażenie, że to system monitorowania rytmu serca, choć nigdy podobnego nie widziała. Z jednego z pokoi dochodził jednostajny szczeł.

- Halo? - zawołała w pustą przestrzeń. - Czy ktoś tu jest?

Kiedy tylko słowa spłynęły z jej warg, wszystkie dźwięki ucichły, łącznie z popiskiwaniami tablicy kontrolnej, na której zgasły wszystkie światełka. Ktoś je odłączył w tamtym pokoju.

Poczuła niepokój, Harvard zaczął cicho skomleć. Nagle wyrwał się jej, zeskoczył na podłogę i uciekł na korytarz. Tess nie potrafiła nazwać strachu, który ją ogarnął, ale nie zamierzała tak stać i beczynie czekać.

Ruszyła ku drzwiom, cały czas odwracając się przez ramię, żeby widzieć korytarz za plecami. Nagle poczuła zimny powiew na karku.

- Boże - jęknęła pod nosem, coraz bardziej zaniepokojona.

Wyciągnęła rękę, żeby pchnąć drzwi, i aż podskoczyła. Trafiła dłonią na coś ciepłego i nieruchomego. Odwróciła głowę zaszokowana. Ujrzała straszliwie pokiereszowaną twarz i tors wielkiego muskularnego mężczyzny.

Nie, nie mężczyzny.

Potwora, z wielkimi kłami i dziko płonącymi bursztynowymi oczami, takimi jak u tych, którzy zaatakowali ją na ulicy.

Wampira. Umysł Tess nagle zalały wspomnienia z wcześniejszego ataku: silne palce wbijające się brutalnie w jej ciało, ciężar przytrzymujący ją na ziemi, ostre zęby rozrywające skórę. Okropne, zwierzęce pochrząkiwania i upiorne chleptanie... Ujrzała przed oczami zalany chodnik blaskiem księżyca, ciemny zaułek, zrujnowaną szopę, w której omal nie umarła.

A potem, równie nagle i z niewiadomych powodów, zobaczyła mały magazyn na tyłach swojej lecznicy. Na podłodze leżał duży mężczyzna o ciemnych włosach. Krwawił. Umierał, był ciężko ranny. Wyciągnęła do niego rękę...

Nie, to nie było jej wspomnienie. To się przecież nie zdarzyło...
prawda?

Nie dane jej było poskładać tych ułamków wspomnień w jakąś spójną całość. Wampir blokujący jej drogę ucieczki ruszył nagle do przodu, przekrzywił głowę i wbił w nią pełen furii wzrok. Jego wielkie białe kły mogły bez trudu rozerwać ją na kawałki.

Dante stał w gabinecie w mieszkaniu Gideona i Savannah, czekając na opinię towarzysza o pendrivie, który Tess miała w kieszeni kurtki.

- Myślisz, że zdołasz go otworzyć, Gid?

- Proszę, nie żartuj. - Gideon rzucił mu przez ramię pełne przygany spojrzenie. Mówił z przesadnie silnym angielskim akcentem. Już zdążył podłączyć urządzenie do komputera, a jego palce tańczyły na klawiaturze. - Włamałem się do bazy FBI, CIA, do naszej własnej bazy osobowej, chyba do wszystkich baz, jakie istnieją. To bułka z masłem.

- Tak? To daj mi znać, jak coś znajdziesz. Muszę lecieć. Zostawiłem Tess samą...

- Nie tak szybko - zaprotestował Gideon. - Zaufaj mi, to nie potrwa długo, może pięć minut. Chodź, założymy się. Daj mi dwie i pół minuty.

Savannah ubrana w ciemne dżinsy i czarny wełniany sweter, opierała się o zabytkowe mahoniowe biurko. Słyszając słowa Gideona, uśmiechnęła się i przewróciła oczami.

- Uwielbia się popisywać.

- Byłoby to dużo łatwiej znieść, gdyby nie miał zawsze racji - zgodził się Dante.

Savannah zaczęła się śmiać.

- Witaj w moim świecie.

- Szkoda, że nie potrafisz odczytywać dotykiem plików komputerowych - dodał. - Wtedy nie musielibyśmy znosić tego faceta.

- Niestety - zaprzeczyła. - Psychometria nie działa w ten sposób, przynajmniej nie moja. Mogę ci powiedzieć, co miał na sobie Ben Sullivan, kiedy trzymał w ręku ten dysk, opisać pokój, w którym był, stan jego umysłu, ale nie mogę dotrzeć do obwodów elektronicznych. Tu musimy pokładać nadzieję w Gideonie.

Dante wzruszył ramionami.

- Czyli mamy pecha?

Gideon wpisał ostatnią linijkę kodu, po czym rozparł się na krześle i założył ręce za głowę.

- Wszedłem. Dokładnie w minutę i czterdzieści dziewięć sekund.

Dante podszedł bliżej.

- I co tam mamy?

- Dane. Arkusze kalkulacyjne. Wykresy. Receptury. - Gideon przesunął myszą po liście plików i kliknął w jeden. - Ktoś potrzebuje przepisu na karmazyn?

- Myślisz, że to receptura?

- Mogę się założyć. - Gideon zmarszczył brwi, otworzył więcej plików. - Ale mamy tu więcej niż jedną formułę. Nie wiadomo, która jest właściwa, chyba że dobędziemy składniki i spróbujemy je przetestować.

Dante przesunął ręką po włosach i zaczął spacerować po pokoju. Chciałby się dowiedzieć więcej o formułach, które Ben Sullivan zapisał na dysku, ale równocześnie bardzo pragnął wrócić już do siebie. Wyczuwał niepokój Tess, więzy krwi zespoliły ich niewidzialną nicią, jakby byli jednością.

- Jak ona się miewa? - spytała Savannah, najwyraźniej zauważywszy jego niepokój.

- Lepiej - odparł. - Ocknęła się i dochodzi do siebie. Fizycznie nic jej nie dolega. A jeśli chodzi o resztę, próbowałem jej wszystko wyjaśnić, ale nadal jest zagubiona.

Savannah kiwnęła głową.

- Kto by nie był. Myślałam, że Gideon to wariat, kiedy mi to wszystko powiedział.

- Nadal uważasz mnie za wariata, kochana, myślisz, że nie wiem? Na tym polega mój urok. - Nie prze-stając pisać na klawiaturze, Gideon pochylił się ku niej i udał, że chce ją ugryźć w odziane w dzinsy udo.

Oganiając się od niego, Savannah opuściła miejsce przy biurku i podeszła do Dantego, który wydeptywał pracowicie ścieżkę w jej dywanie.

- Myślisz, że Tess jest głodna? Zaczęłam właśnie szykować śniadanie dla mnie i dla Gabrielle. Mogę przygotować tacę i dla Tess, będziesz mógł jej zanieść.

- Świetnie. Dzięki Savannah.

Boże, nawet nie pomyślał, że Tess musi przecież jeść. Ładny z niego partner, nie ma co. Ledwie potrafi zadbać o siebie, a teraz będzie

musiał myśleć o Dawczyni Życia, która ma ludzkie potrzeby, wykraczające poza jego doświadczenia. Kiedyś takie myśli by go spłoszyły, teraz uznał je niemal za... przyjemne? Chciał dbać o Tess na wszelkie możliwe sposoby. Chciał ją chronić, sprawić, by była szczęśliwa, rozpieszczać ją jak księżniczkę.

Po raz pierwszy w swoim długim życiu czuł, że ma prawdziwy cel. Nie honor i obowiązek, które kierowały nim jako wojownikiem, ale coś równie ważnego i prawego. Coś, co odwoływało się do istoty jego męskości.

Miał wrażenie, że ta więź, ta miłość, którą czuł do Tess, jest dość silna, by mógł zapomnieć o śmierci, która go prześladowała. Obudziła się w nim nadzieja, chciał wierzyć, że przy boku Dawczyni Życia może znaleźć sposób na uniknięcie przeznaczenia.

Ale nim zdążył się nacieszyć tą wątłą nadzieją, nagle do jego uszu dobiegł krzyk. Tylko on go usłyszał, gdyż ani Savannah, ani Gideon nie zareagowali. Serce zamarło mu w piersi.

Krzyk rozległ się znowu. Dante zaczął się trząść.

- Tess!

- Co się dzieje? - Savannah zatrzymała się w pół drogi do kuchni. - Dante?

- To Tess. - Skoncentrował się na niej, usiłując ją znaleźć. - Jest gdzieś w kwaterze, chyba w ambulatorium.

- Mam podgląd. - Gideon szybko wywołał obraz z jednej z kamer na korytarzu. - Mam ją. O cholera. Wpadła na Rio. Przyparł ją do ściany i...

Dante rzucił się biegiem, nim jeszcze przebrzmiały słowa Gideona. Nie musiał nawet spojrzeć w monitor, żeby wiedzieć, gdzie jest Tess i co ją tak przeraziło. Wypadł z mieszkania Savannah i Gideona i rzucił się w stronę serca kwatery. Znał ją jak własną kieszeń, pobiegł więc najkrótszą drogą, wykorzystując całą szybkość daną wampirom.

Usłyszał głos Rio, jeszcze nim dotarł do podwójnych drzwi prowadzących do ambulatorium.

- Zadałem ci pytanie, kobieto. Co ty tu robisz?

- Zostaw ją! - krzyknął, wpadając do ambulatorium. Miał wielką nadzieję, że nie będzie się musiał bić z towarzyszem. - Cofnij się, Rio. Już.

- Dante! - zawołała Tess. Oddychała szybko ze strachu. Jej twarz była szara jak popiół, trzęsła się cała. Rio przyparł ją do ściany, wręcz emanował nienawiścią.

- Puść ją - nakazał Dante.

- Uważaj. Zabije cię!

- Nie, nic mi nie zrobi. Wszystko w porządku, Tess.

- Ta kobieta tu nie należy - zawarczał Rio.

- Ja mówię, że należy. Cofnij się i puść ją.

Rio odprężył się odrobinę i spojrzał na Dantego. Trudno było sobie przypomnieć, jak wyglądał kiedyś, nim wpadli w zasadzkę, w której odniósł straszliwe rany i fizyczne, i psychiczne. Niegdyś atrakcyjna twarz Hiszpana, zawsze uśmiechnięta, pokryta była teraz straszliwymi bliznami. Opuściła go wszelka radość, a jego furia chyba nigdy nie osłabnie.

Dante stanął tuż przed nim, patrząc nie na blizny na policzkach i czole, ale w niemal szalone oczy, które tak bardzo przypominały Szkarłatnego, że sam przez chwilę miał wątpliwości.

- Powiedziałem, cofnij się - zawarczał. - Ta kobieta jest moja. Należy do mnie, rozumiesz?

W bursztynowych oczach pojawił się cień zrozumienia, przeblask świadomości, skruchy i żalu. Rio cofnął się, oddychał ciężko przez otwarte usta.

- Tess, już dobrze. Podejdz do mnie. Sapnęła niepewnie, nie była w stanie się ruszyć. Dante wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, aniele. Wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna, przysięgam.

Zebrała się na odwagę, odsunęła się od Rio i podała rękę Dantemu. Przyciągnął ją do siebie i pocałował, pełny ulgi, że ma ją przy sobie.

Kiedy Rio oparł się o ścianę i osunął powoli na podłogę, puls Dantego niemal się wyrównał. Tess była nadal zdenerwowana i drżała, a choć nie sądził, by Rio stanowił dla niej zagrożenie, szczególnie że jasno się wyraził, to jednak czuł, iż mają kryzys.

- Zostań tutaj. Pomogę Rio wrócić do łóżka.

- Zwariowałaś? Dante, musimy stąd uciekać! On nam zaraz rozszarpie gardła!

- Nie, nic mi nie zrobi. - Wytrzymał niespokojne spojrzenie Tess i podszedł do Rio skulonego na podłodze. - Ani tobie. Nie wiedział,

kim jesteś, a przydarzyło mu się coś bardzo złego i nie ufa kobietom. Uwierz mi, to nie jest potwór.

Tess zagapiła się na Dantego, jakby stracił rozum.

- A te kły? Te oczy? To jeden z tych, co mnie zaatakowali!

- Nie. On tylko tak wygląda, ponieważ jest zły i cierpi. Ma na imię Rio. To wojownik tak jak ja.

- To wampir - powiedziała łamiącym się głosem. -Wampir.

Cholera, naprawdę nie chciał, żeby dowiedziała się prawdy w ten sposób. Bóg mu świadkiem, sądził, że zdoła wprowadzić ją łagodnie do swojego świata, który należał teraz do nich obojga. Miał nadzieję, że zdoła jej wytłumaczyć, iż nie musi się bać wampirów i wyjaśnić, jaką rolę odgrywa jako Dawczyni Życia. Jako jedyna kobieta, której pragnie u swojego boku.

Ale wszystko działo się za szybko. Te wszystkie tajemnice i półprawdy tkwiły między nimi. Jej oczy były pełne paniki, błagały, by nadał jakiś sens tym dziwacznym zdarzeniom.

- Tak - przyznał, nie chcąc jej dalej okłamywać. -Rio jest wampirem. Ja również.

Rozdział 33

Żołądek Tess podskoczył nieprzyjemnie.

- Co... coś ty powiedział?

Dante spojrział na nią. Jego oczy w kolorze whisky były stanowczo zbyt poważne, zbyt spokojne.

- Należę do rasy. Jestem wampirem.

- O Boże - jęknęła. Poczowała, jak z przerażenia i obrzydzenia dostaje gęziej skórki.

Nie chciała w to uwierzyć. Nie wyglądał jak te stworzenia, które ją zaatakowały, czy człowiek, który leżał teraz na podłodze zwinięty w kłębek. Ale ton jego głosu był taki normalny, taki konkretny, że to musiała być prawda. Może po raz pierwszy, odkąd go poznała, był z nią szczery.

- Okłamałeś mnie. Przez cały czas kłamałeś.

- Chciałem ci powiedzieć, Tess. Próbowałem znaleźć odpowiednie słowa, żeby...

- Żeby wyznać, że jesteś potworem? I że wykorzystywałeś mnie, żeby razem z kumplami dobrać się do Bena i go zabić?

- Nie zabiliśmy tego człowieka, przysięgam. Ale to nie znaczy, że tego nie zrobię, jeśli będę musiał. I masz rację, początkowo chciałem się dowiedzieć, czy jesteś zamieszana w handel karmazynem. Myślałem, że będziesz użyteczna i dostarczysz nam informacji o działaniach Sullivana. To była moja misja, Tess. Ale potrzebowałem twojego zaufania również po to, żebym mógł cię chronić.

- Nie potrzebuję twojej ochrony.

- Owszem, potrzebujesz.

- Nie. - Strach sprawił, że nagle zobojętniała. - Muszę stąd wyjść, znaleźć się jak najdalej od ciebie.

- Tess, najbezpieczniejsza jesteś tutaj, ze mną. Kiedy do niej podszedł, wyciągając ręce, prosząc go o zaufanie, cofnęła się gwałtownie.

- Trzymaj się ode mnie z daleka. Mówię serio, Dante. Odejdź!

- Nie zamierzam cię skrzywdzić. Słowo honoru.

Kiedy to powiedział, nagle znów ujrzała przed oczami ten obraz. Znów była w magazynku, w swojej lecznicy, kucała obok ciężko rannego człowieka, który jakimś cudem dostał się tutaj w halloweenową noc. Wtedy był to ktoś obcy. Ale nie teraz.

Ujrzała twarz Dantego pochłapaną krwią i brudną. Włosy ociekały mu wodą, były przyklepione do czoła. Jego usta poruszały się, wypowiadały te same słowa, które usłyszała przed chwilą.

„Nie zamierzam cię skrzywdzić. Słowo honoru”.

Nagle przypomniała sobie jego silne ręce na ramionach. I wielkie białe kły, które zbliżały się do jej gardła.

- Nie znałem cię wtedy - wyjaśnił Dante, jakby czytał w jej myślach. - Byłem osłabiony i ciężko ranny. Chciałem wziąć od ciebie tylko to, czego potrzebowałem, i zostawić cię w spokoju. Nie cierpiałabyś, nic by ci się nie stało. Nie miałem pojęcia, co zrobiłem, póki nie zobaczyłem twojego znamienia.

- Ugryzłeś mnie... O Boże, piłeś wtedy moją krew? Jak... dlaczego dopiero teraz to sobie przypominam?

Rysy jego twarzy złagodniały nieco, jakby w poczuciu winy.

- Wymazałem ci to z pamięci. Próbowałem ci wszystko wyjaśnić, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. Walczyliśmy i wstrzyknęłaś mi środek usypiający. Kiedy się ocknąłem, był świt i nie było już czasu na rozmowy. Uznałem, że będzie najlepiej, jeśli o wszystkim zapomnisz. Potem zobaczyłem na twojej ręce znamię... Nie da się cofnąć tego, co ci zrobiłem.

Tess nie musiała patrzeć na swoją dłoń, żeby wiedzieć, o czym mówi. Ten mały pieprzyk zawsze budził jej ciekawość, kropla nad miseczką utworzoną przez odwrócony półksiężyc. Ale nadal nie miało to dla niej żadnego sensu.

- Bardzo niewiele kobiet ma takie znamię, Tess. Jesteś Dawczynią Życia. Jeśli ktoś z mojej rasy wypije twoją krew albo da ci swoją, tworzy się więź, której nie można zerwać.

- A ty... ty mi to zrobiłeś?

W jej umyśle pojawiło się kolejne wspomnienie, krwi i ciemności. Przypomniała sobie ten mroczny sen, usta pełne płynnej energii. Umierała z pragnienia, a Dante ją poił. Z nadgarstka, a potem z żyły na szyi.

- O mój Boże - szepnęła. - Co ty mi zrobiłeś?

- Ocaliłem ci życie, dając ci krew. Tak jak wcześniej ty to zrobiłaś.

- Nie dałeś mi wyboru! Kim ja teraz jestem? Zmieniłeś mnie w takiego samego potwora jak ty? - Nie. To nie tak działa. Nigdy nie staniesz się wampirem. Ale jeśli będziesz regularnie piła moją krew, będziesz żyła bardzo, bardzo długo. Tak długo jak ja. Może dłużej.

- Nie wierzę. Nie chcę w to wierzyć! Odwróciła się do drzwi i pchnęła je gwałtownie.

Nie otworzyły się. Pchnęła ponownie, z całych sił. Nic. Zupełnie jakby się zacięły.

- Wypuść mnie stąd - zażądała, podejrzewając, że przytrzymuje je siłą woli. - Do cholery, Dante, wypuść mnie!

Kiedy tylko drzwi się poddały, otworzyła je i zaczęła biec. Nie miała pojęcia, dokąd ucieka, i nic jej to nie obchodziło, chciała tylko znaleźć się jak najdalej od Dantego, mężczyzny, którego tylko myślała, że zna. Mężczyzny, w którym się zakochała. Potwora, który zdradził ją bardziej niż ktokolwiek w całym jej przeklętym życiu.

Było jej niedobrze ze strachu, była wściekła na własną głupotę. Siłą powstrzymała łzy. Biegła z całych sił, wiedząc, że Dante i tak ją dogoni. Musi wydostać się z tego miejsca. Kiedy znalazła się przy windach, nacisnęła przycisk i modliła się, żeby drzwi się zaraz otworzyły. Mijały sekundy... zbyt wiele, żeby mogła zaryzykować czekanie.

- Tess! - Głęboki głos Dantego ją zaskoczył. Był tak blisko, stał tuż za nią, choć nie słyszała, jak się zbliżał.

Krzyknęła, uniknęła jego ręki i rzuciła się biegiem kolejnym krętym korytarzem. Przed sobą zobaczyła zwieńczone łukiem przejście. Może zdoła się ukryć w tym pomieszczeniu? Desperacko szukała sposobu ucieczki przed koszmarem, który ją ścigał. Wbiegła do ciemnej sali. Miała wrażenie, że to jakaś kaplica o ścianach z ciosanego kamienia, oświetlona jedynie pojedynczą czerwoną świecą palącą się koło pustego ołtarza. Nie było się gdzie ukryć. Po obu stronach przejścia stały ławki, a na końcu sali znajdowało się kamienne podwyższenie. Naprzeciwko zobaczyła kolejne łukowate przejście, a za nim ciemność. Nie miała pojęcia, dokąd prowadzi, zresztą było to i tak bez znaczenia. Dante stał w progu; nigdy jeszcze nie sprawiał wrażenie aż tak muskularnego. Wszedł do kaplicy i zaczął się do niej powoli zbliżać.

- Tess, nie musimy się tak zachowywać. Porozmawiajmy. - Zawahał się nagle, skrzywił i uniósł rękę do skroni, jakby poczuł ból. Kiedy znów się odezwał, jego głos był o oktawę wyższy, brzmiał jak warczenie. - Chryste, czy nie możemy po prostu... Bądźmy rozsądni, rozwiążmy to jakoś.

Tess cofała się w stronę drugiego wyjścia z kaplicy.

- Do cholery, Tess, wysłuchaj mnie! Kocham cię.

- Nie mów tego. Nie dość mi już nakłamałeś?

- To nie kłamstwo. Chciałbym, żeby tak było, ale... Postąpił kolejny krok, a potem nagle ugięły się pod nim kolana. Zasycał, chwycił się drewnianej ławki tak mocno, że drewno powinno pęknąć pod naciskiem jego palców.

Coś dziwnego działo się z jego twarzą. Nim głowa opadła mu na piersi, zobaczyła, że rysy mu się wy-ostrzyły, policzki zapadły, owal twarzy stał się bardziej kwadratowy, a skóra napięła się na kościach. Zaklął, choć nie rozpoznała słów.

- Tess... musisz mi zaufać - wychrypiał.

Była coraz bliżej wyjścia, szukała go, przesuwając ręką po ścianie za sobą. Wreszcie je odnalazła. Ciemna nicość i lekki, zimny powiew, który chłodził jej plecy. Odwróciła głowę, by spojrzeć.

- Tess! Dante musiał wyczuć jej ruch, ponieważ gdy na niego spojrzała, uniósł głowę i zajrzał jej w oczy. Ich ciepły brąz zmienił się w dziki blask, źrenice skurczyły mu się w pionowe kreski. Patrzyła przerażona na tę transformację.

- Nie odchódź - wydyszał przez długie, ostre kły. - Nic ci nie zrobię.

- Za późno, Dante. Już mi zrobiłeś - szepnęła. Znów zaczęła się cofać, prosto w przejście. W ciemności rozróżniła schody prowadzące stromo w górę. Nie miała innej drogi ucieczki. Postawiła stopę na pierwszym stopniu.

- Tess!

Nie obejrzała się. Wiedziała, że nie może, ponieważ jeśli to zrobi, nie znajdzie w sobie dość odwagi, by go opuścić. Wspięła się niepewnie wyżej, a potem zaczęła biec, najszybciej jak mogła.

Za sobą, w dole, usłyszała pełen cierpienia ryk Dantego, odbijający się echem od ścian kaplicy i ciemnej klatki schodowej. Przeszywał ją do szpiku kości, ale się nie zatrzymała. Wbiegała po schodach, które zdawały się nie mieć końca, aż dotarła do stalowych drzwi na szczycie. Położyła na nich ręce i pchnęła.

Otoczyła ją jasność. Zimny listopadowy wiatr porywał z trawnika suche liście. Puściła drzwi, które zamknęły się za nią z hukiem. Potem objęła się rękami i ruszyła biegiem w jasny mroźny poranek.

Dante padł na podłogę, obezwładniony przez swój koszmar. Wizja śmierci nadeszła nagle, z całą siłą.

Kiedy Tess uciekła, zrobiło się jeszcze gorzej. Usłyszał huk zatraskających się zewnętrznych drzwi, a krótki rozbłysk światła w wyjściu na schody uświadomił mu, że nawet gdyby zdołał opanować wizję, promienie słoneczne uniemożliwią mu pogoń za Tess.

Zapadł się głębiej w otchłań koszmaru, wokół niego kłębił się czarny dym. Dusił się, nie miał czym oddychać. Z sufitu zwisała rozbita czujka pożarowa, milcząca i bezużyteczna.

Do jego uszu dobiegał trzask przewracanych mebli, jakby pomieszczenie demolowała armia maruderów. Wokół siebie widział otwarte szafki, ich zawartość rozrzucona była po podłodze.

Poruszał się teraz, szedł po tych szczątkach do zamkniętych drzwi po drugiej stronie pomieszczenia. Uświadomił sobie nagle, że zna to miejsce.

Był w lecznicy Tess.

Ale gdzie jest Tess?

Poczuł, że boli go całe ciało, że jest znużony, że idzie z trudem. Nim dotarł do drzwi, ktoś je otworzył. Z dymu wynurzyła się znajoma twarz.

- Patrzcie, kogo tu mamy - powiedział Ben Sullivan, wchodząc do środka z kablem telefonicznym w dłoni. - Śmierć w pożarze jest naprawdę paskudna. Oczywiście, jeśli nawdychasz się dość dymu, prawie nie poczujesz płomieni.

Dante wiedział, że nie powinien się bać, ale gdy jego przysły kat wszedł do gabinetu i chwycił go z zaskakującą siłą, poczuł przerażenie. Próbował się wyrwać, ale ciało przestało go słuchać. Jego wysiłki tylko spowolniły nieco Sullivana. Nagle Ben wziął zamach i powalił go ciosem w szczękę.

Obraz zrobił się niewyraźny. Kiedy Dante znów otworzył oczy, leżał na brzuchu na zimnym stole do badań, a Ben Sullivan wiązał mu kablem ręce na plecach. Dante wiedział, że powinien być w stanie rozerwać te więzy, ale nie mógł. Sullivan unieruchomił mu również nogi.

- Wiesz co? Myślałem, że zabicie cię będzie trudne - szepnął mu do ucha handlarz karmazynu. Te same słowa Dante usłyszał podczas poprzedniej wizji. - Ale okazuje się, że to łatwe. Przez ciebie.

Tak jak poprzednio, Sullivan obszedł stół i pochylił się nad Dantem. Złapał go za włosy i uniósł jego głowę z zimnego stołu. Dante zobaczył na ścianie zegar, była jedenasta trzydzieści dziewięć. Starął

się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Wiedział, że będą mu potrzebne, kiedy wizja zmieni się w rzeczywistość, że może zdoła je wykorzystać na swoją korzyść. Nie miał pojęcia, czy można oszukać przeznaczenie, ale zamierzał spróbować.

- To nie musiało tak się skończyć - mówił Sullivan. Pochylił się na tyle blisko, by Dante dostrzegł jego puste oczy sługi. - To wszystko twoja wina. Możesz mi podziękować, że nie oddaję cię Panu.

Sullivan puścił włosy Dantego, którego głowa opadła na stół. Kiedy sługa wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi, Dante otworzył oczy i zobaczył swoje odbicie w metalowym blacie, na którym leżał.

Nie, nie swoje odbicie.

Odbicie Tess.

To nie jego ciało leżało związane na stole, tylko jej.

To nie swoją okropną śmierć przeżywał w koszmarach przez wszystkie te lata. To była śmierć jego Dawczyni Życia, kobiety, którą kochał.

Rozdział 34

Tess dotarła do miasta w stanie zubożenia. Bez torebki, płaszcza czy choćby komórki, miała niewiele możliwości. Boże, nie miała nawet klucza do własnego mieszkania! Zdyszana, zagubiona, kompletnie wyczerpana przeżyciami, odszukała budkę telefoniczną. Modląc się, żeby telefon działał, podniosła słuchawkę. Był sygnał, więc wcisnęła zero i poczekała na zgłoszenie się telefonistki.

- Połączenie na koszt odbiorcy - wydyszała w słuchawkę, po czym podała numer lecznicy. Telefon dzwonił i dzwonił. Nikt nie odbierał.

Kiedy włączyła się poczta głosowa, telefonistka przerwała połączenie.

- Przykro mi, nikt nie odbiera.

- Chwileczkę - powiedziała Tess, czując coraz większy niepokój. - Możemy spróbować jeszcze raz?

- Proszę.

Telefon znów zaczął dzwonić. Nikt nie odbierał.

- Przykro mi - stwierdziła znów telefonistka i zakończyła połączenie.

- Nie rozumiem - wymamrotała do siebie Tess. - Może mi pani powiedzieć, która jest godzina?

- Dziesiąta trzynaste. Nora robiła sobie przerwę dopiero w południe, nigdy też nie chorowała, więc dlaczego nie odbiera telefonu? Coś się musiało stać.

- Może mnie pani połączyć z innym numerem?

- Oczywiście.

Tess podała numer domowy Nory, a kiedy i tam nikt się nie zgłosił, jej komórkę. Jednak Nora nie odbierała. Serce zabiło w piersi Tess. Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

Pełna przerażenia wyszła z budki telefonicznej i ruszyła ku najbliższej stacji metra. Nie miała nawet dolara i dwudziestu pięciu centów na bilet na North End, ale jakaś staruszka zlitowała się nad nią i dała jej garść drobnych.

Podróż do domu zabrała wieki. Tess miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, jakby nie przynależała do tego świata. Jakby wyczuwali, że została odmieniona, że tu nie jest jej miejsce. Że nie jest już człowiekiem.

Może rzeczywiście już nim nie była, pomyślała. Głowę miała pełną tego, co powiedział jej Dante, wszystkiego, co widziała i przeżyła przez ostatnich kilka godzin. Przez ostatnich kilka dni, poprawiła się

w myślach, od tej halloweenowej nocy, kiedy tak naprawdę po raz pierwszy zobaczyła Dantego.

Kiedy zatopił kły w jej gardle i wywrócił cały jej świat do góry nogami.

Ale może była wobec niego sprawiedliwa? W zasadzie nie pamiętała, żeby czuła się kiedyś częścią normalnego świata. Zawsze czuła się... inna. Jej niezwykła zdolność izolowała ją od ludzi nawet bardziej niż trudna przeszłość. Zawsze wiedziała, że nie pasuje, że nie przynależy, nie potrafiła nikomu zaufać.

Dopóki nie zjawiał się Dante. Na tyle rzeczy otworzył jej oczy. Sprawił, że zaznała pożądania, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Nappełnił ją nadzieją, że zdobędzie rzeczy, o których dotąd tylko marzyła. Przy nim czuła się bezpieczna, rozumiana. A przede wszystkim kochana.

Ale to wszystko opierało się na kłamstwach. Teraz, kiedy poznała prawdę, choć nadal wydawała się jej niewiarygodna, będzie musiała to wszystko odrzucić. Będzie udawać, że się nie zdarzyło.

Wampiry i więzy krwi. Wojna między stworzeniami, które istniały tylko w królestwie fantazji, w koszmarach.

A jednak była to prawda.

Rzeczywistość.

Taka sama, jak jej uczucia do Dantego, przez które jego oszustwo bolało jeszcze bardziej. Kochała go i nigdy wcześniej nic nie przerażało jej równie mocno jak to uczucie. Zakochała się w niebezpiecznym wojowniku. W wampirze.

Przytłoczyła ją ta świadomość, kiedy wysiadła z metra i wyszła na ulice North Endu. Okoliczne sklepy były już otwarte, przy stoiskach na zewnątrz uwijali się klienci. Tess minęła grupę turystów, która wybierała jesienne melony i kabaczki. Trzęsła się z zimna, które miało niewiele wspólnego z temperaturą powietrza.

Im bliżej była domu, tym większe ogarniało ją przerażenie. Jeden z lokatorów wyszedł właśnie z kamienicy. Choć nie znała tego starszego człowieka z nazwiska, uśmiechnął się do niej i przytrzymał dla niej drzwi wejściowe. Weszła na klatkę schodową i skierowała się na piętro. Nim jeszcze dotarła do drzwi mieszkania, zorientowała się, że ktoś się włamał. Framuga była wyrzuszona w okolicach zamka, jakby ktoś wylamał drzwi łomem, a potem zamknął je, żeby wszystko wyglądało normalnie.

Zamarła, panika omal jej nie zadusiła. Cofnęła się, gotowa rzucić się do ucieczki, ale wpadła na coś plecami. Ktoś stał tuż za nią, silne ramię chwyciło ją w talii, pozbawiając równowagi. Poczowała na szyi zimne ostrze noża.

- Dzień dobry, doktoro. Najwyższa pora, żebyś się pokazała.

- Dante, nie mówisz serio.

Choć wszyscy wojownicy, łącznie z Chase'em zebrali się w sali treningowej i przyglądali się, jak szykuje się do walki, to Gideon zaprotestował pierwszy.

- Wyglądam, jakbym się wygłupiał? - Dante wyciągnął z szafki pistolet i garść amunicji. - Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny.

- Może nie zauważyłeś, ale jest już dziesiąta rano. Na dworze jest widno!

- Wiem.

Gideon zaklął pod nosem.

- Usmażysz się, stary.

- Nie, jeśli będę uważał.

Dante urodził się w XVIII wieku i choć według ludzkich standardów był niewiarygodnie stary, jako wampir uchodził za młodzieńca, a od Prastarych oddzielało go wiele pokoleń. Dzięki temu jego skóra nie była tak wrażliwa na promienie słoneczne jak ich. Nie mógł przebywać na słońcu bardzo długo, ale bez większej szkody dla organizmu mógł przyjąć niewielką dawkę ultrafioletu.

Dla Tess gotów był wejść w sam środek słońca, jeśli miałoby to ocalić ją przed okrutną śmiercią.

- Posłuchaj mnie. - Gideon położył rękę na ramieniu Dantego, żeby zwrócić jego uwagę. - Może i nie jesteś tak wrażliwy na ultrafiolet jak wampiry z pierwszego pokolenia, ale należysz do rasy. Jeśli będziesz na słońcu przez trzydzieści minut, zostanie z ciebie grzanka.

- Nie zamierzam podziwiać widoków - odparł Dante niezachwiany w swoim postanowieniu. Wyciągnął z szafki kolejny pistolet. - Wiem, co robię. Nie mam innego wyjścia.

Powiedział im, co zobaczył w wizji, po której nadal krajało mu się serce. Umierał na samą myśl o tym, że pozwolił Tess wyjść z kwatery, że nie był w stanie jej zatrzymać. Że może właśnie w tej chwili cierpi, a jego wampirze geny zmuszają go do krycia się pod ziemią.

- A jeśli godzina, którą widziałeś, to nie południe tylko północ? - spytał Gideon. - Nie masz pewności, że to się wydarzy rano. Może niepotrzebnie ryzykujesz...

- A jeśli zaczekam i okaże się, że się myliłem? - Dante pokręcił głową. Próbował się do niej dodzwonić, ale ani w mieszkaniu, ani w lecznicy nikt nie odbierał, a ból w piersiach podpowiadał mu, że nie ignorowała go z wyboru. Nawet bez tej koszarnej wizji wiedział, że jego Dawczyni Życia jest w niebezpieczeństwie. - Nie, do diabła, nie zamierzam tu siedzieć i czekać do wieczora. Ty byś zaczekał, Gid? Gdyby Savannah cię potrzebowała? Gdyby od tego zależało jej życie? Podjąłbyś takie ryzyko? A ty Lucanie? Gdyby to chodziło o Gabrielle?

Żaden z wojowników nie odpowiedział. Nie musiał. Jeszcze się nie narodził taki wampir, który nie przeszedłby przez ogień dla kobiety, którą kochał.

Lucan podszedł do Dantego i wyciągnął rękę.

- Dobrze oddajesz jej cześć. Dante chwycił dłoń dowódcy, swojego przyjaciela, i potrząsnął nią mocno.

- Dziękuję. Ale jeśli mam być szczery, robię to nie tylko dla Tess, ale i dla siebie. Potrzebuję jej. Stała się dla mnie...

Lucan z powagą pokiwał głową.

- Więc idź po nią bracie. Uczymy wasz związek, kiedy wrócicie bezpiecznie do kwatery.

Dante wytrzymał jego królewskie spojrzenie i powoli pokręcił głową.

- Muszę z tobą o tym porozmawiać. Z wami wszystkimi - dodał, patrząc na pozostałych wojowników. - Jeśli przeżyję tę wyprawę, jeśli uda mi się uratować Tess i jeśli mnie przyjmie, zamierzam się przenieść do Mrocznej Przystani.

Odpowiedziała mu długa cisza. Jego bracia patrzyli na niego w milczeniu.

Dante odchrząknął, wiedział, że jego decyzja musi być dla nich szokiem. Walczyli przecież razem od wieków.

- Dość już w życiu przeszła, jeszcze nim ją spotkałem i wciągnąłem w nasz świat. Zasługuje na szczęście. Zasługuje na o wiele więcej, niż mogę jej dać. Chcę, żeby teraz była bezpieczna.

- Opuścisz dla niej Zakon? - spytał Niko, najmłodszy z wojowników. Cenił Zakon chyba jeszcze bardziej niż Dante.

- Dla niej przestanę oddychać, jeśli tego zażąda - odparł, sam zaskoczony głębią swojego oddania. Spojrzał na Chase'a, który nadal winien mu był przysługę. - Jak sądzisz? Masz jeszcze jakieś wejścia, żeby wkręcić mnie do agencji Mrocznych Przystani?

Chase uśmiechnął się złośliwie i wzruszył ramionami.

- Pewnie tak. - Podszedł do szafki i wyciągnął z niej sigę. - Ale najpierw rzeczy najważniejsze, nie uważasz? Musimy odzyskać twoją kobietę w jednym kawałku, żeby sama mogła zdecydować, czy chce za partnera takiego dupka.

- My? - spytał Dante, patrząc, jak były agent Mrocznych Przystani wyciąga kolejny półautomat.

- Tak, my. Idę z tobą.

- Co ty...?

- Ja też - powiedział Niko i otworzył swoją szafkę z bronią. Uśmiechnął się i skinął głową Lucanowi, Gideonowi i Teganowi. - Nie zostawisz mnie chyba z tymi gośćmi z pierwszego pokolenia, no nie?

- Nikt ze mną nie idzie. Nie mogę...

- Nie musisz - zapewnił go Niko. - Podoba ci się czy nie, Chase i ja wybieramy się z tobą na tę misję. Nie zrobisz tego sam.

Dante przeklął, równocześnie czuł się upokorzony i wdzięczny za to poparcie.

- No dobra. To ruszamy.

Rozdział 35

Przyciskając nóż do szyi Tess, Ben wyprowadził ją z budynku i wepchnął do samochodu czekającego na ulicy. Przyjaciół śmierdział skisłą krwią, potem i rozkładem. Ubranie miał brudne i wymięte, potargane złociste włosy zwisały mu nad czołem w tłustych strąkach. Kiedy wpychał ją na tył samochodu, Tess zauważyła jego oczy. Były puste, patrzyły na nią z zimną obojętnością, od której dostała gęsiej skórki. I w dodatku nie był sam.

W samochodzie czekali na nich dwaj ludzie. Obaj siedzieli z przodu, obaj mieli równie puste spojrzenia.

- Gdzie to jest, Tess? - zapytał Ben, zamykając i blokując drzwi samochodu. - Zostawiłem coś w lecznicy, ale teraz tego nie ma. Co z tym zrobiłaś?

Chodziło mu o tego pendrive'a, który teraz leżał w kwaterze. Choć wcześniej zwątpiła w Dantego, rozczarowanie Benem było zdecydowanie silniejsze. Popatrzyła w jego martwe oczy i pokręciła głową.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Zła odpowiedź, doktorko.

Zupełnie nie była przygotowana na uderzenie pięścią. Krzyknęła i upadła na siedzenie, przyciskając ręce do twarzy.

- Może będzie ci się lepiej myślało w lecznicy - zasugerował Ben.

Na jego polecenie kierowca wcisnął gaz i samochód wyjechał na ulicę. Kiedy jechali z North Endu do lecznicy we wschodnim Bostonie, Tess nie była w stanie skupić wzroku. Furgonetka Bena stała zaparkowana od tyłu, zaraz koło starego beetle Nory.

- O Boże - jęknęła Tess, serce jej zamarło na widok samochodu asystentki. - Coś ty jej zrobił, Ben? Powiedz mi, że nie skrzywdziłeś Nory!

- No chodź, doktorko. - Zignorował jej pytanie. Otworzył szeroko drzwi samochodu i pokiwał na nią nożem.

Tess wysiadła, jak jej kazał, i poszła za nim i jego dwoma kumplami do lecznicy. Wprowadzili ją tylnym wejściem, przez magazyn i pusty szpital dla zwierząt do recepcji. Pokój był zrujnowany, przewracano szafki z dokumentami, opróżniono szuflady, rozbito meble, na podłodze prócz papierów wałały się lekarstwa. Zniszczenie było totalne, ale dopiero kiedy Tess zobaczyła Norę, z jej gardła wyrwał się szloch.

Nora leżała na podłodze za ladą recepcji. Uniosła głowę, kiedy weszli. Miała ręce i nogi związane kablem telefonicznym i zakneblowane gazą usta. Płakała, twarz miała szarą ze strachu, oczy zapuchnięte i czerwone po godzinach tej męki. Ale żyła, i tylko dzięki temu Tess nie załamała się zupełnie.

- Och, Noro - szepnęła. - Tak mi przykro. Wyciągnę cię z tego, obiecuję.

Ben zachichotał.

- Cieszę się, że to mówisz, doktorco, ponieważ los naszej małej Nory leży w twoich rękach.

- Co? Co ty mówisz?

- Albo pomożesz mi odzyskać tego pendrive'a, albo będziesz patrzeć, jak podrzynam tej dziwce gardło.

Nora wrzasnęła przez knebel. Zaczęła się gwałtownie rzucać, na próżno usiłując się uwolnić. Jeden z kompanów Bena podszedł do niej i postawił ją na nogi, przytrzymując mocno. Przyciągnął ją bliżej, aż stanęły twarzą w twarz. Oczy Nory były pełne paniki i błagania. Trzęsła się jak liść.

- Puść ją, Ben. Proszę.

- Oddaj mi pendrive'a, a ją puszcze.

Nora jęknęła, był to dźwięk pełen desperacji. Tess spojrzała w oczy przyjaciela, zrozumiała, że mówi śmiertelnie serio i pojęła, co to strach. Ben zamierzał zabić Norę i ją zapewne również, jeśli nie da mu tego, czego szukał. Nie mogła tego zrobić, ponieważ go nie miała.

- Ben, proszę. Puść Norę. To ja zabrałam tego pen-drive'a, nie ona. Ona nie jest w to zamieszana...

- Powiedz, gdzie go schowałaś, a może pozwolę jej odejść. No jak doktorco, tak będzie sprawiedliwie?

- Nie mam go - wymamrotała. - Znalazłam go, ale już go nie mam.

Wbił w nią puste spojrzenie, drgnęły mu mięśnie twarzy.

- Co z nim zrobiłaś?

- Puść ją - błagała. - Puść ją, a powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Kącik ust Bena uniósł się w zimnym uśmiechu. Spojrzał na nóż, który trzymał w dłoni. Jednym błyskawicznym ruchem odwrócił się i pchnął nim Norę w brzuch.

- Nie! - krzyknęła Tess. - O Boże, nie! Ben odwrócił się do niej z powrotem.

- To tylko rana w brzuch. Przeżyje, jeśli wkrótce otrzyma pomoc, ale lepiej zacznij zaraz gadać.

Pod Tess ugięły się kolana. Nora paskudnie krwawiła, oczy uciekały jej w głąb czaszki.

- Niech cię szlag, Ben! Nienawidzę cię.

- Już mnie nie obchodzi, co do mnie czujesz, Tess. Obchodzi mnie tylko ten pendrive. No więc? Gdzie on jest?

- Dałam go komuś.

- Komu?

- Dantemu.

Na to imię w oczach Bena pojawiła się wrogość.

- Mówisz o tym facecie, który cię teraz rżnie? Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? Kim on jest?

Kiedy nie odpowiedziała, Ben pokręcił głową i zachichotał.

- No cóż, naprawdę wszystko spieprzyłaś, Tess. Teraz już nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Kiedy to powiedział, nóż znów powędrował w stronę Nory. Tess zawyła, kiedy przyjaciółka padła nieżywa na podłogę. Ben i jeden z jego towarzyszy złapali ją, nim zdążyła rzucić się ku Norze. Nim zdążyła pomyśleć, że zdoła ją ocalić dotykiem. Odciągnęli ją od ciała, przytrzymując za ręce i nogi, choć broniła się zażarcie jak zwierzę.

Ale walczyła na próżno. Chwilę później znalazła się na podłodze jednego z gabinetów, a potem usłyszała szcęk klucza przekręcanego w zamku. Ben zamknął ją tutaj, by czekała na swój los.

Nikolai pędził jak szatan, czarny SUV mknął po ulicach Bostonu z niebezpieczną prędkością. Choć pokusa obejrzenia za dnia ulic miasta, przesuwających się za przyciemnianymi szybami samochodu chroniącymi przed ultrafioletem była wielka, Dante siedział z pochyloną głową na fotelu pasażera skupiony na Tess.

Wszyscy trzej ubrani byli od stóp do głów w czarne nylonowe stroje ochronne: kombinezony, rękawiczki, kominiarki i przyciemniane gogle. Mimo to bieg od samochodu do tylnego wejścia lecznicy Tess był trudnym przeżyciem.

Dante nie tracił czasu. Poprowadził atak z bronią gotową do strzału, kopniakiem wyrywając z zawiasów drzwi magazynu. Poczul dym, Sullivan zaczął już podkładać ogień. Zrobiło się go więcej, kiedy do pomieszczenia wdarło się więcej powietrza. Nie będą mieli wiele czasu.

- Co się dzieje?

Na huk wyważanych drzwi zjawił się sługa. Niko bez chwili wahania pokazał mu, co się dzieje, ładując mu kulę w łeb.

Tu, w środku, Dante mimo dymu wyczuł krew i śmierć. Nie człowieka leżącego przed nimi na ziemi i nie Tess. Ona nadal żyła. Wyczuwał jej strach, jakby był jego własny, wyczuwał jej rozpacz i ból, które przeszywały go niczym rozgrzana stal.

- Przeszukajcie lecznicę i ugaście ogień - polecił Niko i Chase'owi. - Zabijcie wszystkich, którzy staną wam na drodze.

Tess leżała na stole do badań i próbowała się uwolnić z więzów, które krępowały jej ręce i nogi. Bez skutku. Jej walka najwyraźniej bawiła Bena.

- Dlaczego to robisz? Na litość boską, dlaczego zabiłeś Norę?
Ben mlasnęła.

- Ty ją zabiłaś, Tess, nie ja. Ty mnie do tego zmusiłaś.

Poczuła dławiącą rozpacz. Ben podszedł bliżej.

- Wiesz co? Myślałem, że zabicie cię będzie trudne - szepnął jej do ucha, jego gorący oddech cuchnął. - Ale okazuje się, że to łatwe. Przez ciebie

Patrzyła niespokojnie, jak się zbliża. Chwycił ją za włosy i uniósł jej głowę. Miał oczy martwego człowieka, był tylko pustą skorupą, a nie Benem Sullivanem, którego znała.

- To nie musiało tak się skończyć - powiedział, a jego ton był zwodniczo łagodny. - Sama to sobie zrobiłaś. Ciesz się, że nie oddałem cię Panu.

Pogładził ją po policzku. Poczuła obrzydzenie i cofnęła się. Przytrzymał ją mocniej za włosy, zmuszając, by na niego spojrzała. Kiedy pochylił się, jakby chciał ją pocałować, splunęła mu w twarz. Tylko tyle mogła zrobić.

Skuliła się w oczekiwaniu na cios, kiedy uniósł rękę.

- Typiep...

Nie miał szansy dokończyć. Przez otwarte drzwi wpadła fala zimnego powietrza. Tess ujrzała w progu potężnego ubranego na czarno mężczyznę w ciemnych goglach. Z pasa i skórzanych kabur na piersiach zwisały mu pistolety i noże.

Dante.

Poznałaby go wszędzie, nawet w takim przebraniu. Poczwała równocześnie zaskoczenie i nadzieję. Był w jej myślach, słyszała jego zapewnienia, że ją stąd zabierze. Że jest bezpieczna.

A równocześnie wyczuwała jego wściekłość. Promieniowała z jego wielkiego ciała i koncentrowała się na Benie. Dante opuścił głowę, wiedziała, gdzie patrzy nawet pomimo ciemnych szkieł ukrywających jego oczy. Zauważyła blask, jaskrawy i zabójczy.

W mgnieniu oka ciało Bena przeleciało przez gabinet i uderzyło w szafki na przeciwległej ścianie. Choć kopał i się wyrywał, Dante przytrzymał go samą siłą woli. W drzwiach pojawił się kolejny ubrany na czarno wojownik.

- Zabierz ją stąd, Chase - polecił Dante. - Nie chcę, żeby to widziała.

Wojownik podszedł do niej i przeciął więzy, po czym ostrożnie wziął ją w ramiona i wyniósł z lecznicy do SUV-a, który czekał na tyłach.

Kiedy Chase zabrał Tess z gabinetu, Dante puścił człowieka, którego przytrzymał siłą umysłu. Kiedy kontakt ustał, Sullivan spadł ciężko na podłogę. Zaczął się podnosić, sięgając po nóż, który zostawił na szafce. Siłą swoich myśli Dante poderwał nóż i wbił go w przeciwległą ścianę.

Wszedł do gabinetu, chowając broń, ponieważ zamierzał zabić Bena Sullivana gołymi rękami. Pragnął zemsty, chciał, żeby drań zapłacił za to, co zamierzał zrobić Tess. Za to co jej zrobił, nim tu przybyli.

- Wstawaj - polecił. - To już koniec.

Sullivan chichotał, podnosząc się powoli z podłogi. Kiedy Dante napotkał jego wzrok, zobaczył puste oczy niewolnika umysłu. Ben Sullivan został zmieniony w sługę. Zapewne dlatego zniknął. Śmierć będzie dla niego tak naprawdę wybawieniem.

- Gdzie się podziewa twój Pan? Sullivan milczał.

- Powiedział ci, że skopaliśmy mu latem dupę do tego stopnia, że uciekł z podkulonym ogonem zamiast stawić nam czoło jak mężczyzna? To tchórz i pozer. W końcu go dorwiemy.

- Spadaj, wampirze.

- Nie zamierzam - odparł Dante. Zauważył, że sługa napina mięśnie. Zapowiedź ruchu. - Wykończę cię, ty kupo gówna. I tego skurwiela, który jest twoim właścicielem.

Sługa wydał przenikliwy wrzask i rzucił się na Dantego. Zaczął go okładać pięściami, ale nie dość szybko, by Dante nie był w stanie odeprzeć ciosów. Podczas szarpaniny kombinezon wampira rozdarł

się na piersiach, odsłaniając nagą skórę. Dante ryknął i walnął sługę w twarz. Z zadowoleniem usłyszał trzask kości.

Sullivan wylądował na podłodze.

- Jest tylko jeden prawdziwy Pan - zasyczał. - Wkrótce będzie władał rasą. To jego prawo!

- Mało prawdopodobne. - Dante jedną ręką podniósł sługę z podłogi i rzucił nim.

Sullivan przeleciał po śliskim blacie stołu do badań, na którym trzymał Tess, po czym upadł na ścianę z oknem, po przeciwległej stronie pokoju. Natychmiast podniósł się z podłogi. Żaluzje w oknie za jego plecami zaczęły się kołysać. Dante odruchowo uniósł ramię, żeby osłonić oczy przed światłem.

- Co jest? Za jasno dla ciebie, wampirze? - Sullivan uśmiechnął się szeroko, odsłaniając poplamione krwią zęby. W rękę trzymał kawałek połamanej szuflady. - A może powtórka ze *Szklanej pułapki*?

Uderzył ręką w tył i rozbił okno, rozgarniając żaluzje. Po gabinecie rozsypały się kawałki szkła, a słońce zaczęło palić oczy Dantego nawet przez gogle. Zawył pod wpływem nagłego bólu. Sullivan wykorzystał krótką chwilę nieuwagi wampira na próbę ucieczki. Dante czuł, jak skóra nagrzewa mu się niebezpiecznie pod kombinezonem. Tam, gdzie było rozdarcie, zaczęła skwierczeć. Mimo to śledził sługę innymi zmysłami wyostrzonymi przemianą, jaka dokonała się pod wpływem wściekłości. Czuł, jak z dziąseł wysuwają mu się kły, a źrenice zwężają w pionowe kreski.

Skoczył miękko jak kot i wylądował na plecach Sullivana. Pod wpływem siły uderzenia obaj znaleźli się na podłodze. Dante nie dał słudze szansy. Złapał go za podbródek i czoło i pochylił się tak nisko, że jego ostre kły raniły ucho drania.

- Yippeekayay, dupku. - I gwałtownym ruchem ręki skrzył Sullivanowi kark.

Puścił bezwładne ciało. Czuł w powietrzu kwaśny zapach i ból. Słyszał ciche skwierczenie, przypominające trochę rój much i ciężkie kroki na korytarzu. Nie był w stanie skupić wzroku na ciemnej sylwetce, która wypełniła wejście.

- Wszystko zabezpieczone i... - Niko urwał i podbiegł do Dantego, wyciągając go szybko z pokoju. - Jak długo byłeś na słońcu?

Dante pokręcił głową.

- Niedługo. Drań wybił okno.

- Tak - powiedział Niko dziwnie poważnym tonem. - Widzę. Musimy się stąd zabierać, stary. Chodź.

Rozdział 36

A niech mnie.

Ubrany na czarno wojownik na przednim siedzeniu SUV-a, ten który zabrał Tess z lecznicy, otworzył drzwi samochodu i wyskoczył na zewnątrz, kiedy Dante i drugi wojownik wybiegli z budynku.

Dante nie tyle biegł, ile zataczał się, ciągnięty przez towarzysza. Głowę opuścił na piersi, przód kombinezonu miał rozdarty. Jego naga skóra była jaskrawoczerwo-na od poparzeń.

Chase otworzył tylne drzwi samochodu i pomógł towarzyszowi wsadzić rannego do samochodu. Kły Dantego były długie, ich ostre końce połyskiwały, kiedy oddychał przez usta. Twarz miał wykrzywioną z bólu, źrenice zmienione w pionowe kreski zatopione w środku jaskrawobursztynowych tęczęwek. Był całkowicie przemieniony. Był wampirem. Tess powinna się go bać, ale jakoś nie mogła.

Jego przyjaciele działali szybko, ich pełne powagi milczenie sprawiło, że ogarnął ją strach. Chase zatrzasnął drzwi i obiegnął samochód, wskakując na miejsce kierowcy. Wrzucił bieg i odjechali.

- Co mu się stało? - spytała niespokojnie, nie widząc krwi ani ran na ciele Dantego. - Jest ranny?

- Napromieniowanie - wyjaśnił wojownik, którego nie znała. W jego głosie rozpoznała silny słowiański akcent. - Cholerny handlarz karmazynu wybił okno. Dante musiał go zabić w pełnym słońcu.

- Dlaczego? - spytała Tess, patrząc, jak Dante poprawia się na siedzeniu. Czowała jego ból i niepokój jego dwóch towarzyszy. - Dlaczego on to zrobił? Dlaczego to zrobiliście?

Powoli, z determinacją Dante zdjął rękawiczkę. Wyciągnął do niej rękę.

- Tess...

Chwyciła go za dłoń. Patrzyła, jak splata palce z jej palcami. Uczucie, które popłynęło ku niej za pośrednictwem tego dotyku, sięgało głęboko. Zaparło jej na chwilę dech w piersiach.

To była miłość, tak wielka, tak dzika, że aż zaniemówiła.

- Tess - wymamrotał, właściwie wyszeptał. - To byłaś ty. To nie była moja śmierć... tylko twoja.

- Co? - ścisnęła jego rękę, czując, jak do oczu napływają jej łzy.

- Te wizje... To nie byłem ja, tylko ty. Nie mogłem... -urwał, oddychał z wyraźnym trudem. - Musiałem temu zapobiec. Nie mogłem pozwolić... choćby nie wiem co.

Łzy popłynęły po policzkach Tess.

- O Boże, Dante. Nie powinieneś być tak ryzykować. A gdybyś tam zginął?

Uniósł lekko wargę, odsłaniając ostry błyszczący kiel.

- Byłoby warto... żeby cię zobaczyć. To warto... każdego ryzyka.

Tess ujęła jego dłoń w obie ręce, równocześnie wściekła, pełna wdzięczności i przerażona. Trzymała go za rękę, aż nie dotarli do kwatery. Chase zaparkował SUV-a w wielkim hangarze pełnym samochodów. Wszyscy wysiedli. Starła się nie wchodzić w drogę wojownikom, kiedy wyciągali Dantego z samochodu i przenosili do windy.

Stan Dantego pogarszał się z każdą minutą. Kiedy zjechali na dół i drzwi windy otworzyły się, nie mógł już ustać na nogach. Na korytarzu czekało na nich trzech mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy rzucili się do pomocy.

Jedna z kobiet podeszła do Tess i położyła jej rękę na ramieniu.

- Jestem Gabrielle, partnerka Lucana. Nic ci nie jest?

Tess wzruszyła ramionami i kiwnęła lekko głową.

- Czy Dantemu nic nie będzie?

- Sądzę, że poczuje się dużo lepiej, jeśli będzie wiedział, że przy nim jesteś.

Gabrielle zachęciła ją gestem, żeby poszła za wojownikami do ambulatorium, w to samo miejsce, skąd uciekła Dantemu kilka godzin temu. Weszła do sali i patrzyła, jak przyjaciele zdejmują z niego broń, a potem kombinezon i buty i kładą go na szpitalnym łóżku.

Poruszyła ją troska, jaką mu okazywali. Dante był tu kochany, akceptowany takim, jaki był. Miał tu rodzinę, dom, życie, a jednak zaryzykował to wszystko, żeby ją ocalić. Choć chciała się go bać, odrzucić go za to, że ją oszukał, nie potrafiła. Patrzyła na jego cierpienie, które złożył jej w ofierze, i czuła tylko miłość.

- Pozwólcie mi. - Podeszła do łóżka. Popatrzyła w zmartwione twarze wojowników i dwóch kobiet. Ich spojrzenia mówiły wyraźnie, że rozumieją, co ona teraz czuje. - Pozwólcie mi pomóc. Proszę. Dotknęła policzka Dantego, pogładziła jego kwadratowy podbródek. Skoncentrowała się na jego oparzeniach, pozwalając palcom

wędrować po jego nagiej piersi, po tych pięknych wzorach, pełnych pęcherzy i ran pulsujących bólem. Delikatnie położyła ręce na ranach i za pomocą swojego daru zaczęła wyciągać z ciała Dantego napromieniowanie, zabierać ból.

- O mój Boże - szepnął jeden z wojowników. - Ona go leczy.

Tess słyszała pełne zaskoczenia westchnienia, słowa nadziei, jakie wymieniali między sobą przyjaciele Dantego, jego rodzina. Czuła, że ich ciepłe uczucia ogarniają również ją, ale była skupiona wyłącznie na Dantem. Na uleczeniu go.

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta, nie-zrażona kłami. Kochała go takim, jaki był, dokładnie takim, i modliła się, by miała szansę mu to powiedzieć.

Dante przeżyje. Jego poparzenia były poważne, może nawet śmiertelne, ale uzdrawiający dotyk Dawczyni Życia okazał się silniejszy od śmierci, która go ścigała. Chase był zaskoczony jej darem i jej oddaniem Dantemu. Przez cały czas trwała u jego boku, zależało jej na nim równie mocno, jak jemu na niej.

Wszyscy zgodzili się, że będą doskonałą parą. Już w pojedynkę byli silni, a razem będą niezwyciężeni.

Kiedy najgorsze zamieszanie minęło, myśli Chase'a zwróciły się ku domu. Jego podróż nie dobiegła jeszcze końca. Czeka ją droga była mroczna i niepewna. Kiedyś wszystko wydawało mu się takie proste, wiedział, gdzie przynależy, jaka przyszłość go czeka... i z kim. Teraz nie był już pewien niczego. Pożegnał się z wojownikami i ich kobietami, po czym opuścił świat Zakonu, by wrócić do swojego. Podróż do miasta upłynęła mu spokojnie. Koła pożyczonego samochodu obracały się szybko, droga zostawała w tyle, ale dokąd tak naprawdę zmierzał?

Czy Mroczna Przystań naprawdę była jeszcze jego domem? Jak miał się przystosować z powrotem do statecznego życia, skoro zmysły miał wyostrzone po kilku dniach przebywania z wojownikami, a pod płaszczem czuł ciężar stali. Noże i dziewięćmilimetrowa beretta w jakiś sposób przynosiły mu pocieszenie.

I co z Elizą?

Nie mógł wrócić do tego nieznośnego życia, w którym pożądał kobiety, której nigdy nie zdobędzie. Musiał jej powiedzieć, co do niej czuje, i niech się dzieje, co chce. Eliza musi dowiedzieć się wszystkiego. Nie oszukiwał się nadzieją, że odwzajemni jego uczucie.

Prawdę powiedziawszy, nie był nawet pewien, na co ma nadzieję. Wiedział tylko, że to życie już się skończyło i musi zacząć od nowa. Skręcił na podjazd Mrocznej Przystani, czując, jak ogarnia go poczucie wolności. Wszystko miało się zmienić. Choć nie wiedział, w jaki sposób, czuł się wyzwolony. Dotarł do punktu zwrotnego. Przejechał zwirowym podjazdem przed budynek i zaparkował. Dom był oświetlony, w sypialni i salonie Elizy widział przyćmione światło. Nie spała, zapewne niespokojnie czekała na jego powrót z kwatery.

Wyłączył silnik i otworzył drzwi samochodu. Kiedy wysiadł, poczuł, że nie jest tu sam. Schował kluczyki do kieszeni, dyskretnie rozpinając płaszcz. Rozejrzał się wśród nocnych cieni, szukając w ciemnościach wroga. Nadśluchiwał szelestów, rozkołysanych przez wiatr gałązek, stłumionych dźwięków muzyki dobiegającej z budynku. To był ulubiony jazz-band Elizy...

A potem usłyszał szmer czyjegoś oddechu, gdzieś bardzo blisko siebie. I szelest zwirowy pod nogami. Odwracając się w stronę niebezpieczeństwa, chwycił kolbę beretty.

Camden.

Chase'a ogarnęło wrażenie déjà vu, choć jego bratanek, jeśli to w ogóle możliwe, wyglądał jeszcze gorzej niż wcześniej. Pokryty zaschniętą krwią, pozostałością niedawnych polowań, które nie zdołały zaspokoić żądz, wyszedł z krzaków i podszedł bliżej. Jego wielkie kły ociekały śliną. W mieszkaniu Sullivana unikał kontaktu, ale teraz był niebezpieczny i nieprzewidywalny, wściekły pies pozostawiony zbyt długo przy życiu.

Chase popatrzył na niego ze smutkiem, pełny żalu, że nie zdołał go odnaleźć na czas, że nie zdołał go ocalić przed nieodwracalną przemianą w Szkarłatnego.

- Tak mi przykro Cam. To nie powinno było cię spotkać. - Pod połą płaszcz odbezpieczył berettę i wy-ciągnął z kabury. - Gdybym mógł zająć twoje miejsce, przysięgam...

Za plecami usłyszał nagle metaliczny szcęk otwieranych drzwi i gwałtowne zachłyśnięcie się Elizy. Czas nagle zwolnił, wszystko działo się w zwolnionym tempie, rzeczywistość zmieniła się w gęsty, powolny sen, koszmar, który zaczął się w chwili, gdy Eliza wyszła z budynku.

- Camden! - Jej głos dobiegał jakby z daleka. - O... Boże... Camden!

Chase odwrócił głowę w jej stronę. Krzyknął, żeby się cofnęła, ale ona już biegła, otwierając szeroko ramiona, a jej biała wdowia szata powiewała niczym skrzydła ćmy. Biegła w stronę Camdena, w stronę pewnej i gwałtownej śmierci z rąk Szkarłatnego, który był kiedyś jej ukochanym synem. - Elizo, cofnij się!

Zignorowała jego słowa. Biegła dalej, choć jej pełne łez oczy zarejestrowały straszny wygląd Camdena. Zakrztusiła się szlochem, ale nadal otwierała ramiona, nie zatrzymała się.

Kątem oka Chase zobaczył, jak dzikie oczy Szkarłatnego koncentrują się na Elizie. Camden wydał straszliwy warkot i przykucnął. Chase odwrócił się i stanął między matką a synem. Wyciągnął pistolet i wycelował, nim sobie uświadomił, co robi.

Minęła kolejna sekunda.

Eliza nadal biegła, coraz szybciej, łkając i wołając Camdena po imieniu.

Chase ocenił odległość, wiedział, że sekundy dzielą go od tragedii. Nie miał wyboru, musiał działać. Nie mógł stać i ryzykować życie Elizy, kiedy...

Strzał rozległ się w nocnym powietrzu jak grom.

- Nie! O Boże, nieeee! - zawyła Eliza.

Chase stał oszołomiony, palec nadal miał zaciśnięty na spuście. Pokryta tytanem kula trafiła Camdena prosto w pierś, powalając go na ziemię. Rozkład już się zaczął, uniemożliwiając wszelkie szanse na wyciągnięcie bratanka z nałogu krwi. Karmazyn zmienił go w potwora, ale było już po wszystkim. Cierpienia Camdena się skończyły.

Cierpienia Elizy i Chase'a dopiero się zaczynały.

Dopadła do niego i zaczęła okładać pięściami, po twarzy, ramionach, piersi, wszędzie, gdzie mogła sięgnąć. Jej lawendowe oczy pełne były łez, piękna twarz -blada i zboląła, łkała głośno i wyła. Chase przyjmował uderzenia w milczeniu. Co mógł zrobić? Co miał powiedzieć?

Pozwolił jej na tę nienawiść, a kiedy wreszcie przestała go okładać i upadła na ziemię obok ciała syna, które tytan szybko zmieniał w popiół, odnalazł w sobie dość siły, by ruszyć się z miejsca. W milczeniu upuścił broń.

Odwrócił się od Elizy i od Mrocznej Przystani, która od tak dawna była jego domem, i odszedł w ciemność.

Dante obudził się nagle, otworzył oczy i odetchnął. Był uwięziony za ścianą ognia, oślepiiony płomieniami i dymem. Nie mógł się dostać do Tess. Usiadł, dysząc ciężko, umysł nadal wypełniała mu wizja, serce biło ciężko jak młotem.

Jeśli mu się nie udało...

Jeśli ją stracił...

- Dante?

Na dźwięk jej głosu ogarnęła go ogromna ulga. Uświadomił sobie, że Tess jest tuż obok, że siedzi przy jego łóżku. Obudził ją z drzemki. Podniosła głowę, włosy miała potargane, pod oczami ciemne kręgi.

- Obudziłeś się - powiedziała rozpromieniona. Przysunęła się bliżej, pogładziła go po twarzy i włosach. - Tak się martwiłam. Jak się czujesz?

Doszedł do wniosku, że powinien czuć się dużo gorzej. Na pewno nie na tyle dobrze, by porwać Tess w ramiona, posadzić ją sobie na kolanach i całować z całych sił.

Nie na tyle dobrze, żeby pragnąć jej nagiego ciała.

- Przepraszam - wymruczał prosto w jej usta. - Tess, przepraszam za wszystko. Wciągnąłem cię...

- Ciii, na to przyjdzie czas później. Później to załatwimy. Teraz musisz odpoczywać.

- Nie - upierał się. Był taki szczęśliwy, że jest przy niej, że nie zamierzał tracić czasu na sen. - To, co chcę ci powiedzieć, nie może czekać. Widziałem dziś coś strasznego. Zobaczyłem, co to znaczy cię stracić, i nigdy więcej nie chcę już tego oglądać. Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna, że...

- Jestem tutaj. Ocaliłeś mnie.

Pogładził ją po jedwabistym policzku. Czuł taką wdzięczność, że mógł to zrobić.

- To ty ocaliłaś mnie, Tess.

I nie mówił tu o poparzeniach, które uzdrowiła dzięki swojemu niezwykłemu dotykowi. Nie mówił też

o tej nocy, kiedy spotkali się po raz pierwszy, a jej krew uratowała go, gdy umierał. Tess ocaliła go na tyle innych sposobów. Należał do niej sercem i duszą. I chciał, żeby o tym wiedziała.

- Kiedy jestem z tobą, wszystko ma sens. Moje życie ma sens, choć uciekałem przez tyle lat. Jesteś światłem w ciemności, powodem, dla

którego żyję. Jestem z tobą związany. Nigdy nie będę miał innej kobiety.

- Jesteśmy teraz związani krwią - przypomniała, ale po jej ustach błędził lekki uśmiech. Spuściła wzrok i zmarszczyła brwi. - A gdybyś nie ugryzł mnie wtedy w lecznicy? Czy bez tej więzi też byś mnie...

- Kochał? - dokończył za nią, unosząc jej podbródek, żeby widziała w jego oczach, że nie kłamie. - To zawsze byłaś ty, Tess. Po prostu wcześniej o tym nie wiedziałem. Szukałem cię przez całe życie, byłem z tobą związany wizją tego, co stało się dzisiaj.

Pogładził ją po potarganych lokach, nawinał na palec pasmo jej włosów.

- Moja matka wierzyła w przeznaczenie, choć wiedziała, że czekają ją ból i strata. Ja nigdy nie chciałem w nie uwierzyć, w to, że wszystko jest ustalone z góry. Myślałem, że jestem od niego sprytniejszy, że jestem ponad. Ale to przeznaczenie nas złączyło, Tess. Teraz nie mogę temu zaprzeczyć. Tess... czy masz pojęcie, jak długo na ciebie czekałem?

- Och, Dante - szepnęła, mrugając, żeby pozbyć się łez. - Nie byłam na to przygotowana. Tak się boję...

Przytulił ją, żałując, że tyle musiała przez niego przejść. Wiedział, że wstrząs wywołany dzisiejszymi przeżyciami pozostanie w niej na długo. Tyle śmierci... Nie chciał, by jeszcze kiedyś czuła taki ból.

- Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna, Tess. Że jesteś gdzieś, gdzie mogę cię chronić. Są miejsca, w których możemy zamieszkać. Mroczne Przystanie. Rozmawiałem już z Chase'em, żeby załatwił nam miejsce w jednej z nich.

- Nie. - Serce mu zamarło, gdy ostrożnie wyswobodziła się z jego ramion i uklękła koło niego na łóżku. -Dante, nie...

Boże, nie wiedział, co powiedzieć. Czekał w pełnym bólu milczeniu, wiedząc, że w pełni zasługuje na to odrzucenie. Na jej pogardę. A jednak czuł, że jej na nim zależy. I modlił się, żeby to była prawda.

- Tess, jeśli chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz...

- Kocham cię - odparła. - Całym sercem.

- Więc o co chodzi?

Popatrzyła na niego uważnie, jej zielononiebieskie oczy były wilgotne, ale pełne determinacji.

- Mam dość uciekania, ukrywania się. Otworzyłeś mi oczy na świat, o którego istnieniu nie miałam pojęcia. Twój świat.

Uśmiechnął się do niej.

- Ty jesteś moim światem.

- I to wszystko tutaj też. To miejsce, ci ludzie. To twoje dziedzictwo. Twój świat jest mroczny i niebez-pieczny, ale również niezwykły tak jak ty. Jak życie. Nie każ mi przed tym uciekać. Chcę być z tobą, ale skoro mam żyć w twoim świecie, chcę, żeby to było tutaj. Gdzie jest twoja rodzina.

- Rodzina? Kiwnęła głową.

- Wojownicy i ich kobiety. Kochają cię. Widziałam to dzisiaj. Może z czasem pokochają i mnie?

- Tess. - Przyciągnął ją do siebie, pierś wypełniła mu wdzięczność. - Chcesz żyć ze mną tutaj, w taki sposób, jako kobieta wojownika?

- Mojego wojownika - zaznaczyła z uśmiechem. W jej oczach widział miłość. - Zgadzam się na to tylko pod takim warunkiem.

Dante z trudem przełknął ślinę. Strasznie zaschło mu w ustach. Nie zasługiwał na nią. Po tym wszystkim, co przeszli, po tych wszystkich ucieczkach, jego serce wreszcie odnalazło dom. Przy Tess. Przy jego ukochanej.

- Jak sądzisz, dasz radę z tym żyć? - spytała.

- Och, przez całą wieczność - odparł, po czym pociągnął ją na łóżko i przypieczętował ich pakt niekończącym się namiętym pocałunkiem.